ZABLOKOWAĆ POLSKIE ZŁOŻA! EKOLOGOWIE I GAZPROM W AKCJI

REPORTAŻ MACIEJEWSKIEGO Z NADDNIESTRZA. FAŁSZYWY LIST ROMANOWSKIEGO

TO BĘDZIE DROGA ZIMA! PODWYŻKI OSZALEJĄ

Strefa Wolnego Słowa

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO POLAKA #W KAŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU

GAZETAPOLSKA.PL

CENA 10.90 PLN (w tym 8% VAT) www.gazetapolska.pl indeks 320919 #39 (1724) 23/09/2026 OKŁADKA: TOFKAI, ADOBE STOCK

SĘDZIA PIWNIK W MOCNEJ ROZMOWIE O „NASZYCH SĘDZIACH" I SILE ZAMIAST PRAWA

Zdumiewa mnie, że określenia o „naszych sędziach" nie wywołują reakcji ze strony świata nauki czy korporacji zawodów prawniczych. Milczą prawnicy, którzy powinni tłumaczyć obywatelom, jak ważne jest to, aby był zachowany trójpodział władzy – mówi sędzia w stanie spoczynku Barbara Piwnik na temat prób zawłaszczenia Trybunału Konstytucyjnego.

ISSN 1230-4581

9 771230 458602 39

NUMER W SPRZEDAŻY DO 29.09.2026

eprasa.pl 8f89cdd082

KUP TERAZ

Kup prenumeratę **e-wydania** Gazety Polskiej i czytaj najważniejsze teksty wcześniej niż inni!

Dziś niezależne dziennikarstwo to placówka frontowa. W świecie zdominowanym przez polityczne naciski, **Twoja prenumerata** to nie tylko dostęp do prawdy – **to realne wsparcie** dla redakcji, która nie boi się zadawać trudnych pytań.

Dlaczego warto wybrać wersję cyfrową?

Szybkość: Czytasz wcześniej niż inni.
Wygoda: Całe archiwum w Twoim komputerze, telefonie i tablecie.
Solidarność: Każda subskrypcja to „cegiełka" na rzecz wolnego słowa.

JAK KUPIĆ PRENUMERATĘ W 60 SEKUND

1. Wejdź na: **prenumerata.swsmedia.pl**
2. Wybierz pakiet **Gazety Polskiej.**
3. Opłać (BLIK, karta, przelew) **i czytaj natychmiast!**

GAZETA POLSKA

TWOJE WSPARCIE MA ZNACZENIE

eprasa.pl 8f89cdd082

FELIETON { WRÓG LUDU }

Tomasz Sakiewicz

DWANAŚCIE KLUCZOWYCH MIESIĘCY

Ciągle nie da się wykluczyć wariantu przyspieszonych wyborów parlamentarnych. Mogłyby się odbyć wczesną wiosną przyszłego roku, jednak coraz bardziej staje się prawdopodobne, że dojdzie do nich w normalnym terminie, o ile w ogóle będą. Jest jeszcze jedna możliwość, którą warto serio rozważyć – czyli że Tusk za chwilę powtórzy wariant z premier Ewą Kopacz. Oczywiście dzisiaj byłoby to dużo trudniejsze, bo nie słychać, by ktoś proponował mu poważne europejskie stanowisko, a w ONZ czy NATO, bez wsparcia USA i prezydenta Karola Nawrockiego, szans nie ma. Może jeszcze próbować stworzyć jakąś fikcję „awansu za granicą". Będzie to jednak widać. Tusk znalazł się więc w pułapce, w której wyjazd zostanie odebrany jako ucieczka, a pozostanie w niej spowoduje, że narastające problemy tego rządu bardzo go osłabią. To, co udało mu się uzyskać i może zaliczyć jako swój realny sukces, to rozbicie opozycji. Mamy dwie Konfederacje i dwa PiS-y, choć ta druga operacja zaczyna szwankować. O ile Grzegorz Braun pozyskuje elektorat przychylny Konfederacji dzięki większemu radykalizmowi, z którym trudno się licytować, to Mateusz Morawiecki zaczyna się wizerunkowo sklejać z obozem rządowym. Gdyby chciał naprawdę zdobyć wyborców PiS-u, powinien być „świętszy od papieża". Zdecydował się na coś odwrotnego. Połaszczenie się na stanowisko wicemarszałka, dane z łaski Donalda Tuska, przez nowy klub Morawieckiego sprawiło, że zdecydowana większość zwolenników PiS-u dostała białej gorączki. Nie przemyślał tego nie tylko Morawiecki, lecz także sam Tusk przestrzelił. Teraz były premier będzie mógł już szukać poparcia niemal wyłącznie w obozie obecnego szefa rządu. I jak to bywa ostatnio z Tuskiem – akcja piękna, ale wykonanie straszne. W polityce wszystko jest możliwe i być może Morawiecki odzyska zaufanie jakiejś części prawicowego elektoratu, tylko zaczyna mieć naprawdę pod górkę.

Co więc Tuskowi zostało? Dryfować i liczyć na kolejne błędy opozycji – niestety, jak widać, nie jest to takie głupie – albo zwiększyć presję, nawet bez fikcji działań demokratycznych. Ta druga droga, umownie można nazwać ją „drogą Giertycha", ma tę zaletę, iż Tusk będzie sprawiał wrażenie, że coś robi, a tę wadę, iż nie ma z niej już żadnego wyjścia i każdy, kto znajdzie się teraz w pobliżu premiera, zapłaci za to ogromną cenę. Bijatyka jest korzystna na pewno wyłącznie dla samego Giertycha (oczywiście również Moskwy – taki przypadek), ale tylko dlatego, że jego losy w każdym innym wariancie są już przesądzone. Poza Tuskiem Giertych nie ma żadnego realnego wsparcia, nie zdobył też masowej popularności w elektoracie obozu władzy, a jako ofiara zapłacona za rządy obecnego rządu wydaje się wręcz idealnym obiektem. W dodatku nie trzeba niczego tu wymyślać, dowody na to, co wyrabia, są pod ręką. Wprawdzie na dalszą radykalizację nie ma zgody USA, wręcz wysyłają w tej sprawie sygnały, ze strony UE też zaczyna się słyszeć wielogłos, a Niemcy – mimo przychylności dla Tuska – coraz bardziej będą skupione na własnych problemach. W skrócie: komfort z roku 2023, kiedy to Berlin, Bruksela i Waszyngton autoryzowały bandyckie działania ekipy 13 grudnia, właśnie się skończył. Trump wręcz zapędził Tuska w pułapkę – najpierw pozwolił mu postraszyć Polaków zagrożeniem ze Wschodu, a potem zaoferował pomoc uzależnioną od zachowania rządu. Widać, że wywarło to jakieś wrażenie na namiestniku z Berlina. Narasta też opór społeczny i nie tyle utrudnia on niedemokratyczne działania, co znacząco podwyższa ich koszt. Tygodniowe zdobywanie przez rząd – do tej pory niemal nieznanej szerszej opinii publicznej – Akademii Wymiaru Sprawiedliwości pokazuje, że inne ważne instytucje mogą wywoływać opór społeczny trwający miesiącami – w czasie kampanii wyborczej. To byłaby śmierć polityczna dla każdego, kto znajdzie się po drugiej stronie barykady.

Nie zmienia to faktu, że scenariusz siłowy nie jest niemożliwy. Każde zachwianie się w oporze przeciwko bezprawiu, oddanie bez walki jakiegokolwiek terenu może zachęcać radykałów w obozie władzy do kolejnych napadów. Mamy 12 miesięcy maksymalnej mobilizacji i proszę wszystkich, by wzięli w tym udział. To jest ten moment i ta chwila. Kontaktujmy się z miejscowymi klubami „Gazety Polskiej", organizujmy wyjazdy do stolicy. Wspierajmy media wolnego słowa, szczególnie Telewizję Republika i „Gazetę Polską". To nasze bastiony, które dzisiaj również znalazły się pod ostrzałem. Brońmy naszych dziennikarzy, na których idzie wielki atak władzy. I jeszcze raz apeluję: bądźmy solidarni! GP

eprasa.pl 8f89cdd082

W numerze

KRAJ

6 Sędzia Piwnik w mocnej rozmowie o „naszych sędziach" i sile zamiast prawa
 # Z sędzią w stanie spoczynku Barbarą Piwnik rozmawia Grzegorz Wszołek

14 Do oceny działań szefów prokuratury przyda się Kodeks karny
 # Z prokuratorem Pawłem Wilkoszewskim rozmawia Grzegorz Broński

22 Już sześć lat partia Tuska chroni Grodzkiego
 # Tomasz Duklanowski

24 To będzie droga zima
 # Jacek Liziniewicz

26 Schrony wciąż tylko na papierze
 # Hubert Kowalski

28 Bieda-igrzyska, czyli Romanowski, Rutkowski i Tusk
 # Jakub Maciejewski

PUBLICYSTYKA

32 Strachy na Lachy. 2026 Rządowy „niedasizm" i sianie paniki
 # Krzysztof Wołodźko

36 Polska – autorytarne państwo strachu
 # Piotr Grochmalski

40 Kolejna ofiara „uśmiechu"
 # Dawid Wildstein

42 Finałowy odcinek „Bitwy o Kraków". Czy Gibała wreszcie dopnie swego?
 # Wojciech Mucha

46 Drony uderzą także w książki
 # Mateusz Matyszkowicz

ŚWIAT

48 Huti zamieszali w bliskowschodnim kotle
 # Antoni Rybczyński

HISTORIA

67 Niewdzięczność i mściwość
 # Tomasz Panfil

70 Gorzkie owoce trującego krzewu Stepana Bandery
 # Emil Tańczak

ŚRODOWISKO

78 Zwierzę, które obrosło mitami
 # Jacek Liziniewicz

Największy błąd Morawieckiego. KO i PSL pomogły mu wybrać Horałę
Piotr Lisiewicz

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz
4 ZYZIU NA KONIU HYZIU
17 Jacek Liziniewicz
17 Krzysztof Karnkowski
34 Dawid Wildstein
35 Marcin Wolski
35 Tomasz Łysiak
45 OKIEM KAPELANA
51 ROSJA ABSURDEM STOI
55 Tadeusz M. Płużański
55 Józef Wieczorek
59 WIEŚCI Z UE
62 KLUBY „GAZETY POLSKIEJ"
82 PODRÓŻE
84 SPORT
86 KULINARIA

87 NAUKA
88 LISTY
89 Katarzyna Gójska

Blokada polskich złóż: miliony od Gazpromu i rosyjski urzędnik
Grzegorz Wierzchołowski

AI i opowieści o zagładzie
Maciej Kożuszek

Solidarność i wzajemna pomoc
Piotr Dmitrowicz

eprasa.pl 8f89cdd082

Wspieraj nasze media

Dla wolnej i niezależnej Polski!

GAZETA POLSKA | Gazeta Polska codziennie | niezależna.pl | REPUBLIKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO | radio REPUBLIKA

REPUBLIKA

Numer konta: **90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**

Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz TV Republika**

Konto do wpłat zagranicznych: **PL 90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**

SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Telewizja Republika S.A. Plac Bankowy 2, 00-095 Warszawa

SKANUJ KOD

GAZETA POLSKA

Numer konta: **81 1240 6003 1111 0010 3126 1695**

Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz Gazety Polskiej**

Konto do wpłat w euro: **PL 15 1240 1040 1978 0010 8426 7594**

SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Gazeta Polska ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FUNDACJA REPUBLIKA

Numer konta: **23 1090 1883 0000 0001 5859 5543**

Tytuł przelewu: **Darowizna na wolne media**

Adres: Fundacja Republika ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

eprasa.pl 8f89cdd082

Piotr
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

A ja to ostatnio występowałem w Telewizji Republika w nocniku na głowie! Widział ktoś Monikę Olejnik, Tomasza Lisa czy Tomasza Sekielskiego w nocniku na głowie? A może Szymon Jadczak z Wirtualnej Polski miał na głowie nie czapkę policyjną, a nocnik? Nawet Jakub Wojewódzki nocnika nie założył. No i na tym polega niezniszczalność Republiki, że my mamy gdzieś ich konwenanse oraz prestiże. Naprawdę z takimi wariatami wy, salonowe, warszawkowate, grzeczne pudelki, chcecie wygrać?

Nocnik był z napisem „Policja”, a wcielając się w rolę „psa”, ogłosiłem, że minister Kierwiński w związku ze złą sytuacją gospodarczą zarządził oszczędności w resorcie. No i dlatego każdy policjant przed mocno ryzykownym napadem na Trybunał Konstytucyjny musi sobie załatwić hełm we własnym zakresie. Najlepiej – tak wskazał lekko pogłosowy Kierwiński – hełm z nocnika właśnie. No i republikowa stylistka, zgodnie z moim pomysłem, poszła nocniki nabyć. Swoją drogą Ania miała dotąd nudną robotę. Ile razy można fachowo dobierać garnitury ważnym redaktorom? A zakup nocnika to jest coś! Tylko była nieco przestraszona, jak wytłumaczy dyrektorowi finansowemu Republiki, że zakup niebieskich nocników był dla firmy absolutnie niezbędny.

Oczywiście demonstrowanie przez Wirtualną Polskę, że jest Wirtualną Psiarnią, z punktu widzenia biznesowego mądre nie jest. Realizowanie nieudolnego skądinąd zlecenia na zniszczenie Telewizji Republika może spowodować, że wp.pl odpłynie z połowa użytkowników. Bo dotąd ów portal nie kojarzył się jako tak oczywiste narzędzie partyjnej polityki, to nie gazeta.pl Michnika. Ale istotą III RP jest to, że rynkowe kalkulacje nigdy nie decydowały tu o biznesowym sukcesie, a łaska ubekistanu. No i w tę logikę wpisuje się milicyjna kserokopiarka o nazwisku Jadczak. Co my żeśmy skandowali o milicji? Był okrzyk: „MO! Gestapo!”. Oraz: „Nie masz ambicji, odrabiasz wojsko w milicji!”. To już lepiej

Oczywiście demonstrowanie przez Wirtualną Polskę, że jest Wirtualną Psiarnią, z punktu widzenia biznesowego mądre nie jest.

Kim jest Patrycja Kotecka?
„To nie jest typowa żona konserwatywnego polityka. Była politycznym mózgiem Ziobry”
„Newsweek”

eprasa.pl 8f89cdd082

w milicji niż w Wirtualnej Psiarni, zwanej też Wirtualnym Ubekistanem, ale tu się wszystko zgadza poza skrótem. Jest też oczywiste, że wrzucanie na siłę dla równowagi newsów pozornie antyrządowych tylko ludzi wkurzy.

Sikorski zniszczył ruskich! „Słowa ministra Radosława Sikorskiego, że europejskie państwa NATO bardzo szybko wygrałyby wojnę z Rosją i zniszczyły jej rafinerie, zabolały polityków na Kremlu. O tym, jak trafna jest analiza szefa polskiego MSZ, świadczy wzmożony atak rosyjskich trolli internetowych" – napisał autor „Newsweeka" podpisujący się „Sławek Zagórski". Z tekstu Sławka wynika, że Sikorski niegdyś chwalący USA za rzekome wysadzenie w powietrze Nord Streamów, jest antyrosyjskim gierojem. Gratulujemy Ci tego odkrycia, Sławku.

Na tychże łamach tytuł: „Kim jest Patrycja Kotecka? »To nie jest typowa żona konserwatywnego polityka. Była politycznym mózgiem Ziobry«". Antyfeministyczny atak mocny w cholerę. Baba nie powinna mieć nic do gadania! Ziobro patriarchalny szowinista, i to do tego jeszcze hamerykański.

Wyborcza.pl: „Na drugich Igrzyskach Robotów Humanoidalnych w Pekinie maszyna Tiangong Ultra przebiegła 100 metrów w 9,39 s – szybciej niż rekord świata Usaina Bolta z 2009 roku (9,58 s). Drugi na mecie robot Lightning pobiegł jeszcze szybciej – 9,32 s w testach przed zawodami. W skoku wzwyż maszyny przeskoczyły wysokość 2,88 m, o 43 centymetry wyżej od rekordu Javiera Sotomayora, uparcie trwającego od 1993 r., o którym się mówiło: nieludzki". Jest też prawdopodobne, że robot pobił również rekord świata w jąkaniu, bijąc na twarz Michnika oraz Owsiaka.

FOT. WIKIPEDIA

„Krytyka Polityczna" o młodym Gdańsku: „Młode Miasto na terenach postoczniowych w Gdańsku miało kusić odważną architekturą, gwarnymi bulwarami i wielkomiejskim życiem pośród stoczniowych hal. 20 lat później mile widziani są tu przede wszystkim turyści wynajmujący lokale na doby". Czas na umoralniający reportaż stwierdzający, że te bulwary są za mało gwarne.

„Wyborcza" alarmuje: „Sypie się zespół śledczy do sprawy Zondacrypto. Zrezygnowała kolejna osoba (…) Najpierw odeszła prokurator, która badała wątek pokrzywdzonych inwestorów giełdy kryptowalut, a teraz z pracy zrezygnowała asystentka dedykowana do tej sprawy. Trwają poszukiwania następców". Może list gończy by zaradził?

Sławna z licznych publikacji Karolina Opolska o tym, że Kłeczek wbił jej na wizję w TVP Info: „Jestem winna państwu wyjaśnienie, co się stało kilkanaście minut temu, kiedy po raz pierwszy próbowałam z panem posłem porozmawiać. Kiedy rozpoczęliśmy rozmowę, pracownik TV Republika postanowił nam przeszkodzić, próbował dosiąść się do nas i mówić do naszych widzów, co było niemożliwe, dlatego że nie było go słychać, bo nie miał naszego mikrofonu. Niestety ani moje próby uspokojenia sytuacji, ani próby ekipy nic nie dały. Sytuacja skończyła się tak, że na prośbę wicemarszałka Bosaka Straż Marszałkowska pracownika TV Republika wyprowadziła z sali obrad. Teraz możemy na spokojnie wrócić do rozmowy". Tylko spokój może TVP Info uratować!

No dobra, to zgodnie tradycją na koniec ślubowanie, które policja z nocnikami na głowach odebrała w środowym „Piachem w tryby" od tekturowego ministra Macieja Berka, który bał się jednak wygłosić je osobiście z ostrożności procesowej. Dlatego ustanowił swoim pełnomocnikiem Macieja Gnatowskiego, czyli rapera Wujka Samo Zło, który wzruszonym głosem powtórzył rotę ślubowania: „Ja, Wujek Samo Zło, vel Rocky Blanciora, reprezentujący sędziego Macieja Berka, ślubuję uroczyście przy wykonywaniu powierzonych mi obowiązków sędziego Trybunału Konstytucyjnego stać na straży prostytucji politycznej i finansowej, służyć wiernie Donaldowi Tuskowi, a także stać na straży prawa, tak jak on je rozumie w roli »naszego sędziego«. I zrobić wszystko, by Donald Tusk nie stał z rozdziawioną gębą. A gaz, łom, pała i uchwała będą dla mnie zawsze najwyższym nakazem. Tak mi dopomóż TSUE i SRUE". Ponoć TSUE bez emocji poparło tę rotę ślubowania, natomiast SRUE było wręcz zachwycone. Szczególnie staniem na straży prostytucji, co jest od zawsze głównym zadaniem elit III RP. **GP**

Mirosław **Andrzejewski**
{ RODZINA WACIAKÓW }

eprasa.pl 8f89cdd082

SĘDZIA PIWNIK W MOCNEJ ROZMOWIE

O „NASZYCH SĘDZIACH" I SILE ZAMIAST PRAWA

Z SĘDZIĄ W STANIE SPOCZYNKU BARBARĄ PIWNIK ROZMAWIA GRZEGORZ WSZOŁEK

– Zdumiewa mnie, że określenia o „naszych sędziach" nie wywołują reakcji ze strony świata nauki czy korporacji zawodów prawniczych. Milczą prawnicy, którzy powinni tłumaczyć obywatelom, jak ważne jest to, aby był zachowany trójpodział władzy – mówi sędzia w stanie spoczynku Barbara Piwnik na temat prób zawłaszczenia Trybunału Konstytucyjnego. Była minister sprawiedliwości i prokurator generalna tłumaczy też przepisy prawa w zakresie świadków koronnych i krytykuje przedstawicieli organów ścigania za niejasne komunikaty ws. statusu Przemysława Krala, szefa Zondacrypto.

Pani Sędzio, po co Polakom Trybunał Konstytucyjny? Jak ważna to instytucja w polskim porządku prawnym?

Zacznijmy od tego, że gdyby nie była to tak ważna instytucja, to nie znalazłaby należytego miejsca w konstytucji. Realia są jednak takie, że obywatelom coraz trudniej zrozumieć, o co w sporze o praworządność chodzi. Doprowadzili do takiej sytuacji politycy ze zwalczających się obozów. Jeżeli słyszymy od miesięcy, że orzeczenia TK nie są publikowane, choć wywołują skutki dla obywateli, a rządzący nie uznają legalności trybunału, to jak mamy przekonać Polaków do tego, że trybunał stoi na straży demokratycznego porządku państwa praw-

eprasa.pl 8f89cdd082

nego? Dziś praktycznie nie da się tego wytłumaczyć.

Nie da się przewidzieć, co wydarzy się w kolejnych tygodniach, jeśli chodzi o sytuację w Trybunale Konstytucyjnym. Pisanie scenariuszy, w których uwzględnia się scenariusz siłowy, jest drogą donikąd. To siła obowiązującego prawa ma decydować, nie zaś prawo siły, gdy mowa o funkcjonowaniu demokratycznego państwa prawnego, urzeczywistniającego zasady praworządności społecznej. Sprawujący władzę wykonawczą nie mogą więc stosować prawa w sobie szczególnie właściwy sposób. To może prowadzić do destabilizacji państwa.

Ze smutkiem obserwuję, że na deklaracje osób sprawujących władzę wykonawczą, iż prawo będzie stosowane, „tak jak my je rozumiemy", prawnicy o uznanym dorobku zawodowym nie reagują. Jak to określił premier Donald Tusk, puryści prawniczy w interesie obywateli powinni zabierać głos w sprawach, w których mogą następować dalekosiężne skutki wywołane działaniami władzy ustawodawczej i wykonawczej. I tłumaczyć, jak ważne jest to, aby zachowano trójpodział władzy, gdyż ustrój Rzeczypospolitej Polskiej opiera się na podziale i równowadze władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowniczej. Brak reakcji będzie wywoływał negatywne skutki dla wszystkich na następne lata. Czas każdego człowieka kiedyś się kończy, również polityka, który powinien pamiętać o tym, że w przyszłości z rozliczającego może się stać rozliczanym za podjęte decyzje. Obecnie wszyscy jednak żyją z dnia na dzień.

W moim życiu zawodowym zawsze miałam na względzie to, że podejmowane przeze mnie decyzje wywołają określone skutki na przestrzeni lat dla wielu osób. Sprawujący władzę wykonawczą i ustawodawczą też powinni myśleć nad skutkami działań wobec obywateli, licząc się z daleką perspektywą. Mam jednak wrażenie, że umiejętności tego rodzaju ocen brakuje nawet prawnikom – zwłaszcza tym, którzy stają się stroną politycznego sporu.

Mogę sobie wyobrazić, że ktoś dojdzie do wniosku, iż odrębny Trybunał Konstytucyjny zostanie powołany, a jego orzeczenia będą publikowane. Tylko nie mogę zrozumieć tego, jak kiedyś u schyłku życia sędziowie tegoż „trybunału" ocenią dorobek i tenże etap własnej działalności.

Premier Donald Tusk na niedawnym Campusie Polska Przyszłości mówił wprost, że potrzebuje „naszych sędziów" w TK i zainstaluje ich już we wrześniu. Politycy koalicji rządzącej od tygodni nie wykluczają interwencji służb w siedzibie konstytucyjnego organu państwa, tłumacząc taki krok „egzekwowaniem prawa", „zaprowadzaniem porządku" i „biciem się" – to dosłowny argument – o praworządność. Jak to świadczy o polskiej demokracji?

Organy władzy publicznej muszą działać na podstawie i w granicach prawa. Nie może więc być „naszych" sędziów czy „waszych". Sędziowie w sprawowaniu swojego urzędu są niezawiśli, podlegają tylko konstytucji i ustawom. Byłam sędzią przez ponad 40 lat i nigdy nikt nie mógł mnie zaliczyć do kategorii „swoich" sędziów. Bo być sędzią oznacza pełnić służbę wobec społeczeństwa, a nie realizować oczekiwania polityków. Tak mnie nauczono wykonywać ten zawód.

Zdumiewa mnie, że określenia o „naszych sędziach" nie wywołują reakcji ze strony świata nauki czy korporacji zawodów prawniczych. Milczą prawnicy, którzy powinni tłumaczyć obywatelom, jak ważne jest to, aby był zachowany trójpodział władzy. Powtórzę – będzie to negatywnie skutkować w przyszłości.

Politycy nie wykluczają od tygodni wariantu siłowego – w tym szef MSWiA Marcin Kierwiński. Do czasu publikacji naszej rozmowy wszystko może się zdarzyć. Czy nie zachodzi jednak taka przesłanka, że następcy premiera Donalda Tuska i jego ministrów też skorzystają ze strategii: „kto ma w rękach policję, ten ma rację", i wyrzucą z trybunału nominatów z obecnej kadencji? Przecież żadna władza nie trwa wiecznie.

Czy taki tok rozumowania nie zakłada, że w naszym życiu publicznym już zawsze będzie nienormalnie? Uważam, że po ewentualnej zmianie władzy nie zajdzie konieczność używania siły, o czym zapewne marzą politycy. Należy wymagać od sprawujących władzę, by czytali ze zrozumieniem obowiązujące prawo, a także działali na jego podstawie i w wytyczonych przepisami granicach. Oznaczałoby to również zastosowanie obowiązujących już przepisów wobec łamiących prawo, którzy sprawowali rządy. Prawo obowiązuje każdego obywatela – i tego oczekiwałam, że prawnicy podejmą się tłumaczenia przepisów, mając na względzie dobro Polaków. Nie ma zgody na to, aby brak szacunku dla obowiązującego prawa i siła regulowały to, jak toczy się nasze życie.

Mobilizacja obywateli ma sens? Liczne demonstracje przed siedzibą Trybunału Konstytucyjnego powstrzymają rządzących?

Widząc grupkę protestujących w obronie Trybunału Konstytucyjnego i garstkę ich przeciwników, nie przypuszczam, aby miało to wpływ na kroki podejmowane przez sprawujących władzę. Szanuję wszystkich tych obywateli, którzy interesują się sprawami publicznymi, a gdy wychodzą na ulice, dają wyraz swoim poglądom. Dlatego bowiem, że ważne są dla nich sprawy naszej ojczyzny. Obawiam się, iż zaangażowanie i wysiłek protestujących nie powstrzymają władzy wykonawczej od realizacji planów.

FOT. TV REPUBLIKA

eprasa.pl 8f89cdd082

Sprawujący rządy w Polsce nagle się nie zmienią. Nie zaczną inaczej funkcjonować. Jeżeli przedstawiciele którejkolwiek z władz wykraczają poza granice obowiązującego w państwie prawa, to głos grupy obywateli, reagujących na sytuację Trybunału Konstytucyjnego, nie wywoła należytej refleksji. Dyskusja społeczna, głos każdego Polaka, ma jednak znaczenie.

Przedstawiciele władzy wykonawczej i ustawodawczej muszą pamiętać o tym, że to właśnie obywatele – także ci, którzy demonstrują – będą oddawać głosy w wyborach. I to oni zadecydują o tym, komu powierzyć rządy. Zastanawiam się swoją drogą, czy nie należy zmienić prawa tak, aby legitymować się dorobkiem zawodowym i doświadczeniem życiowym, aby pełnić funkcję posła lub pracować w randze ministra. Życie uczy pokory – niezbędnej, gdy przychodzi decydować o tym, jak mają żyć inni. Oddając władzę naszym przedstawicielom w procedurze głosowania, należy przemyśleć, jakie decyzje przypadną w udziale tym, których wybieramy.

A gdyby TK broniły setki tysięcy ludzi? Wyobrażam sobie, że wtedy jakiekolwiek siłowe przejęcie stałoby się praktycznie niemożliwe.

W naszej rzeczywistości taki protest też byłby wykorzystywany do walki politycznej przez drugą stronę sporu. Natychmiast dociekano by, kto za tym stoi, jaka partia organizowała demonstracje, którzy politycy zabiegali o wyjście ludzi na ulice. W efekcie szczytny cel i czyste intencje obywateli zostałyby zmarnowane poprzez polityczne spory i oskarżenia zwalczających się obozów. Nie wiem, czy niektórych nie powstrzymuje przed wyrażeniem swojego sprzeciwu w formie protestu właśnie to, że zostaną poddani próbom wykorzystywania przez polityków.

Gdy strona liberalno-lewicowa za rządów PiS twierdziła, że łamana jest praworządność, protesty ze świeczkami i marsze KOD od 2016 roku – połączone ze wsparciem z Brukseli – niczego nie zmieniały w politycznej rzeczywistości. Ba, PiS wygrywało w cuglach kolejne wybory do europarlamentu, Sejmu, a mimo pandemii Andrzej Duda obronił drugą kadencję prezydencką. Może jest tak, że ludzi „nie grzeje" kwestia TK i sądów?

Winą za taki stan rzeczy można obdzielić po równo kolejne pokolenia polityków. Państwo powinno dążyć do tego, aby zapewnić obywatelowi taką edukację, że sprawi, iż znajomość zapisów konstytucji i obowiązującego prawa będzie w społeczeństwie na właściwym poziomie, pozwalającym na dokonanie ocen. Nieznajomość prawa szkodzi, a wiążące jest domniemanie powszechnej znajomości prawa.

Od lat postuluję, aby edukacja szkolna obejmowała konieczność nauki prawa w taki sposób, by służyła Polakom w codziennym funkcjonowaniu. Temu mogłaby służyć choćby obecność prawników w mediach. W czasach demonstracji sprzed lat, gdy protestujący odwoływali się do konstytucji, odnosiłam niejednokrotnie wrażenie, że okazanie okładki nie szło w parze ze znajomością treści ustawy zasadniczej. Łatwo też w takiej sytuacji manipulować zapisami konstytucji.

Jak słaba jest znajomość obowiązującego prawa, miałam okazję przekonać się wtedy, kiedy byłam rzecznikiem prasowym sądu okręgowego. Dziennikarze niejednokrotnie zwracali się do mnie, myląc funkcję, którą pełniłam. Określali mnie mecenasem lub prokuratorem. Czego mamy więc oczekiwać od ogółu obywateli, których codzienność nie sprowadza się do stosowania prawa i informowania o przepisach?

Od wielu lat oczekiwałam, że sędziowie – w ramach swoich obowiązków – będą dążyć do tego, aby uczestnicząc w rozprawach albo w dyskusjach publicznych, zacząć tłumaczyć obowiązujące prawo. Sędzia, ukryty przed komputerem na sali rozpraw, nie przekaże obywatelom niezbędnej wiedzy – po to, aby wymiar sprawiedliwości cieszył się należytym szacunkiem.

Czy przejęcie trybunału nie zacznie działać masowo na wyobraźnię, gdy zacznie się realizacja planu, o którym publicznie pisali i mówili m.in. Wojciech Sadurski i Ryszard Kalisz? W skrócie polega on na tym, że TK z Berkiem w składzie stanie się odrębną instytucją, która będzie omijać prezydenckie weta, a nawet uzna – w obliczu braku zaprzysiężenia dla sędziów i kandydatów do TK – że głowa państwa nie jest zdolna do pełnienia swojej funkcji. W danym obszarze, np. sądownictwa, prerogatywy przejąłby marszałek Sejmu. Co by to oznaczało i czy według Pani Sędzi to realna perspektywa?

Czy taką próbą destabilizacji demokratycznego państwa prawnego nie był podział na „właściwych" i „neosędziów"? I podważanie wyroków, wydawanych przy udziale tych drugich? Trzeba mieć świadomość, jak wielu Polaków ta sytuacja dotknęła, np. wpływając na przedłużanie się procesów. Jak wielu pokrzywdzonych przestępstwem musiało kolejny raz wracać do traumatycznych przeżyć? Ta sytuacja sprawiła, że powaga wymiaru sprawiedliwości odeszła w zapomnienie. Mogę sobie wyobrazić, że ktoś dojdzie do wniosku, iż odrębny TK zostanie powołany, a jego orzeczenia będą publikowane. Tylko nie mogę zrozumieć tego, jak kiedyś u schyłku życia sędziowie tegoż „trybunału" ocenią dorobek i tenże etap własnej działalności.

Jak już mówiłam, nikt nie jest nieśmiertelny, a nasza zawodowa aktywność również niegdyś się kończy. Przygotowywane przez prawników scenariusze, wychodzące naprzeciw oczekiwań polityków, będą stanowiły ciekawostkę dla analityków obecnej sceny politycznej. Mam tylko nadzieję, że młodzi ludzie, także studenci prawa, sprzeciwią się bezprawiu i chaosowi, powstającemu wówczas, gdy prawo jest lekceważone.

Przymiarką do siłowego wejścia do TK była akcja w Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. Odwołano dr. Michała Sopińskiego, nominat Waldemara Żurka, Sławomir Cudak, najpierw nie mógł wejść do gabinetu w asyście policji, bo funkcjonariusze odmówili mu pomocy, w kolejnych dniach osiągnął swój cel, ale – jak donoszą media – w gmachu uczelni zniszczono aż ścianę, by w końcu zajął biurko rektora. Jak Pani skomentuje te przedbiegi w siłowym przejęciu TK?

eprasa.pl 8f89cdd082

Kwestia Akademii Wymiaru Sprawiedliwości zapewne mniej by mną poruszyła, gdyby nie wykorzystywanie funkcjonariuszy Służby Więziennej do tego, aby w nocy wręczali decyzje ministra sprawiedliwości w odległej części kraju rektorowi uczelni. Wiem, jak bardzo specyficzna jest to służba, jak ciężką pracę wykonują pełniący ją funkcjonariusze. Obserwując sytuację – w tym wypadku – dochodzę do wniosku, że pan minister nie wie, jak szczególnego rodzaju ona jest. Świat za murami aresztów śledczych i zakładów karnych jest bardzo specyficzny. Łatwo sobie wyobrażam, że tematy, będące elementem dyskusji publicznej, w której uczestniczą funkcjonariusze Służby Więziennej, mogą odbić się na sytuacji tych, którzy mają codzienny kontakt z osadzonymi. Minister sprawiedliwości musi mieć świadomość tego, że budowanie szacunku dla służby pełnionej przez Służbę Więzienną leży w społecznym interesie.

Polska opinia publiczna od kilku tygodni żyje tym, co śledczym powiedział Przemysław Kral, szef upadłego Zondacrypto, reprezentowany przez posła KO Romana Giertycha. Nie wiemy jednak, jaki jest status biznesmena. Mówiło się, że został małym świadkiem koronnym. Prokurator Anna Adamiak z Prokuratury Krajowej stwierdziła: „Mogę powiedzieć, że pan Kral ma status, co do którego nie mogę się wypowiadać. To decyzja prokuratora prowadzącego postępowanie". Czy to standardowa praktyka organów ścigania?

Zdziwiłam się, że prokurator z wieloletnią praktyką w taki sposób udziela informacji. To obowiązujące prawo wyznacza status osoby w prowadzonym postępowaniu. O jakiej więc tajemnicy jest mowa? Skoro toczy się postępowanie karne i jesteśmy o tym fakcie informowani, to udzielanie informacji w taki sposób, że prawnik nie rozumie sytuacji, trudno akceptować.

Podobnie wygląda sprawa z doniesieniami, iż zastosowano najsurowszy środek zapobiegawczy, tymczasowy areszt, wobec osób, podając wśród powodów to, że nie przyznały się one do zarzucanych im czynów. Chciałabym tylko przypomnieć: przyznanie się nie jest „królową dowodów". I zachęcam wszystkich do zastanowienia się, jakie to ma znaczenie. Co do pana Krala – mnożą się wiadomości, które mnożą chaos i zamęt, zamiast dostarczenia niezbędnych informacji, które odpowiedziałyby na pytanie o procesową sytuację szefa Zondacrypto. Jeżeli jest osobą podejrzaną, to nie składa zeznań, tylko wyjaśnienia. To o tyle ważne, że wiążą się z tym uprawnienia i obowiązki różne w przypadku podejrzanego i świadka.

Zdumiewa mnie, że określenia o „naszych sędziach" nie wywołują reakcji ze strony świata nauki czy korporacji zawodów prawniczych. Milczą prawnicy, którzy powinni tłumaczyć obywatelom, jak ważne jest to, aby był zachowany trójpodział władzy.

Oczekiwałabym również wyjaśnienia, w jakim trybie toczą się czynności z udziałem osoby podejrzanej, jeśli przebywa poza granicami Polski. Przypomnę, iż nawet przyznanie się do zarzucanych mu czynów nie kończy postępowania. Należy zebrać dowody dające podstawę do przyjęcia za udowodnioną ponad wszelką wątpliwość winę danej osoby w zakresie zarzucanego jej czynu lub czynów.

O tym, kto może zostać świadkiem koronnym – na określonym ustawowo etapie postępowania – decyduje sąd. A zatem podejrzany najpierw składa wyjaśnienia, następnie prokurator może wystąpić z wnioskiem do właściwego miejscowo sądu okręgowego o ustanowieniu właściwej osoby świadkiem koronnym. Jeśli sąd go uwzględni, to wówczas mogą nastąpić działania właściwe dla postępowania z udziałem świadka koronnego. Jak widać, jest to procedura złożona. Na staranność przygotowania postępowania przygotowawczego i przebieg procedury nie powinny wpływać oczekiwania polityków, a sposób informowania opinii publicznej w tej sprawie nie powinien wprowadzać obywateli w błąd.

Ta procedura z decyzją sądu o nadaniu specjalnego statusu podejrzanego nie obejmuje instytucji małego świadka koronnego?

Utarła się praktyka, że prowadzący postępowanie przygotowawcze prokurator uzyskuje od podejrzanego deklarację, iż ten „chce skorzystać z przepisu art. 60 par. 3 i 4 Kodeksu karnego" – o możliwym nadzwyczajnym złagodzeniu kary. Po czym dopiero następują wyjaśnienia takiej osoby. Praktyka ta może dyskwalifikować przepis, który w założeniu ustawodawców miał zapewne inny cel. To nadal bowiem sąd decyduje o tym, czy przestępca zasługuje na dobrodziejstwo nadzwyczajnego złagodzenia kary w postępowaniu karnym – o ile takie postępowanie z udziałem takiej osoby się już toczy.

Nasuwa się jednak refleksja, że nie należy rozpoczynać postępowania przygotowawczego od układu z przestępcą. Osoba dopuszczająca się łamania prawa zawsze będzie miała na uwadze swoją sytuację i interes w tym, aby uniknąć odpowiedzialności. Śledczy mają obowiązek gromadzenia materiału dowodowego zgodnie z prawem – tak aby to niezawisły sędzia mógł podejmować decyzje.

W przypadkowej rozmowie z napotkanymi obywatelami usłyszałam, że bez sprawnego wymiaru sprawiedliwości nie będzie państwa. W tym stwierdzeniu zawarta jest głęboka mądrość. Bez skutecznych, sprawnie działających sądów i trybunałów, władzy odrębnej i niezależnej od innych, nie ma mowy o demokratycznym państwie prawnym. Powinni o tym pamiętać wszyscy Polacy, w tym politycy, którzy coraz chętniej wydają wyroki, zanim jakaś sprawa znajdzie finał w sądzie. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

Piotr
Lisiewicz
Z-CA RED. NACZELNEGO „GP"

NAJWIĘKSZY BŁĄD MORAWIECKIEGO.

KO I PSL POMOGŁY MU WYBRAĆ HORAŁĘ

KONCESJONOWANA PRAWICA

eprasa.pl 8f89cdd082

„To będzie najdroższy wicemarszałek w polskiej polityce. Bardzo duży błąd Rozwoju Plus... To będzie pierwszy krok, żeby ta partia nie miała 5, a 4, 3, 2 proc. poparcia" – powiedział Łukasz Pawłowski z Ogólnopolskiej Grupy Badawczej w Telewizji Republika o wyborze Marcina Horały dzięki poparciu KO i PSL. Abstrahując od poglądów, z punktu widzenia obozu niepodległościowego samodzielny start w wyborach ugrupowania Mateusza Morawieckiego nie ma żadnego sensu. Rozwój Plus nie został prawicową Trzecią Drogą, nie przyciągnął i nie przyciągnie żadnych innych wyborców poza tymi PiS. I albo nie przekroczy progu 5 proc., albo przekroczy nieznacznie, co przy systemie D'hondta spowoduje, że mnóstwo głosów wyborców się zmarnuje.

NIC DOBREGO

To jest brutalna prawda po decyzji Morawieckiego o wyjściu z PiS: potencjału poszerzania elektoratu obozu niepodległościowego nie ma żadnego, za to jest potencjał rozbijania go.

FOT. FOT. ANDRZEJ PIEKARSKI

Jarosław Kaczyński po wyborze Marcina Horały na wicemarszałka Sejmu napisał: „Długo się zastanawiałem, dlaczego M. Morawiecki rozbił PiS. Dziś już wiemy, że oprócz osobistych ambicji celem było rozpoczęcie rozmów z Tuskiem. I są już tego pierwsze owoce: wicemarszałek dla Rozwoju+ wbrew wszelkim regułom parlamentarnym. To przykre, ale ta sytuacja wiele wyjaśnia wyborcom: Konfederacja dopuszcza koalicję z Tuskiem, a M. Morawiecki już się z nim układa. Więc czas na powrót do Prawa i Sprawiedliwości! Jedynej siły, która może powstrzymać Tuska!".

Brak wicemarszałka Sejmu dla PiS, drugiego najliczniejszego klubu poselskiego, to od początku kadencji część wprowadzania w życie „demokracji walczącej". To naruszenie obyczaju, który był w III RP oczywistością: że wszystkie duże kluby, również opozycyjne, mają swoich wicemarszałków. Teraz w poparcie tego scenariusza wpisali się posłowie od Morawieckiego, razem z KO i PSL wybierając Horałę na wicemarszałka. Nagle okazało się, że z punktu widzenia Tuska Horała przestał być pisowskim złem i wszystko zostało mu wybaczone.

Kwaśniewski doradza koalicję z Morawieckim

Pisowcy podnosili wcześniej różne syndromy tego, że partia Morawieckiego dogaduje się z Tuskiem. Aleksander Kwaśniewski powiedział w jednym z wywiadów, że KO powinna rozważyć dogadanie się z Morawieckim. Stronnik Morawieckiego, poseł Krzysztof Szczucki, były poseł PiS, znienacka w internecie przeprowadził z Kwaśniewskim wywiad. Zwolennicy tych teorii dzięki wyborowi Horały zyskali argument za tym, że ubekistan chce rozbić prawicę, używając do tego Morawieckiego. Niezależnie, czy przy jego złej woli, czy czysto instrumentalnie.

Łukasz Pawłowski, szef Ogólnopolskiej Grupy Badawczej (OGB), w rozmowie z Michałem Rachoniem w Telewizji Republika tak opisał, dlaczego Morawiecki może przyczynić się do utrzymania władzy

eprasa.pl 8f89cdd082

przez Tuska: „Najgorszym w ogóle scenariuszem dla prawicy byłoby, że te cztery partie startują, ale Mateusz Morawiecki ma 4,5 proc. Nie przekracza progu, nie dostaje żadnych mandatów. I nagle okazuje się, że z tych 51 proc. na prawicy mandaty dzieli się już tylko dla 47 proc.”.

Analiza Łukasza Pawłowskiego, socjologa niebędącego po którejkolwiek stronie sceny politycznej, obiektywnie wskazuje, dlaczego Morawiecki może dać sukces obozowi Tuska: „Wyborcy partii Morawieckiego, gdyby jej nie było, głosowaliby na PiS. Nie ma tego efektu jak wtedy, gdy powstała Trzecia Droga, że część wcześniejszych wyborców PiS na nią zagłosowała, wyborców Pawła Kukiza czy takich, którzy nie głosowali w ogóle”.

Czarnek ma sens, Morawiecki niekoniecznie

Brak sukcesu Rozwoju Plus wcale nie wynika z braku charyzmy Mateusza Morawieckiego, a z błędnej decyzji podjętej w fatalnym momencie. W początkach premierowania Morawiecki ze swoją wiedzą o gospodarce był dla PiS wartością dodaną. Ale w 2026 roku nastroje są inne: w sytuacji, gdy PiS musi bić się o elektorat mogący zagłosować na obie Konfederacje, wystawienie Przemysława Czarnka jako kandydata na premiera było posunięciem sensownym, lepszym niż postawienie na Morawieckiego, który w tym elektoracie jest niepopularny, nawet jeśli niesłusznie. Nominacja Czarnka miała potencjał poszerzania elektoratu niepodległościowego.

Odwrotnie jest z decyzją Morawieckiego o wyjściu z PiS: potencjału poszerzania elektoratu obozu niepodległościowego nie ma żadnego, za to jest potencjał rozbijania go. I sprawienia, by miał on mniej posłów. Bardzo prawdopodobne, że o tyle mniej, iż Tusk utrzyma się u władzy z wszystkimi tego fatalnymi konsekwencjami.

Z Morawieckim odeszło trochę budzących sympatię polityków. Postanowił on bazować na tych mniejszościowych wyborcach PiS, którzy nie akceptują czarnkowego zwrotu na prawo. Poniekąd ja mógłbym należeć do takich wyborców: na przykład nie mam modnych obecnie poglądów ostro antyukraińskich. Tylko że nie jestem nim, bo wyczuwam fałsz rozbijackiego grania na owych nastrojach. W oczywisty sposób korzystnego dla Tuska.

Z Morawieckim odeszło trochę budzących sympatię polityków. Postanowił on bazować na tych mniejszościowych wyborcach PiS, którzy nie akceptują czarnkowego zwrotu na prawo.

Morawiecki nie jest Trzecią Drogą

Jarosław Kaczyński powiedział po wyborze Horały: „Decyzja, która była dla nas nie tyle może zaskoczeniem, co takim ostatecznym potwierdzeniem faktu, że dzisiaj panu Mateuszowi Morawieckiemu i jego towarzyszom jest bliżej do obecnego rządu, do koalicji 13 grudnia, niż było do nas”.

Dlaczego postawa Morawieckiego jest korzystna dla zwolenników ubekistanu? Łukasz Pawłowski na zimno analizuje przepływy elektoratu: „Badaliśmy scenariusz jednej listy po stronie liberalnej i scenariusz dwóch list, wokół KO i Lewicy. I one za każdym razem miały więcej niż 231 mandatów, czyli większość w Sejmie. W 2015 roku Prawo i Sprawiedliwość zdobyło 37 proc. głosów, a miało bezwzględną większość w Sejmie”. Według socjologa najlepiej jest, gdy partia ma więcej niż 10 proc., bo wtedy zdobywa mandaty w każdym okręgu, a każda lista, która jest poniżej 10 proc., mandaty traci.

Morawiecki w niektórych wypowiedziach sugerował, że mógłby być jakąś nową wersją Trzeciej Drogi, korzystną dla PiS. Pawłowski mówi, że według badań nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością, bo Morawiecki nie ma szans być kimś, kto przyciągnie niezdecydowanych. Pytany przez Michała Rachonia, czy Mateusz Morawiecki 2027 może był Szymonem Hołownią 2023, analityk odpowiedział: „Porównanie jest kompletnie nielogiczne. Hołownia nie był premierem przez 7 lat i nie był główną twarzą tej drugiej strony. Morawiecki jest dziś jednym z najbardziej rozpoznawalnych polityków i liderów nieufności, co wynika z tego, że rządził, to jest ten ciężar rządzenia. Żaden wyborca, który w 2023 roku, 15 października, głosował, żeby odsunąć PiS od władzy, bo taka była motywacja całej tej koalicji, która szła do wyborów. Oni chcieli odwołać Mateusza Morawieckiego, bo on był wtedy premierem. Był premierem za czasów covidu, za czasów wojny w Ukrainie, był tą osobą, która wprowadzała Polski Ład. Ci wyborcy nie zagłosują na Mateusza Morawieckiego, jeśli go chcieli wcześniej odwołać”.

Braun i Morawiecki

Według Pawłowskiego wersja, zgodnie z którą Rozwój Plus będzie samodzielnie kandydował do Sejmu, jest bezsensowna: „Nie wierzę w taki scenariusz, że Mateusz Morawiecki startuje samodzielnie. To jest nielogiczne”. Jak ocenił analityk, Rozwój Plus mógłby uzyskać więcej miejsc w parlamencie, kandydując w ramach nowej wersji PiS–Zjednoczonej Prawicy.

W coraz bardziej skomplikowanej sytuacji na prawicy, podział w PiS jest najbardziej pożądany z punktu widzenia obozu Donalda Tuska. On nie ma szans na zwycięstwo bez istnienia z jednej strony rosyjskiego obozu na prawicy Grzegorza Brauna, a z drugiej strony prawicy skłonnej do współpracy z Donaldem Tuskiem. I ten scenariusz jest realizowany, by obóz niepodległościowy nie wygrał w sposób zdecydowany, jak w latach 2015–2023. Tylko cofnął się do lat 2005–2007, gdy musiał rządzić z rosyjskimi przybudówkami, a przez owe kompromitacje oddać niebawem władzę Donaldowi Tuskowi. Okropna to perspektywa, ale całkiem realna, gdy przegra KO. A właściwie potencjalnie wygra. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

WRZEŚNIOWE NOWOŚCI

Sklep Gazety Polskiej POLECA

ZBIEGLI NAZIŚCI. JAK HITLEROWSCY ZBRODNIARZE UCIEKLI PRZED SPRAWIEDLIWOŚCIĄ

GERALD STEINACHER

To fascynująca opowieść o jednej z najbardziej niewygodnych kart powojennej historii. Gerald Steinacher z reporterską precyzją i historyczną rzetelnością odsłania kulisy ucieczek nazistowskich zbrodniarzy, pokazując sieć zależności, instytucji i ludzi, którzy pomogli im zniknąć z pola widzenia sprawiedliwości. Jeśli cenisz literaturę faktu, która czyta się jak rasowy thriller, ta książka nie pozwoli Ci się oderwać od lektury.

Format: 133x215 mm | **Liczba stron:** 560 | **Oprawa:** miękka

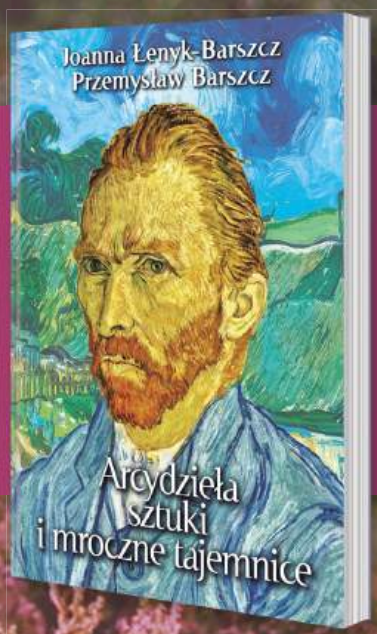

ARCYDZIEŁA SZTUKI I MROCZNE TAJEMNICE

JOANNA ŁENYK-BARSZCZ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Co kryje się za najbardziej znanymi obrazami świata? Autorzy zabierają czytelników w niezwykłą podróż po historii sztuki, odkrywając tajemnice, zagadki i mroczne wątki ukryte w dziełach wielkich mistrzów. To książka dla wszystkich, którzy lubią patrzeć głębiej, dostrzegać znaczenia niewidoczne na pierwszy rzut oka i przekonywać się, że sztuka potrafi być równie intrygująca jak najlepszy kryminał.

Format: 155x225 mm | **Liczba stron:** 342 | **Oprawa:** miękka ze skrzydełkami

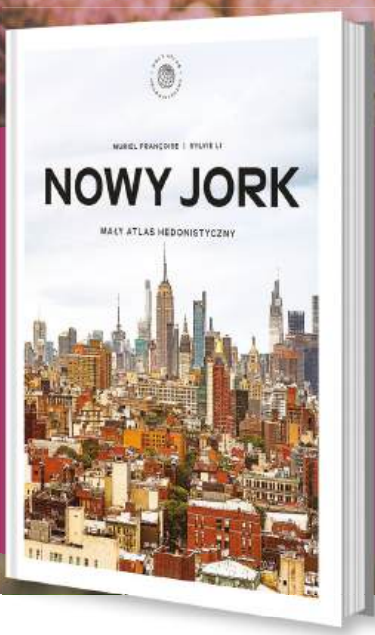

NOWY JORK. MAŁY ATLAS HEDONISTYCZNY

MURIEL FRANÇOISE, SYLVIE LI

Nowy Jork nigdy nie przestaje zachwycać, a ten pięknie wydany atlas pozwala odkrywać miasto wszystkimi zmysłami. To nie tylko przewodnik, ale także zaproszenie do celebrowania miejskiego życia: smaków, sztuki, architektury i niepowtarzalnej atmosfery ulic Manhattanu czy Brooklynu. Idealna propozycja zarówno dla osób planujących podróż, jak i tych, którzy chcą przenieść się do Wielkiego Jabłka bez wychodzenia z domu.

Format: 205x250 mm | **Liczba stron:** 256 | **Oprawa:** twarda

Zamów w naszym sklepie pod adresem **sklep.gazetapolska.pl | tel. 22 232 37 70**

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807**
sklep@gazetapolska.pl

SKLEP GAZETY POLSKIEJ

eprasa.pl 8f89cdd082

DO OCENY DZIAŁAŃ SZEFÓW PROKURATURY PRZYDA SIĘ KODEKS KARNY

Z PROKURATOREM PAWŁEM WILKOSZEWSKIM ROZMAWIA GRZEGORZ BROŃSKI

Nie przypominam sobie, żeby prezes Rady Ministrów kiedykolwiek wcześniej odczytywał na forum sejmowym materiały ze śledztwa. Wydaje się, że przeważyły racje natury politycznej – mówi prokurator Paweł Wilkoszewski, nowy prezes Niezależnego Stowarzyszenia Prokuratorów „Ad Vocem". Czy działania obecnego kierownictwa prokuratury powinny być ocenione pod kątem odpowiedzialności karnej? – Są zbierane wszelkie informacje o bezprawnych czynach – zapewnia.

Jak Pan ocenia obecny stan prokuratury?

Wprawdzie od 30 września ubiegłego roku jestem nadal zawieszony w wykonywaniu czynności służbowych i nie mam bezpośredniego wglądu w to, co się dzieje w prokuraturze, ale oczywiście pewne informacje do mnie docierają, właściwie codziennie rozmawiam z prokuratorami. Analiza tych informacji prowadzi do nie-

eprasa.pl 8f89cdd082

DOKUMENTY NIE PŁONĄ

Jest prowadzone Archiwum „Przeciw Bezprawiu" im. mec. Władysława Siły-Nowickiego, w którym są zbierane wszelkie informacje o bezprawnych czynach. W przyszłości będą one wykorzystane.

FOT. YOUTUBE

zbyt pozytywnych wniosków i ocen co do stanu prokuratury. Od 2024 roku obniżył się poziom prowadzenia postępowań. Odnoszę zresztą wrażenie – i nie tylko ja – że prokuratorzy w ostatnim czasie starają się zabezpieczać przed konsekwencjami poleceń wydawanych przez kierownictwo prokuratury. Kierownictwo, które jest kwestionowane w orzeczeniach Sądu Najwyższego, Trybunału Stanu czy też wcześniej w orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego z 2024 roku.

Przez minione trzy lata takich orzeczeń Sądu Najwyższego zapadło całkiem sporo, mimo to niewiele się zmieniło. Te same osoby kierują prokuraturą, a ich główny, właściwie jedyny argument: „to nie wyrok", „to nie sąd".

Mam wrażenie, że niektórzy z tego bezprawnie powołanego na funkcję kierownictwa doszli do ściany i nie pozostało im już nic więcej, tylko jak mantrę powtarzać, że to nie jest sąd, kwestionować wszelkie orzeczenia, które są dla nich niekorzystne. Prokuratorzy to jednak widzą, pozwalają sobie na refleksję, co będzie z nimi, kiedy jednak okaże się, że to jest sąd, wbrew gołosłownym twierdzeniom kierownictwa prokuratury.

Równocześnie kierowane są przez prokuraturę rozmaite pisma i wnioski do Izby Odpowiedzialności Zawodowej SN, gdy np. sędzia złamie prawo. Albo gdy szykanowane są osoby krytykujące działania w wymiarze sprawiedliwości. Wtedy nagle „niesąd" okazuje się sądem?

Dokładnie tak jest. Trzeba tu chociażby wspomnieć, że orzeczenia dotyczące uchylenia immunitetu sędziów czy prokuratorów zatrzymanych na gorącym uczynku w chwili popełnienia czynu zabronionego są jak najbardziej akceptowane. Można więc mówić o pewnej schizofrenii, że jedne orzeczenia nie są akceptowane, a drugie są egzekwowane. To niewątpliwie szkodliwe.

Tego typu zachowania kwalifikują się na przyszłą analizę pod kątem odpowiedzialności karnej, nie tylko dyscyplinarnej?

Oczywiście. Jest prowadzone Archiwum „Przeciw Bezprawiu" im. mec. Władysława Siły-Nowickiego, w którym są zbierane wszelkie informacje o bezprawnych czynach. Na pewno w przyszłości będą one wykorzystane. Możemy mówić nie tylko o odpowiedzialności dyscyplinarnej, lecz także karnej, przede wszystkim chodzi o art. 231 Kodeksu karnego [nadużycie uprawnień lub niedopełnienie obowiązków przez funkcjonariusza publicznego – przyp. red.]. Często też przez osoby nieuprawnione podejmowane są różnego rodzaju decyzje natury finansowej. Tutaj już możemy mówić o kwalifikowanej formie tego przestępstwa, czyli art. 231 par. 2 Kodeksu karnego, a więc chodzi o czyn dokonany w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej.

Prokuratura jest wykorzystywana do walki politycznej?

Nie pokuszę się o jakieś zdecydowane oceny, ale fakty wskazują na to, że jedna strona polskiej polityki jest traktowana przez palce, natomiast wobec drugiej wyciągane są wszelkie konsekwencje natury prawnokarnej. W tym kontekście dochodzi już do absurdów tego typu, że sprawy, w których ściga się polityków opozycji, dotyczące znieważenia funkcjonariuszy publicznych, są prowadzone na poziomie prokuratury regionalnej, która jest powołana do tego, żeby ścigać przede wszystkim przestępstwa finansowo-skarbowe i przestępstwa gospodarcze, gdy w grę wchodzą kwoty strat w wysokości co najmniej kilku milionów złotych.

Co Pan pomyślał, jak usłyszał premiera odczytującego w Sejmie fragmenty protokołu przesłuchania, będącego częścią materiału dowodowego z toczącego się właśnie śledztwa?

W pierwszej chwili zastanowiłem się, czy prezes Rady Ministrów miał uprawnienie do odczytywania tego rodzaju protokołu, do dzielenia się publicznie informacjami z postępowania przygotowawczego, które co do zasady ma charakter niejawny. No i od razu pomyślałem, czy to przypadkiem nie wyczerpuje znamion przestępstwa z art. 241 Kodeksu karnego.

Ale nawet jeśli założymy, że minister Waldemar Żurek dał premierowi wszelkie niezbędne zgody, to śledztwo w sprawie Zondacrypto jest na początkowym etapie, zatrzymywane są kolejne osoby, pojawiają się nowe wątki. Czy właśnie ta sytuacja nie jest potwierdzeniem tezy o wyko-

eprasa.pl 8f89cdd082

rzystywaniu prokuratury do celów politycznych?

Nie przypominam sobie, żeby prezes Rady Ministrów kiedykolwiek wcześniej odczytywał na forum sejmowym materiały ze śledztwa, protokoły przesłuchania – wszystko jedno, czy świadka, czy podejrzanego. Wydaje się, że przeważyły racje natury politycznej. Taki pogląd może być podzielony nie tylko przez prokuratorów, ale po prostu przez obywateli.

Były przypadki, kiedy np. prokurator generalny lub jego zastępcy dzielili się publicznie swoją wiedzą o jakimś postępowaniu, ale takie materiały były prezentowane w określonej całości, a nie we fragmencie pasującym dzielącemu się tą informacją.

Wspomniał Pan, że jest od roku zawieszony w czynnościach. Lista osób, które dotknęły podobne represje, jest bardzo długa. Co jednak szczególnie bulwersuje, dyscyplinarki są wszczynane wobec sędziów i prokuratorów jedynie za wygłoszoną opinię, komentarz, własne zdanie. Nie wolno obecnie krytykować kierownictwa Ministerstwa Sprawiedliwości i prokuratury?

Władze prokuratury, mam na myśli tę część, która jest odpowiedzialna za pion dyscyplinarny, czyli rzeczników dyscyplinarnych, jak i Sąd Dyscyplinarny przy Prokuratorze Generalnym, stwarzają wrażenie, że pewne rzeczy są tabu. O pewnych rzeczach mówić nie można.

Dla części prokuratorów takie zabiegi są absurdalne. Absurdalne o tyle, że ci prokuratorzy zabierają głos zgodnie z orzeczeniami Sądu Najwyższego czy Trybunału Konstytucyjnego. A grupa zawieszonych prokuratorów, wobec których są stosowane represje, może nie jest duża, ale znacząca pod względem funkcji, które pełnią. Elżbieta Pieniążek to legalny prokurator regionalny w Białymstoku. Michał Ostrowski – zastępca prokuratora generalnego. Aktualnie zawieszony jest zastępca prokuratora generalnego ds. wojskowych Tomasz Janeczek.

Wiadomo, że to wszystko ma wywrzeć na prokuratorach jakiś efekt mrożący, ale wydaje się, że z biegiem czasu to działanie będzie coraz mniej skuteczne.

Równocześnie prokurator Ewa Wrzosek regularnie publikuje komentarze o ewidentnie politycznym charakterze. Nie tylko nie ponosi konsekwencji, ale została radcą generalnym w resorcie sprawiedliwości i kierownikiem zespołu śledczego. Irytuje prokuratorów taka podwójna miara?

Zdecydowanie coś takiego irytuje. Nie tylko w gronie stowarzyszenia „Ad Vocem", lecz także prokuratorów, których nazwałbym neutralnymi, którzy są ponad wszelkimi podziałami w środowisku prokuratorskim. Pani prokurator Ewa Wrzosek nie cieszy się dużą popularnością wedle informacji, które do mnie docierają.

Pewnym rozczarowaniem jest brak wśród większości prokuratorów głębszej refleksji, czy to, co nakazuje mu jego kierownictwo, jest legalne, oraz czy to kierownictwo zostało powołane zgodnie z obowiązującym prawem. Przy czym dostrzegam trend, że prokuratorzy coraz mniej się boją.

Jest Pan zaskoczony tak dużą grupą prokuratorów milczących, niereagujących na to, co się dzieje?

Jako prokurator – trochę jestem, bo mamy stać na straży praworządności bez względu na uwarunkowania społeczne. Natomiast z perspektywy przeciętnego zjadacza chleba – już tak zaskoczony nie jestem. Rzeczywiście największa grupa w prokuraturze to grono osób, które nie chciałyby się wychylać, mających obawy wywołane przez postępowania dyscyplinarne, o których rozmawialiśmy, będących w różnych sytuacjach rodzinnych. Wychodzą oni z poniekąd słusznego założenia, że prokurator ma służyć społeczeństwu, a nie bawić się w „wojny na górze". Przy czym dostrzegam trend, że coraz mniej się boją.

Natomiast niewątpliwie pewnym rozczarowaniem jest brak wśród większości prokuratorów głębszej refleksji, czy to, co nakazuje mu jego kierownictwo, jest legalne, oraz czy to kierownictwo zostało powołane zgodnie z obowiązującym prawem.

Był Pan naczelnikiem Wydziału Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej, którego działania obecnie wywołują chyba najwięcej emocji. W założeniu powinien ścigać sędziów i prokuratorów łamiących prawo, ale chyba dostał „nowe zadania"?

Ewidentnie widoczny jest nowy wektor tych zadań. WSW w praktyce służy dziś do tego, żeby ścigać niezależnych sędziów, niezależnych prokuratorów. Takich jak sędzia Piotr Schab. Wygląda na to – a nie obserwuję pracy WSW ze środka, bo nie mam dostępu do informacji ze śledztw, ale publicznie widać efekty tych prac – że obecnie WSW jest właśnie do tego, żeby zwalczać tych sędziów i prokuratorów, którzy są solą w oku obecnej władzy. Nie tylko prokuratury, lecz także politycznej. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

FELIETON

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }

Jacek **Liziniewicz**

SIEWCY MARAZMU

W serii książek o Harrym Potterze są takie mroczne postacie, które wysysają szczęście z otoczenia. W ich obecności każdy bohater czuje się nieswojo. Niezależnie od tego, czy posiada magiczne zdolności, czy nie. Ostatnio odnoszę wrażenie, że dementorzy zamieszkali masowo w Polsce. Nasz kraj z roku na rok pogrąża się w marazmie. Nikt już o nic nawet zbytnio nie walczy, bo nie widzi w tym szczególnego sensu. Para uszła najbardziej z ludzi, którzy wierzyli, że po odejściu PiS-u od władzy Polska zmieni się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W marazm popadli też ci, którzy liczyli, że po zwycięstwie Karola Nawrockiego opozycja pójdzie za ciosem i dorwie Donalda Tuska. Opozycja podziałami napędza poczucie bezsensu. Dodatkowo uderza się we wszelakie przejawy aktywności społeczeństwa. Rolnicy, mimo najgorszej od 20 lat koniunktury, nie protestują, bo uważają, że się nie opłaca. Ich sprzeciw i tak nie zmieni podejścia resortu. Zamiast buntu wybierają bojkot. Czyli marazm. W związku z tym minister Stefan Krajewski korzysta i dalej wbija kolejne noże w plecy. Mało tego, urzędy w Polsce również pracują na to, by społeczeństwo ogarniał marazm. Oto skarbówka pochwaliła się interwencjami na dożynkach. Wlepiano mandaty gospodyniom wiejskim, które częstowały uczestników swojskim jedzeniem. Ma to sprawić, że nie będzie im się chciało. Ma bowiem zapanować marazm. Jest to jedna z cech rozpoznawczych rządów Donalda Tuska. Tak samo było w czasach jego poprzedniej kadencji. Wtedy też po ulicach wiało beznadzieją, a każdy autentyczny oddolny ruch był tłamszony. Władza tego się właśnie boi. W Krakowie mieszkańcy mają szansę wyrwać się z tego stanu. Jeżeli jednak wybiorą kandydata z tego samego klucza co zawsze, to znów marazm zwycięży. Oby nie. **GP**

Ma zapanować marazm. To jedna z cech rozpoznawczych rządów Donalda Tuska. Tak samo było w czasach jego poprzedniej kadencji.

FELIETON

{ KRÓTKO I NA TEMAT }

Krzysztof **Karnkowski**

KONIEC SNU O EUROPIE

Wygrana AfD w Saksonii-Anhalcie poruszyła bardzo mocno nasze elity polityczne i dziennikarskie. Jest to oczywiście interesujące wydarzenie, z naszego punktu widzenia zarówno obiecujące (bo sprawia, że elity unijne mają większe problemy niż PiS, który wbrew bzdurnym narracjom żadnym „polskim AfD" nigdy nie był) i niepokojące (bo niektórzy z saksońskich działaczy AfD zdają się naprawdę kochać Rosję tak samo jak Niemcy, a to już chore). Premier zdążył wykorzystać ten fakt do ataku na opozycję, kilkoro ogarniętych komentatorów odpowiednio naświetliło sprawę, a polska opinia publiczna jak zawsze zorganizowała się według stałych linii podziału. Jednak wygrana AfD ma jeszcze jeden wymiar. Nasze gardzące wyobrażonym przez siebie polskim motłochem liberalne elity niestosowne ich zdaniem wyniki wyborów latami tłumaczyły sobie jakimiś specyficznymi, też na ogół urojonymi, cechami Polaków. Polaków przefiltrowanych przez sowiecki lub postsowiecki sposób myślenia, o czym pisał choćby ksiądz Tischner. Za wzór stawiający nam często Czechów, którzy jakoś poradzili sobie z Babiszem i Klausem. Mam jednak wątpliwości, czy tak samo łatwo zracjonalizują sobie sukcesy Alternatywy dla Niemiec, a wkrótce Zjednoczenia Narodowego we Francji, może też Reform UK w Anglii. Oto „stara Europa", obiekt ich westchnień i punkt odniesienia, nagle okazuje się taka sama jak pogardzany przez nich dziki Wschód. Ideał sięga bruku, za chwilę może nie być nawet dokąd uciekać, kogo stawiać za wzór, czyją wyższością karmić własne kompleksy. Sukcesy partii, które elita nazywa często populistami i straszy nimi tak samo, jak u nas straszyła PiS i Konfederacją, są dla nich czymś dużo gorszym niż polityczne porażki na własnym podwórku. Bo przecież tym wychowankom niemieckich fundacji za chwilę zwyczajnie może zawalić się świat. Ich wyśniony ideał na naszych oczach przestaje istnieć. Jeśli w ogóle kiedykolwiek istniał. **GP**

Wychowankom niemieckich fundacji za chwilę może zawalić się świat. Ich wyśniony ideał na naszych oczach przestaje istnieć.

eprasa.pl 8f89cdd082

BLOKADA POLSKICH ZŁÓŻ: MILIONY OD GAZPROMU I ROSYJSKI URZĘDNIK

Organizacje ekologiczne, które przed laty zaakceptowały budowę gazociągu Nord Stream w zamian za wielomilionowe odprawy od rosyjskiego kapitału, dziś żądają całkowitego zakazu eksploatacji polskich złóż węglowodorów. Ujawniamy kulisy operacji wymierzonej w bezpieczeństwo energetyczne Polski. W zorganizowaną akcję sprzeciwu zaangażowane są organizacje dotowane z niemieckiego budżetu federalnego, fundacje zasilone wprost przez spółkę Gazpromu oraz międzynarodowa koalicja, na której czele stoi wieloletni urzędnik rosyjskiej administracji z Kaliningradu.

MIĘDZY NIEMCAMI A ROSJĄ

W lipcu 2025 roku kanadyjska spółka Central European Petroleum (CEP) ogłosiła odkrycie złoża Wolin East, zlokalizowanego zaledwie 6 kilometrów na północ od Świnoujścia, w polskiej wyłącznej strefie ekonomicznej. Szacunki wskazują, że to jedno z największych złóż w historii Polski kryje od 22 do 33 mln ton ropy naftowej i kondensatu oraz od 5 do 27 mld m³ gazu ziemnego. Dla Polski to szansa na istotne wzmocnienie niezależności energetycznej państwa.

Plany te wywołały jednak błyskawiczny sprzeciw po stronie niemieckiej. Przeciwko polskiej inwestycji zawiązała się szeroka koalicja, w skład której weszły: wpływowa niemiecka organizacja BUND (Bund für Umwelt und Naturschutz Deutschland), międzynarodowa sieć Coalition Clean Baltic (CCB) oraz lokalna inicjatywa Lebensraum Vorpommern. Aktywiści domagają się całkowitego zakazu wierceń na tym obszarze. Zebrali ponad 89 tys. podpisów pod petycją, którą skierowano do resortów środowiska w Berlinie i Warszawie, a także do organów unijnych, Komisji Helsińskiej (HELCOM) i sekretariatu Konwencji z Espoo. Przeciwnicy argumentują swój opór zagrożeniem dla obszarów Natura 2000 i unijnymi celami klimatycznymi.

Spór wchodzi obecnie w decydującą fazę formalną. Spółka CEP posiada koncesję poszukiwawczą ważną do grudnia 2027 roku i wykonała już próbne odwierty rozpoznawcze (Wolin East 1). Aby rozpocząć przemysłowe wydobycie, musi uzyskać koncesję wydobywczą oraz decyzję o środowiskowych uwarunkowaniach. To właśnie na tym etapie niemieckie organizacje przypuściły prawny szturm. Z racji położenia złoża tuż przy granicy wód terytorialnych strona niemiecka wymusza zastosowanie pełnej transgranicznej procedury

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 8f89cdd082

WAŻNE ZŁOŻE

6 kilometrów na północ od Świnoujścia, w polskiej wyłącznej strefie ekonomicznej, znajduje się złoże kryjące 22–33 mln ton ropy naftowej i kondensatu oraz 5–27 mld m³ gazu ziemnego. Dla Polski to szansa na istotne wzmocnienie niezależności energetycznej państwa.

Grzegorz
Wierzchołowski
RED. NACZELNY NIEZALEŻNA.PL

oceny oddziaływania na środowisko. W praktyce daje to niemieckim decydentom i organizacjom pozarządowym formalne prawo do zgłaszania uwag i zaskarżania decyzji, co stanowi wprost narzędzie do paraliżowania kluczowego przedsięwzięcia na polskich wodach.

Rosyjski urzędnik na czele ekologicznej koalicji

Jednym z kluczowych podmiotów prowadzących międzynarodową kampanię przeciwko eksploatacji złoża Wolin East jest Coalition Clean Baltic (CCB). To zrzeszająca ponad 20 organizacji pozarządowych sieć z siedzibą w szwedzkiej Uppsali, posiadająca status oficjalnego obserwatora m.in. przy Komisji Helsińskiej (HELCOM). Gdy przyjrzymy się strukturze personalnej tej organizacji, okazuje się, że na czele jej biura wykonawczego stoi człowiek ukształtowany zawodowo w strukturach państwowych Federacji Rosyjskiej.

Sekretarzem wykonawczym (Executive Secretary) CCB od 2015 roku jest Michaił Durkin. Zanim stał się główną postacią operacyjną i twarzą międzynarodowej sieci ekologicznej, przez ponad 13 lat – od 1994 do 2007 roku – był rosyjskim urzędnikiem państwowym w strategicznym, zmilitaryzowanym obwodzie królewieckim (kaliningradzkim). Z oficjalnego życiorysu wynika, że absolwent kaliningradzkiej uczelni reprezentował w tym regionie rosyjskie Ministerstwo Ochrony Środowiska, a potem Ministerstwo Transportu, pracując m.in. w Administracji Morskiej Portu w Kaliningradzie jako główny menedżer do spraw środowiska. Następnie płynnie przeszedł do struktur międzynarodowych – najpierw do HELCOM, a ostatecznie do CCB, zachowując przy tym realny wpływ na presję regulacyjną w regionie Morza Bałtyckiego.

W 2019 roku w rozmowie z portalem newkaliningrad.ru Durkin – na pytanie, czy da się orzec, kto zanieczyszcza Bałtyk najbardziej – odpowiedział bez wahania: „Wszystko da się obliczyć. W ujęciu bezwzględnym jest to Polska. Ponieważ Polska ma najsilniejsze rolnictwo i największe zlewisko”. A w dalszej części wywiadu komentował przekop Mierzei Wiślanej przez Polskę: „Niestety, ten projekt nie został porzucony. W połowie kwietnia odwiedziłem miejsce, w którym planowana jest budowa autostrady. Wygląda to okropnie; las w tym rejonie został całkowicie wycięty. Od dawna nie widziałem czegoś podobnego; nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, co mogło się stać. Teraz wygląda to jak krajobraz księżycowy [...]. Projekt ten, promowany przez polski rząd, wydaje się mieć charakter czysto polityczny i zmierzać do oczywistego celu. Nie ma w nim żadnego elementu komercyjnego i w dającej się przewidzieć przyszłości nie zwróci się. Mamy tylko nadzieję, że Komisja Europejska zwróci na to uwagę i zapobiegnie realizacji tego projektu”.

Zaangażowanie CCB w blokowanie złoża Wolin East nie jest incydentem, lecz wpisuje się w dłuższą serię działań wymierzonych w polskie inwestycje infrastrukturalne. W ostatnich latach współzarządzana przez Durkina koalicja konsekwentnie kwestionowała niemal każde duże przedsięwzięcie wzmacniające niezależność Polski. CCB pod przewodnictwem Durkina składało oficjalne zastrzeżenia, domagając się natychmiastowego wstrzymania przekopu Mierzei Wiślanej, co wprost współbrzmiało z linią protestów dyplomatycznych

eprasa.pl 8f89cdd082

Zaangażowanie Coalition Clean Baltic, w której na czele biura wykonawczego stoi człowiek ukształtowany zawodowo w strukturach państwowych Federacji Rosyjskiej, w blokowanie złoża Wolin East wpisuje się w serię działań wymierzonych w przedsięwzięcia wzmacniające niezależność Polski. CCB domagało się na przykład natychmiastowego wstrzymania przekopu Mierzei Wiślanej, co wprost współbrzmiało z linią protestów dyplomatycznych Moskwy.

Moskwy. Organizacja koordynuje również kampanię przeciwko udrożnieniu rzek (drogi wodne na Wiśle i Odrze) oraz aktywnie wspiera niemiecki sprzeciw wobec budowy Głębokowodnego Terminala Kontenerowego w Świnoujściu.

Najwięcej kontrowersji budzą jednak powiązania finansowe CCB. W oficjalnych raportach Coalition Clean Baltic, oprócz środków unijnych czy funduszy ze szwedzkiej agencji Sida, wymienia się jako jednego z kluczowych partnerów i donatorów grantów fundację Baltic Sea Conservation Foundation (BaltCF). Fundacja ta, z siedzibą w Niemczech, została założona w 2014 roku w wyniku pozasądowej ugody pomiędzy spółką Nord Stream AG, kontrolowaną przez rosyjski Gazprom, a niemieckimi organizacjami ekologicznymi. Mechanizm tego porozumienia opierał się na prostej wymianie: organizacje wycofały swoje pozwy blokujące budowę bałtyckiego gazociągu, a w zamian za to rosyjski inwestor przekazał jednorazową wpłatę w wysokości 25 mln euro na kapitał założycielski nowej fundacji. W ten sposób środki pochodzące bezpośrednio od spółki powiązanej z Kremlem, które posłużyły do ugodowego utorowania drogi dla pierwszej nitki Nord Streamu, w kolejnych latach pośrednio zasilały fundacje finansujące projekty organizacji z regionu, w tym projekty CCB. Dziś ta sama międzynarodowa sieć staje w pierwszym rzędzie walki o powstrzymanie wydobycia polskich surowców, kreując presję na unijne i krajowe instytucje.

„Ekologiczny listek figowy" Gazpromu

Głównym partnerem międzynarodowej sieci w walce z polskimi inwestycjami jest BUND (Bund für Umwelt und Naturschutz Deutschland – Związek na rzecz Środowiska i Ochrony Przyrody w Niemczech). To jedna z największych i najbardziej wpływowych organizacji pozarządowych za naszą zachodnią granicą, licząca ponad 650 tys. członków i darczyń-

FOT. FOTOMAG/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 8f89cdd082

ców. Warto jednak przyjrzeć się bliżej jej strukturze finansowej. Poza składkami członkowskimi organizacja oraz powiązane z nią projekty co roku otrzymują wielomilionowe dotacje celowe z federalnego budżetu Niemiec – w tym z Federalnego Ministerstwa Środowiska (BMUV) oraz Federalnej Agencji Ochrony Przyrody (BfN) – a także z budżetów poszczególnych landów (m.in. z rządzonej przez SPD Meklemburgii-Pomorza Przedniego). Działania prawne wymierzone w polską infrastrukturę są również pośrednio współfinansowane z grantów unijnych (programy LIFE czy Interreg).

BUND od lat systematycznie uderza w projekty Warszawy. Na celowniku organizacji znalazło się nie tylko złoże Wolin East, lecz także udrożnienie Odry, budowa głębokowodnego terminala kontenerowego w Świnoujściu, a nawet plany budowy elektrowni jądrowej na Pomorzu, wobec których BUND domagał się rezygnacji Polski z atomu. Wobec polskich inwestycji błyskawicznie uruchamiane są bezkompromisowe procedury prawne. Zupełnie inaczej niemieccy aktywiści zachowali się jednak w przypadku strategicznych interesów rosyjskiego monopolisty gazowego.

Najpoważniejszym historycznym i wizerunkowym obciążeniem dla BUND pozostaje sprawa powołania fundacji rekompensacyjnych. Zanim na dnie Bałtyku położono pierwszą nitkę gazociągu, BUND (wraz z organizacją WWF) zaskarżył budowę Nord Stream 1 do sądu, podnosząc argumenty o szkodach ekologicznych. Wiosną 2010 roku doszło jednak do wymownego zwrotu akcji. Ekolodzy zawarli pozasądową ugodę ze spółką Nord Stream AG (kontrolowaną przez rosyjski Gazprom) i wycofali pozwy. W zamian za to porozumienie w 2011 roku powołano fundację Ostseestiftung, na której kapitał zakładowy i projekty operator rurociągu wyłożył 10 mln euro. To właśnie ten kompromis doprowadził do późniejszego powstania fundacji BaltCF zasilonej kwotą 25 mln euro.

Co więcej, reprezentanci środowisk ekologicznych – w tym Corinna Cwielag, wieloletnia dyrektor wykonawcza BUND w Meklemburgii-Pomorzu Przednim i obecna twarz protestów przeciwko polskiemu portowi oraz wydobyciu ropy – zasiedli we władzach fundacji Ostseestiftung. Przez lata urzędowali w zarządzie i kuratorium ramię w ramię z delegatem wysłanym bezpośrednio przez Nord Stream AG (jak na przykład Dirk von Ameln, prezydent kuratorium). Krytycy od samego początku ostro oceniali ten pakt z Gazpromem. Zarzucali ekologom „sprzedajność", a samą ugodę i wpłaty od Rosjan określano w publicystyce rodzajem „ekologicznego listka figowego" dla ominięcia procedur blokujących rosyjsko-niemiecką rurę. Przedstawiciel Nord Stream AG wycofał się z kuratorium fundacji dopiero w marcu 2022 roku – pod naciskiem opinii publicznej już po regularnej inwazji Rosji na Ukrainę.

Przeciwni eksploatacji złoża Wolin East aktywiści zebrali ponad 89 tys. podpisów pod petycją, którą skierowano do resortów środowiska w Berlinie i Warszawie, organów unijnych, Komisji Helsińskiej (HELCOM) i sekretariatu Konwencji z Espoo.

Absolwent MGIMO i obrona „przestrzeni życiowej"

Trzecim, niezwykle istotnym ogniwem machiny wymierzonej w polskie inwestycje jest lokalna niemiecka inicjatywa obywatelska z Pomorza Przedniego, zarejestrowana w miejscowości Ückeritz na wyspie Uznam. Jej nazwa – Bürgerinitiative Lebensraum Vorpommern – budzi w Polsce jednoznaczne, mroczne skojarzenia historyczne. Niemiecka organizacja, mająca na sztandarach obronę „przestrzeni życiowej", rości sobie dziś prawo do dyktowania Warszawie, jak ma zagospodarowywać własne wody terytorialne oraz wyłączną strefę ekonomiczną. Choć oficjalnym celem stowarzyszenia jest ochrona przyrody i turystyki, jego rzeczywista działalność to inicjowanie postępowań administracyjno-sądowych w Polsce, a także pisanie skarg do Komisji Europejskiej i petycji do Parlamentu Europejskiego w celu paraliżowania kluczowych polskich przedsięwzięć morskich.

Gdy przyjrzymy się bliżej władzom tej organizacji, okazuje się, że na jej czele stoją postacie powiązane ze skrajną niemiecką lewicą, wywodzącą się z dawnego aparatu NRD, oraz ze środowiskami jawnie prorosyjskimi. Pierwszą przewodniczącą stowarzyszenia jest Christa Labouvie. To wieloletnia działaczka partii Die Linke, czyli politycznej sukcesorki wschodnioniemieckiej komunistycznej SED. Zasiadała m.in. we władzach tej formacji, której oficjalny program zakłada rozwiązanie NATO, wycofanie wojsk amerykańskich z Europy i budowę nowej architektury bezpieczeństwa opartej na bliskich relacjach z Moskwą.

Jeszcze bardziej wymowny jest życiorys wiceprzewodniczącego Lebensraum Vorpommern – Axela Kindlera. Ten były burmistrz kurortu Ückeritz startował w wyborach parlamentarnych z list partii dieBasis. To antysystemowe ugrupowanie, które w Niemczech zasłynęło z jawnego kursu antyamerykańskiego i prorosyjskiego. Oficjalne materiały tej formacji głosiły m.in., że „Rosja nie jest naszym wrogiem", a o eskalację wojny obwiniały Pentagon oraz Pakt Północnoatlantycki.

W akcjach protestacyjnych i lobbingu przeciwko Polsce Lebensraum Vorpommern może liczyć na wsparcie czołowych lewicowych polityków. Regularnym gościem demonstracji organizowanych na wyspie Uznam jest europoseł Die Linke Helmut Scholz – były aparatczyk komunistycznej partii NRD, a przede wszystkim absolwent słynnego moskiewskiego instytutu MGIMO (kuźni kadr radzieckiej dyplomacji i służb), gdzie studiował w latach 1974–1980. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

JUŻ SZEŚĆ LAT PARTIA TUSKA CHRONI GRODZKIEGO

PROCES DOBIEGA KOŃCA

Po dokonaniu wpłaty przez pacjentów czas oczekiwania na operację skracał się z kilku lat do kilku tygodni. To wynika z relacji 280 świadków, którzy już zostali przesłuchani w procesie. Jedną z ostatnich osób była nauczycielka Anna R., która w ubiegłym tygodniu mówiła o tym podczas rozprawy.

„To był dla mnie duży wydatek”

„Pan doktor powiedział, że jeżeli chcę mieć ustalony termin, to żebym dokonała wpłaty na rzecz fundacji. (…) Wpłata to było 10 tys. złotych na konto fundacji, to był dla mnie wtedy duży wydatek, bo nie miałam dochodów, i prosiłam o pomoc męża” – mówiła przed Sądem Okręgowym w Szczecinie Anna R.

Wspomniany przez nią lekarz to Krzysztof K., podobnie jak Tomasz Grodzki znany i ceniony szczeciński chirurg. Był podwładnym Grodzkiego, kiedy ten pełnił funkcję dyrektora w szpitalu Szczecin-Zdunowo. Doktor K. dokonywał operacji bariatrycznych (zmniejszenia żołądka) u osób z dużą nadwagą. Chętnych było wielu, dlatego w kolejce na zabieg czekało się kilka lat.

Anna R. zeznała, że po ciąży miała bardzo dużą nadwagę – ponad 50 kilogramów – i ponieważ nie mogła schudnąć, zdecydowała się na operację bariatryczną. „Przez internet znalazłam gabinet pana doktora Krzysztofa K. i tak do niego trafiłam” – dodała.

2,3 mln od pacjentów do prywatnej fundacji

Numer konta Fundacji Pomocy Transplantologii, na który pacjentka miała wpłacić pieniądze, doktor Krzysztof K. podał jej w prywatnym gabinecie. To schemat, który

eprasa.pl 8f89cdd082

Ponad 200 pacjentów po konsultacji w prywatnym gabinecie zdecydowało się na wpłatę 10 tys. złotych na fundację, której fundatorem był Tomasz Grodzki. Proces w tej sprawie dobiega końca przed Sądem Okręgowym w Szczecinie. Oskarżonych jest 30 osób, ale nie ma wśród nich „pomysłodawcy i inicjatora" opisanego sposobu przyjmowania wpłat. Bo nad Grodzkim od sześciu lat partia Tuska roztacza parasol ochronny.

Tomasz **Duklanowski**

powtarza się przy innych zeznaniach. Po wizycie w prywatnym gabinecie pacjenci wpłacali po około 10 tys. złotych. Według ustaleń śledczych łącznie dokonano wpłat na sumę ponad 2,3 mln zł.

W procesie oskarżonych jest jeszcze dwóch innych lekarzy, którzy byli prezesami fundacji, a także pracownikami szpitala, którego dyrektorem był Tomasz Grodzki. Sam Tomasz Grodzki nie zasiada w tym procesie na ławie oskarżonych, jest jedynie świadkiem. Zawdzięcza to kolegom z partii Tuska, którzy do dziś roztaczają nad nim parasol ochronny.

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

W styczniu 2024 roku, przesyłając do sądu akt oskarżenia w tej sprawie, Prokuratura Regionalna w Szczecinie wydała komunikat, w którym czytamy: „Pomysłodawcą i inicjatorem wyżej opisanego sposobu przyjmowania wpłat od tzw. pacjentów bariatrycznych był Tomasz G., ówczesny Dyrektor Specjalistycznego Szpitala im. prof. Alfreda Sokołowskiego w Szczecinie-Zdunowie, jak również założyciel Fundacji Pomocy Transplantologii, który faktycznie podejmował decyzje w ramach tego podmiotu. Gdy około roku 2005 chirurg Krzysztof K. zasygnalizował Tomaszowi G. potrzebę wykonywania w szpitalu zabiegów bariatrycznych, uzyskał informację, iż jest to możliwe tylko pod warunkiem uzyskiwania od pacjentów korzyści majątkowej. W trakcie prowadzonych następnie rozmów Tomasz G. wskazał podmiot, który miał przyjmować wpłaty, tj. Fundację Pomocy Transplantologii, oraz wyznaczył wysokość wpłaty na 10.000 zł. Polecił następnie Krzysztofowi K., aby żądał od pacjentów wpłaty ustalonej przez Tomasza G. kwoty jako niezbędnej do wykonania zabiegu bariatrycznego".

Oskarżony doktor Krzysztof K. pracuje dziś w jednym ze szczecińskich szpitali. Prowadzi także prywatny gabinet w centrum Szczecina.

Parasol ochronny nad Grodzkim

Grodzki w tym procesie miał zasiąść na ławie oskarżonych, po wcześniejszym uchyleniu immunitetu. Ale w połowie stycznia 2024 roku Prokuratura Krajowa została przejęta w nielegalny sposób przez ludzi Adama Bodnara. Jedną z pierwszych decyzji powołanego w lutym 2024 roku przez Bodnara nowego szefa Prokuratury Regionalnej w Szczecinie było… wycofanie wniosku o pociągnięcie do odpowiedzialności karnej Grodzkiego w procesie, który dziś się toczy przed Sądem Okręgowym w Szczecinie.

Akta tej sprawy liczą kilkadziesiąt tysięcy stron, a śledztwo był prowadzone cztery lata. Nowemu szefowi Prokuratury Regionalnej w Szczecinie wystarczyło kilka dni, żeby sprawę skręcić w tempie ekspresowym. W komunikacie z 22 stycznia 2024 roku Prokuratury Regionalnej w Szczecinie czytamy: „W uzasadnieniu wniosku zawarte są między innymi stwierdzenia o charakterze przypuszczającym, dotyczące okoliczności mających obciążać Pana Tomasza Grodzkiego, których nie można uznać za ustalenia faktyczne o charakterze pewnym".

Linia obrony oskarżonych jest taka, że nikt pacjentów nie zmuszał do wpłat na fundację, robili je dobrowolnie. A jak zeznawał Grodzki podczas rozprawy w ubiegłym miesiącu, wpłaty te nie miały żadnego wpływu na przyspieszanie terminu operacji w jego szpitalu. „Doktor K. czy jego pracownicy mogli zachęcać darczyńców do wpłat na fundację, ale nie na szpital. Ale pod warunkami, że będą to wpłaty całkowicie dobrowolne i niewarunkujące jakiegokolwiek lepszego traktowania" – mówił przez sądem Grodzki.

Pieniądze z fundacji na prywatne konto

Co się działo z pieniędzmi, które pacjenci wpłacali na Fundację Pomocy Transplantologii działającą przy Szpitalu Szczecin-Zdunowo, której fundatorem był Tomasz Grodzki?

Według Grodzkiego „te pieniądze były używane na sprzęt, na szkolenia, na działalność naukową i nikt nigdy nie odniósł z tego żadnej korzyści osobistej".

Prokuratura Regionalna w Szczecinie po zbadaniu przelewów bankowych z Fundacji Pomocy Transplantologii ustaliła: „Wpłaty pochodzące od pacjentów w ramach wewnętrznych rozliczeń fundacji były przyporządkowane do oddziału szpitalnego prowadzonego przez podejrzanego Krzysztofa K., a następnie m.in. w kwocie prawie 450 000, 00 złotych trafiły na jego prywatne konto".

Oskarżony doktor Krzysztof K. pracuje dziś w jednym ze szczecińskich szpitali. Prowadzi także prywatny gabinet w centrum Szczecina. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

TO BĘDZIE DROGA ZIMA

MŚCI SIĘ PROWADZONA PRZEZ RZĄD POLITYKA ENERGETYCZNA

Jacek **Liziniewicz**

Pellet droższy o 40 proc., olej opałowy o 66 proc., gaz z butli o 14 proc., energia elektryczna o 20 proc. – to tylko część podwyżek, jakie czekają Polaków w związku z tegorocznym sezonem grzewczym. Do tego pojawiają się obawy o dostępność węgla, który w ostatnich dwóch tygodniach zdrożał już o 300 zł na tonie.

Forum Ciepłowników Polskich w Międzyzdrojach to impreza, która zwykle pozostaje w kręgu zainteresowania ludzi z wąskiej branży. W tym roku jednak było inaczej. Wszystko za sprawą wypowiedzi prezesa Orlenu Termika.

– Jeśli będzie mroźna zima, to węgla zabraknie. Będziemy wszyscy szorować po dnie. Uważam, że to największe ryzyko, które nas dzisiaj czeka – powiedział Andrzej Gajewski.

Jego wypowiedź jest ważna, bo człowiek ten zarządzał pięcioma zakładami położonymi w aglomeracji stołecznej, które produkują ciepło i prąd dla Warszawy. Zarządzał… Chwila szczerości kosztowała go bowiem stanowisko. W trybie natychmiastowym został odwołany.

Nie ulega jednak wątpliwości, że sytuacja z węglem nie jest najlepsza. Składy opału wyrażają przekonanie, że problemy z zaopatrzeniem będą przypominały te z 2022 i 2023 roku, kiedy realnie rząd obawiał się, że Polacy będą marznąć w domach, i rozpoczął akcję sprowadzania surowca z całego świata. W tym roku rządzący na razie nie podjęli jeszcze żadnych działań, chociaż już jest końcówka września.

Nabici w pellet

Nielepsze wiadomości docierają do tych, którzy mają inne źródła ogrzewania. Wielki kłopot mają osoby posiadające kotły na pellet. Przez ostatnie lata było to źródło ciepła, które było promowane najbardziej intensywnie. Dziś szacuje się, że korzysta z niego około 500 tys. gospodarstw domowych.

eprasa.pl 8f89cdd082

NOŚNIKI ENERGII

Problemy na rynku pelletu są znane co najmniej od stycznia tego roku. Rząd nie zrobił w tej sprawie nic, a dodatkowo kontynuował swoją politykę presji na rynek drzewny i gospodarkę leśną.

FOT. ADOBESTOCK

Okazało się jednak, że ceny surowca do palenia drastycznie wzrosły. Rok do roku mówimy już o podwyżkach rzędu co najmniej 40 proc. Dziś za tonę pelletu trzeba zapłacić ponad 2600 zł. A nie mówimy jeszcze o szczycie sezonu, który zwykle następuje w zimie.

Te dane wywołują popłoch w Ministerstwie Energii. Resort Miłosza Motyki realnie zaczął rozpatrywać scenariusz, w którym pellet pod koniec zimy będzie kosztował ponad… 5 tys. zł za tonę. Na razie jednak rząd studzi emocje.

Mści się na koalicji 13 grudnia prowadzona przez rząd polityka leśna. Rząd Donalda Tuska zmienił definicję drewna energetycznego i szczycił się tym, że zakazał spalania surowca w energetyce zawodowej. Dodatkowo nadal promuje wyłączanie kolejnych tysięcy hektarów lasów w Polsce z gospodarki leśnej. To zmniejsza podaż drewna i utrudnia działanie branży drzewnej.

„Leśnicy łapią się za głowę i od dawna podpowiadają, co należy zrobić. W polskich lasach pozostaje surowiec, który mógłby zostać racjonalnie wykorzystany. Potrzebne są pilne działania dotyczące dostępności drewna energetycznego, pozostałości poprodukcyjnych oraz stabilnych dostaw surowca dla polskich producentów pelletu. Tymczasem głosu praktyków kolejny raz nikt nie chce słuchać. Drewno traci wartość w lasach, polskie zakłady walczą o surowiec, a ceny pelletu szybują. To nie jest racjonalna polityka energetyczna. To państwowy chaos, za który zapłacą zwykli Polacy!” – napisali przedstawiciele Związku Zawodowego „Wspólna Sprawa”.

Drewno traci wartość w lasach, polskie zakłady walczą o surowiec, a ceny pelletu szybują. To nie jest racjonalna polityka energetyczna. To państwowy chaos, za który zapłacą zwykli Polacy – alarmują leśnicy.

Problemy na rynku pelletu są znane co najmniej od stycznia tego roku. Rząd nie zrobił w tej sprawie nic, a dodatkowo kontynuował swoją politykę presji na rynek drzewny i gospodarkę leśną.

Jakie wobec tego koszty poniosą Polacy? Szacuje się, że jedno gospodarstwo domowe potrzebuje między 3 a 5 ton pelletu rocznie. Biorąc pod uwagę górną granicę, kotły te stają się jednym z droższych źródeł ogrzewania. Sezon dla takich gospodarstw domowych może się zamknąć kwotą 13 tys. zł. Rok temu było to 7,8 tys. zł. W roku 2023 zaś niecałe 7 tys. zł. Licząc inaczej – 500 tys. gospodarstw domowych dołoży do ogrzewania w tym roku nawet 2,5 mld zł.

Drogie olej, gaz i prąd

Rosną również ceny źródeł ogrzewania opartych na węglowodorach. Mało popularny w Polsce, ale jednak obecny na rynku olej opałowy podrożał o 66 proc. rok do roku. Biorąc pod uwagę, że statystyczne gospodarstwo zużywa nawet 1800 litrów paliwa rocznie, koszty ogrzewania wynoszą ponad 12 tys. zł.

Nie ma też dobrych wiadomości dla ludzi używających butli gazowych. O ile gaz z sieci nie zdrożał, a jedynie mówi się o podwyżkach w przyszłym roku, o tyle trend wzrostowy LPG już jest zauważalny. Wzrost szacuje się na kilkanaście procent.

To jednak nie tak spektakularne podwyżki, jakie obserwujemy na rynku paliw. Dodajmy, że na stacjach benzynowych powoli szykujemy się na przebicie ceny 10 zł za litr paliwa. Niepewna sytuacja na Bliskim Wschodzie i szybujące ceny węglowodorów będą miały przełożenie na rynek energii. Już dzisiaj można zakładać, że ceny dla gospodarstw domowych w przyszłym roku wzrosną nawet o 20 proc.

To szczególnie zła informacja dla wszystkich, którzy używają do ogrzewania pomp ciepła, a w zimniejsze dni dogrzewają się ogrzewaniem elektrycznym. To może doprowadzić do tego, że ich rachunki drastycznie wzrosną.

Rząd wybiera polityczny show

Na razie rząd nie zajmuje się ani zimą, ani wyzwaniami. W ubiegłym tygodniu skoncentrował się na przyjęciu ustawy dotyczącej konfiskaty nadmiarowych zysków od koncernów energetycznych. Ustawę zgłoszono drugi raz, chociaż pierwsza wersja została zawetowana przez prezydenta Karola Nawrockiego.

W nowej ustawie nie zmieniono niczego, aby rozjaśnić wątpliwości natury konstytucyjnej. W rezultacie przyniesie to ten sam efekt, chociaż jeszcze do niedawna rząd pracował nad nową ustawą. Teraz jednak robi polityczny show, uderzając w prezydenta.

„Rząd chce przejąć nielegalnie TVP – nie potrzebuje do tego prezydenta. Jak chce przejąć prokuraturę, nie potrzebuje do tego prezydenta. Jak chce zaprzysiąc sędziego, robi to do kolumny. Nie potrzebują prezydenta. A jak trzeba zadziałać na rzecz Polaków, obniżyć ceny paliw, nagle winny jest prezydent. (…) Do roboty!” – zaapelował Paweł Szefernaker, szef Gabinetu Prezydenta, w rozmowie z dziennikarzami w Sejmie. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

Hubert
Kowalski

TRZY POZIOMY OCHRONY

Najwięcej tworzy się lub remontuje miejsc doraźnego schronienia (MDS), a nie pełnoprawnych schronów. MDS jest ponad 7 tysięcy, czyli dziesięciokrotnie więcej niż ukryć lub hermetycznych schronów.

Schrony wciąż tylko na papierze

SAMORZĄDY UTKNĘŁY W PROCEDURACH

Choć rządowy program finansowania ochrony ludności działa od ponad półtora roku, to dotąd żaden nowy schron nie powstał. Obecne inwestycje dotyczą często dopiero trwającego miesiące etapu projektowego, a nie samej budowy czy remontu, które mogą trwać kolejne miesiące lub lata. Co więcej, na ogół to wcale nie schrony są tworzone lub remontowane, lecz miejsca doraźnego schronienia, dające słabszą osłonę, zlokalizowane np. w piwnicach. Tego rodzaju inwestycje starają się realizować samorządy, ale alarmują, że potrzebują również merytorycznego wsparcia rządu.

Program Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej wynika z Ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej z grudnia 2024 roku, która zaczęła obowiązywać 1 stycznia 2025 roku. Dzięki programowi mają być finansowane zadania związane z zabezpieczeniem ludności: od wyposażenia służb po budowę i remont schronów, ukryć i miejsc doraźnego schronienia.

Na ogół inwestycje są realizowane przez samorządy. Na lata 2025–2026 przeznaczono około 34 mld zł. Ale inwestycje napotkały liczne problemy.

Przygotowania, projekty, sprzeczności

Choć rząd od dawna chwali się ogromnymi pieniędzmi na budowę schronów właśnie z tego programu, to z rządowego sprawozdania z wykonania ustawy za 2025 rok wprost wynika, że w dużej mierze wydano je na sprzęt potrzebny przy różnego rodzaju katastrofach, m.in. na: agregaty prądotwórcze, motopompy, namioty, łóżka polowe, osuszacze i kuchnie polowe. Gdy chodzi o budowle, rok 2025 był etapem dopiero planowania.

Kwestię schronów wyjaśnił 1 lipca 2026 roku wiceminister spraw wewnętrznych Wiesław Leśniakiewicz na posiedzeniu sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych. Odpowiadając na pytania posłów, przyznał: „W pierwszym roku rozruchowym nie byliśmy w stanie wybudować żadnego obiektu”. Tłumaczył, że przygotowanie rozporządzeń wykonawczych do tej ustawy, które mówią, jak mają wyglądać budowle ochronne, jakie mają spełniać warunki, „to prawie osiem miesięcy pracy ekspertów”.

Przemysław Kicowski, projektant instalacji elektrycznych dla schronów, podkreśla w rozmowie z „GP”, że kluczowe rozpo-

eprasa.pl 8f89cdd082

rządzenie w sprawie warunków technicznych dla budowli ochronnych oraz warunków technicznych ich użytkowania i usytuowania weszło w życie dopiero w listopadzie zeszłego roku.

– Przed tym terminem był projekt tego rozporządzenia i zdarzały się zapytania o koncepcję obiektów zbiorowej ochrony. Wykonywaliśmy je, ale z zastrzeżeniem, że w razie zmian w rozporządzeniu konieczne będą zmiany w projekcie, a to wiązało się z dodatkowymi kosztami. W efekcie takich projektów w 2025 roku było niewiele, ponieważ nie było do końca wiadomo, jakie będą ostateczne wymagania co do tworzenia tych miejsc – mówi projektant.

Po wejściu w życie rozporządzenia zainteresowanie projektami wzrosło. – Zaczęło się na początku tego roku, ale początkowo chodziło o projekty wstępne. Dopiero wiosną zaczęły spływać zapytania ofertowe o wykonanie właściwych projektów technicznych, czyli tych szczegółowych. Przejście procedur trwało długo i w moim przypadku prawdziwe prace projektowe ruszyły dopiero w sierpniu – wyjaśnia Przemysław Kicowski.

Dodaje, że w obowiązującym rozporządzeniu są nieścisłości, które rodzą problemy. Chodzi m.in. o wzajemnie sprzeczne przepisy dotyczące oświetlenia awaryjnego, umiejscowienia złączy oraz brak przepisów o czasie działania zespołu prądotwórczego w niektórych schronach.

Schronów powstanie niewiele

Chodzi o obiekty zbiorowej ochrony (OZO), które określa ustawa. Najwyższy poziom ochrony daje hermetyczny schron. Ukrycie (U) jest już obiektem niehermetycznym, ale może zabezpieczać przed gruzem czy odłamkami. Jeszcze niżej jest miejsce doraźnego schronienia (MDS). Może to być np. odpowiednio przygotowana piwnica, garaż podziemny czy inne pomieszczenie, które ma dać ludziom podstawową ochronę na krótki czas, ale nie zabezpiecza w pełni m.in. przed falą uderzeniową po wybuchu.

Co istotne, najwięcej tworzy się lub remontuje miejsc doraźnego schronienia (MDS), a nie pełnoprawnych schronów.

Budowa schronów to wyzwania, które przerzucił na nas rząd. Dają spore pieniądze, ale cała organizacja pozostaje po naszej stronie – mówią samorządowcy, którzy liczą też na wsparcie merytoryczne.

Ze sprawozdania Rady Ministrów wynika, że zadań związanych z MDS jest ponad 7 tys., czyli ponaddziesięciokrotnie więcej niż tych dotyczących ukryć lub schronów.

Różne są również technologie budowy. W przypadku wielu inwestycji wszystko powstaje od podstaw. Możliwe jest jednak tworzenie budowli modułowych z prefabrykowanych elementów, których budowa trwa krócej.

Podłódzki Stryków, położony przy skrzyżowaniu kluczowych autostrad A1 i A2, wybrał formułę „zaprojektuj i wybuduj", która oznacza, że jedna firma ma zrealizować całość od początku do końca. Wiosną tego roku rozpoczęto procedurę dotyczącą dwóch pełnoprawnych, ale niewielkich schronów w sumie na 180 osób. Obiekty na co dzień mają pełnić funkcje nie tylko związane z ochroną ludności. Termin zakończenia wyznaczono na listopad tego roku, a więc cały proces ma być stosunkowo krótki.

Duża część samorządów wybrała jednak znacznie dłuższą drogę. Polega ona na rozdzieleniu budowy na kilka inwestycji. Jedną jest ekspertyza i projekt, a sama budowa ma być osobnym zadaniem realizowanym w kolejnych latach.

Jak słyszymy od samorządowców, ścieżka „projektuj i wybuduj" jest dobrym rozwiązaniem, gdy planowane miejsce jest już dobrze rozpoznane i dokładnie wiadomo, co ma powstać. Inaczej jest, gdy w danym miejscu potrzebne jest szczegółowe sprawdzanie.

Samorządy potrzebują nie tylko pieniędzy

– Budowa schronów to wyzwania, które przerzucił na nas rząd. Dają spore pieniądze, ale cała organizacja pozostaje po naszej stronie – mówi w rozmowie z „GP" burmistrz jednego z miast w centralnej Polsce, który chce zachować anonimowość.

Część inwestycji została istotnie opóźniona przez przepisy obowiązujące w zeszłym roku. Samorządy musiały wykorzystać i rozliczyć środki w ramach danego roku budżetowego.

– Wnioskowaliśmy o magazyn na sprzęt związany z ochroną ludności, ale wojewoda poinformował, że realizacja ma trwać trzy miesiące. Były przygotowania, ale obawialiśmy się, że nikt nam nie postawi tego w tak krótkim czasie. Faktury miały być przedstawione do końca listopada, zrezygnowaliśmy. Pewnie spróbujemy w kolejnym naborze – mówi burmistrz. Dopiero w maju tego roku nowelizacja dopuściła wieloletnie finansowanie inwestycji całościowo.

Pod koniec czerwca Związek Miast Polskich przedstawił listę zmian, których samorządy oczekują od rządu przy dalszym wdrażaniu Programu Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej. ZMP wskazywał, że żadna gmina nie powinna od zera projektować podobnych obiektów i kupować podobnego sprzętu.

Część z ich postulatów doczekała się realizacji, ale nie wszystkie. Domagano się m.in. centralnego katalogu typowych projektów dla obiektów, uwzględniających różne warunki gruntowe i zabudowę, a także uruchomienia krajowego programu modułowych schronów. Dotąd te postulaty nie zostały przez rząd zrealizowane. Program na lata 2027–2031 jest na etapie projektu rządowej uchwały. Nabory dla samorządów jeszcze nie ruszyły. **GP**

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 8f89cdd082

Jakub
Maciejewski

Polska stała się nieśmiesznym filmem kategorii B, gdzie słabi są aktorzy, pijany reżyser zagania pałką na plan, a scenarzysta przeszedł już wszystkie fazy demencji i nie pamięta nawet, jak się nazywa. Żałosny ten spektakl nadal jest jednak oklaskiwany, nawet gdy na ekranie wyświetla się najgłupszy z epizodów – jak ten z Marcinem Romanowskim, rzekomo ukrywającym się w Naddniestrzu.

BIEDA-IGRZYSKA, CZYLI ROMANOWSKI, RUTKOWSKI I TUSK

RELACJA ZE STOLICY NADDNIESTRZA

eprasa.pl

4 sierpnia Sąd Okręgowy w Warszawie zarejestrował pismo z prośbą o wydanie listu żelaznego dla Marcina Romanowskiego. Przesyłka była podobno podpisana odręcznie przez samego zainteresowanego. 12 sierpnia informacja ruszyła oficjalnie do mediów, a rzeczniczka sądu, sędzia Anna Ptaszek z Iustitii potwierdziła sensacyjną informację – list miał zostać nadany ze stolicy Naddniestrza, Tyraspola.

Naddniestrze, czyli…

Tak zawiązuje się akcja słabego, niskobudżetowego filmu. Miejsce domniemanej akcji zostało wybrane nieprzypadkowo – wschodni region Mołdawii, zdominowany przez etnicznych Rosjan, oderwał się od republiki jeszcze przed rozpadem Związku Sowieckiego i groził krajowi eskalacją separatyzmu. Mamy więc dziś małe i biedne państwo – Mołdawię – a nad Dniestrem nieuznawany przez nikogo, nawet Moskwę, mały kraj z własnym rządem, wojskiem i walutą. Naddniestrze to taka egzotyczna fantazja dla turystów, gdzie podróż ma wiązać się z wielkim ryzykiem, handlem organami, zagrożeniem zaginięciem i konfrontacją z uzbrojonymi bandytami. I choć Naddniestrze jest enklawą wpływów rosyjskiej mafii, a także politycznym kijem na Mołdawię, która nie ma tu rzeczywistej kontroli, to w samym kraju życie przebiega zadziwiająco spokojnie, wręcz sielankowo – z dopłatami do gazu i elektryczności, dobrze zaopatrzonymi sklepami, klubem sportowym Sheriff Tyraspol i kranami z miejscowym napojem – kwasem – na ulicach miast. Nie jest to wynik dobrotliwości ruskiego miru, a przemyślnej taktyki – Naddniestrze nie chce drażnić sąsiadów (zwłaszcza uzbrojonej Ukrainy), za pomocą Mołdawii chce korzystać z wymiany handlowej z Unią Europejską, a bajką o skrawku ZSRS żyjącym komunizmem (nieprawda) przyciąga turystów. Polacy często jeżdżą do Naddniestrza, są nawet specjalne grupy w mediach społecznościowych, w których można się poradzić co do szczegółów. I choć nadal jest to rosyjski punkt zapalny, opanowany przez służby (nazywające się jak dawniej – KGB), wymagający dodatkowych formalności jak za sowieckich czasów (pozwolenie na nocleg), to w codziennej formule zachowuje ponadprzeciętne pozory normalności.

Miejsce nadawało się więc idealnie do rozpętania mrocznej afery dla koneserów tanich kłamstw systemu Tuska. „Chyba nie trzeba tu komentarzy. Sam ten fakt wystarczy za cały komentarz na temat nie tylko pana Romanowskiego, ale całej formacji politycznej, która korzystała z takich ludzi i do dzisiaj ich kryje” – dramatyzował premier. Wtórował mu Cezary Tomczyk: „Nie wierzę w to, że w Naddniestrzu, które jest w dużej mierze kontrolowane przez Rosję, ktoś taki jak Romanowski (…) znalazł się przypadkiem”. Tusk stwierdził, że na 99 proc. zbiegły minister ukrywa się właśnie tam. Według jednej pogłoski polityk miałby się zaszyć w tamtejszym klasztorze sercanów.

Sprawdzamy w Naddniestrzu

Określmy jedną rzecz – stały pobyt Romanowskiego w Naddniestrzu byłby absolutnie niestosowny i z punktu widzenia polskiej racji stanu zdecydowanie niepoważny czy wręcz groźny. Ale ujawniane przez państwo polskie informacje są sprzeczne.

Najpierw prokuratura przyjmuje, że list wysłano z Tyraspola, a nadawca miał podać swój adres – ulicę Szewczenki 17. „Gazeta Polska” udała się pod wskazany adres – jest tam tylko żelbetowy szkielet budynku, nikt tam nie mieszka, nikt tam nie pracuje, teren wygląda na porzucony. Nie ma mowy o pomyłce w adresie, bowiem po sąsiedzku są budynki, w których nikt nie mieszka – klinika okulistyczna albo market spożywczy. Podobnych pustostanów jest w Tyraspolu niewiele – ktoś, kto akurat taki adres wpisał na kopercie, musiał w błąd wprowadzić

Żelbetowy szkielet pod adresem Szewczenki 17, gdzie niby miał mieszkać Romanowski.

Zdjęcie poczty, z której podobno wysłano list z prośbą o wydanie listu żelaznego dla Marcina Romanowskiego.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 8f89cdd082

raczej umyślnie. Udajemy się na pocztę w Tyraspolu. Pracownice poczty chętnie rozmawiają z przybyszami, opowiadając o niuansach swojej pracy, nie przedstawiamy się jako media, nie chcąc przykuwać uwagi służb. – Kilka razy w tygodniu na pewno – mówi jedna z urzędniczek po pytaniu o to, czy Polacy wysyłają stąd korespondencję. Ma na myśli turystów, którzy kupują pocztówki, by pochwalić się „ekstremalnym" miejscem, do którego dotarli. Na poczcie nikt nie kojarzy rodowitego Polaka, który miałby tu przyjechać i zostać.

Ale prawie dwa tygodnie po sensacyjnej informacji w polskich mediach służby zmieniają zdanie. Prokuratura ogłasza, że na kopercie jest pieczęć nie z Tyraspola, a z miejscowości Bendery – także z Naddniestrza. Media związane z władzą ujawniają, że list z Naddniestrza ma być jednak „blefem" Romanowskiego, by zmylić tropy. Czyli uciekający przed oskarżeniami Romanowski miałby pogrążyć się jeszcze bardziej, mówiąc, że jest pod opieką Rosjan? Coś tu się mocno nie skleja.

Zwłaszcza że poczta w Naddniestrzu nie stempluje zagranicznych listów. Ich pieczęć jest nieuznawana poza ich pseudopaństwem, więc listy zawozi się do Kiszyniowa, do oficjalnej poczty mołdawskiej, skąd są rozsyłane we wskazane miejsca. Samą pieczęć Naddniestrza można wyprosić na pamiątkę. Można udać się do Tyraspola lub Benderów, by dostać pieczątkę, a potem wysłać już list z dowolnego miejsca – podobnie w Tyraspolu czy Benderach znaczki nakleja się tylko mołdawskie, nie zaś „naddniestrzańskie". Ktoś tutaj wytwarza skrajny szum informacyjny albo zrobił sobie z państwa Tuska nieśmieszny żart – żart, który przez kilka tygodni żył własnym życiem jako dowód na współpracę Romanowskiego z Putinem.

Gdy prokuratura zaczęła rakiem wycofywać się z narracji o nadawcy z Naddniestrza, w Sejmie pojawił się Krzysztof Rutkowski, detektyw celebryta, były funkcjonariusz ZOMO. Kilka dni po wyciszeniu domniemanego naddniestrzańskiego wątku Krzysztof Rutkowski zorganizował w Sejmie konferencję prasową dla dziennikarzy na temat Romanowskiego. Czy każdy przedsiębiorca czy celebryta może w budynku parlamentu spotykać się z dziennikarzami? To pytanie retoryczne: musiała być na to zgoda obecnych władz.

Jakub Maciejewski pozuje przed tym samym hotelem co Rutkowski podczas swojej „misji" poszukiwawczej.

Rambo z Temu

Rutkowski wygłasza tyradę na temat swojego rzekomego specjalnego śledztwa: „Romanowskiego w Naddniestrzu nie było, nie ma, a jeżeli będzie, to zostanie, natychmiast wpadnie w nasze sidła". Rutkowski był w Naddniestrzu i miał to sprawdzić osobiście, w dodatku ogłaszając list gończy za byłym ministrem, za którego wyznaczył nagrodę w kwocie 10 tys. dolarów. Przejęci dziennikarze podziwiają i pytają celebrytę, jak dokonał tego ekstremalnego czynu. Polsat docieka, „jak to się udało". Detektyw odpowiada z emfazą: „Sam wjazd nie był problemem, jeśli chodzi o wyjazd, no to może być problem dla niejednego, który by tam pojechał, dla niejednego śmiałka, który by tam się udał". Mężczyzna opowiada, że „nikt nie zdobył się na to, by przekroczyć granice Naddniestrza, bo by się obawiali, że z niego nie wrócą". Twierdzi, że nawet korespondenci wojenni boją się tam wjechać, ale on się nie bał. Twierdzi, że nawiązał kontakty z miejscowym KGB, rozmawiali trzy godziny na temat Romanowskiego.

To stek bzdur – z Naddniestrza regularnie powstają turystyczne relacje, książki (na przykład Tomasza Grzywaczewskiego), artykuły (na przykład piszącego te słowa), a przede wszystkim turystów. Są i działacze patriotyczni, którzy odwiedzają tamtejszą parafię z darami pomocy humanitarnej czy edukacyjnej. O żadnym poważnym zagrożeniu na ten moment nie ma mowy – przynajmniej dla turystów. Dodatkowo „Gazeta Polska" na miejscu, w Tyraspolu, przeglądała lokalne ogłoszenia, gazety, rozmawiała z miejscowymi – nie ma ani słowa o liście gończym Rutkowskiego za Romanowskim. Milczą też o tym kanały medialne w serwisach społecznościowych.

FOT. ARCH., SCREENSHOT

eprasa.pl 8f89cdd082

Show detektywa celebryty Krzysztofa Rutkowskiego sprzed hotelu Rosja w Naddniestrzu.

Cała wielka blaga jest więc tanim i głośnym widowiskiem, które ma zaszkodzić prawicy, ale naprawdę szkodzi komu innemu.

Kto naprawdę stracił

– Nie da się tego przetłumaczyć, także turystom z Polski, że opisywanie Polaków w Naddniestrzu albo katolików w Naddniestrzu wywołuje podejrzliwość tamtejszego KGB. Turysta publikuje swoje przemyślenia w gazecie albo internecie, a potem bohaterów jego opisów odwiedzają funkcjonariusze, wypytują, grożą, czasem wyciągają jakieś wykroczenia z przeszłości – mówi „Gazecie Polskiej" proszący o anonimowość dyplomata zajmujący się sprawami polsko-mołdawskimi. Czy to znaczy, że akcja Tuska i Rutkowskiego zaszkodzi tamtejszym sercanom, skoro mówi się o ukrywaniu tam polskiego ministra? Dyplomata nie chce odpowiadać, ale brak odpowiedzi właśnie to potwierdza. Świetna zabawa w berka za Romanowskim i widowisko Rutkowskiego zatruwają życie naszym rodakom żyjącym w innej rzeczywistości nad Dniestrem. Czegóż jednak nie robi się dla politycznego cyrku, prawda?

Choć Tusk zapewniał, że o Romanowskim w Naddniestrzu ma informacje od zaprzyjaźnionych zagranicznych służb, to zaprzeczyły temu służby Mołdawii, Rumunii i Ukrainy. Tusk więc albo kłamał, albo mógł faktycznie dostać informacje od służb – polskich reseciarzy albo od samych Rosjan? Zorganizowano więc całomiesięczne widowisko medialne z punktem kulminacyjnym, czyli Krzysztofem Rutkowskim w roli głównej, kosztem powagi państwa, przejrzystości informacji i bezpieczeństwa naszych rodaków nad Dniestrem.

Gdziekolwiek przebywa teraz Marcin Romanowski, to cały epizod z Naddniestrzem był zorganizowany w polskiej polityce i mediach jako widowiskowa farsa – z udziałem sędziów, premiera, ministrów, służb, detektywa celebryty i dziennikarzy. Postawiono Polakom przed oczami makietę konkretnych miejsc i ludzi, poruszano sznureczkami kukiełki i kazano klaskać. Będzie się to udawać, dopóki nie trafi się poważniejszy przeciwnik, któremu skecze ludzi Donalda Tuska nie wydadzą się zabawne. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

Krzysztof
Wołodźko

STRACHY NA LACHY 2026

Rządowy „niedasizm" i sianie paniki

W sprawie zagrożeń za wschodnią granicą Polski rząd zachowuje się skrajnie nieodpowiedzialnie, czyli sam podsyca niepokoje społeczne. Strategia Donalda Tuska dotycząca raportu CIA opiera się na infantylnej zagrywce „wiem, ale nie powiem". Za tym idzie brak konkretów w kwestii zabezpieczenia sfery cywilnej w sytuacji podwyższonego ryzyka geopolitycznego – znakomitym przykładem są zaniedbania dotyczące systemu Cell Broadcast. Budowanie nastroju grozy, idące w parze z systemowym zaniedbaniem obrony cywilnej, to nieodpowiedzialność, na której skorzystają tylko jawnie prorosyjskie siły w polityce. Czy taki jest zamiar władzy?

PUBLICYSTYKA

Kilka dni po tym, gdy zgłosiłem redakcji „Gazety Polskiej" powyższy temat, moje intuicje znalazły dość istotne potwierdzenie. Były szef naszego MSZ Jacek Czaputowicz opublikował w mocno dziś przychylnej liberalno-postkomunistycznemu rządowi „Rzeczpospolitej" artykuł pt. „Donald Tusk powinien powiedzieć, co zagraża Polsce ze strony Rosji". Autor zwracał w nim uwagę, że premier powinien wyjaśnić, jakie zagrożenia ze strony Rosji bierze pod uwagę i jak zamierza im przeciwdziałać. I pytał: „A może rząd próbuje jedynie przesunąć uwagę społeczną z oceny jakości rządzenia na poczucie zewnętrznego zagrożenia?". Minister Czaputowicz trafnie wskazał, że „alarm bez konkretu rodzi niepokój".

Sianie strachu „za bezdurno"

Trudno uciec wrażeniu, że to, co wyprawia w powyższej sprawie, dałoby materiał na niejeden doktorat z psychologii społecznej i politycznej marketingu. Kłopot w tym, że badania prowadzone są na żywym ciele naszego narodowego organizmu. I to w sytuacji, gdy polskie społeczeństwo od pandemii ma za sobą naprawdę trudny czas. Po konsumenckim optymizmie z lat 2015–2019 nie zostało zbyt wiele. Kolejne badania nastrojów i najważniejszych wskaźników gospodarczych pokazują, że zwykli ludzie patrzą w przyszłość z coraz większym pesymizmem. I mają po temu (nie)dobre powody. Tusk usiłuje zarządzać strachem czy raczej przekierować go w całości na geopolityczne lęki. Ktoś powie, że podstawy są racjonalne. Kłopot w tym, że szef polskiego rządu „za bezdurno", czyli za darmo, robi to, za co kremlowska propaganda musi miesiąc w miesiąc płacić ciężkie pieniądze.

Warto przyjrzeć się pokrótce rządowej niespójności narracyjnej. Wszyscy wiemy, że Donald Tusk zapowiada „coś strasznego". Sekundują mu w tym choćby dziennikarze Onetu, nabijając klikbajty tekstami w stylu „Niepokój w rządzie w sprawie Rosji. Źródła Onetu: Amerykanie wysłali niedobry sygnał". Rzecz w tym, że otrzymujemy niemal identyczny przekaz: nastrój grozy w leadzie i kilka oczywistości w dalszej jego części. Niektórzy rządowi politycy raz po raz sugerują, że możliwe jest użycie przez Rosję broni atomowej, ale – ponownie – nastrój grozy plus zero konkretów to najlepszy sposób na podwyższanie poziomu lęku społecznego, a nie budowanie odporności i sprawczości społecznej. A przecież w sytuacji znacznie podwyższonego ryzyka każda odpowiedzialna władza, nawet dysponując ograniczonymi zasobami, jeśli chodzi o obronę cywilną, zdobyłaby się przynajmniej na budowę sensownej komunikacji na poziomie: centralne instytucje – jednostki lokalne

eprasa.pl 8f89cdd082

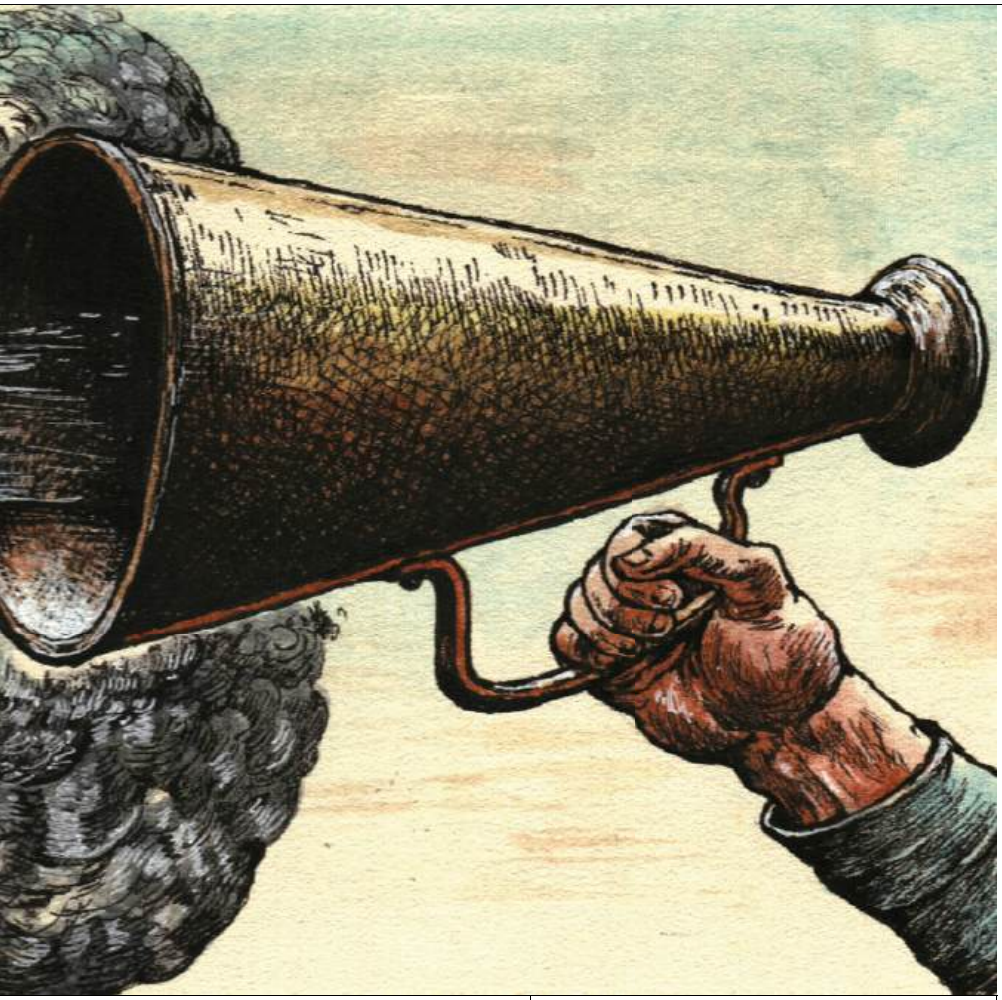

RYS. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

samorządu – społeczeństwo. Słyszymy zapewnienia, że to wszystko już się dzieje, ale dla zwykłego Kowalskiego to najwyraźniej abstrakcja, skoro w social mediach tak często wraca dziś pytanie: jeżeli jest tak źle, to gdzie są schrony dla ludności cywilnej?

„Działalność dezinformacyjna”

Dodajmy do tego jeszcze jeden czynnik. Donald Tusk straszy, gdy inni politycy uspokajają, a przynajmniej tonują swoje reakcje. Wiceszef MON Cezary Tomczyk, pytany przez dziennikarzy o enigmatyczne wypowiedzi lidera trzynastogrudniowej koalicji, mówi, że „nie ma dzisiaj twardego scenariusza wojennego”. I dodaje: „Dzisiaj mówimy o kolejnym szczeblu w tej drabince eskalacyjnej, która może być czymś pomiędzy – różnego rodzaju sabotażami, ale takimi, z którymi do tej pory Europa się nie mierzyła”. To nie są, rzecz jasna, dobre wieści, ale daleko im także od skrajnie alarmistycznego tonu, którego logikę wyłuskał i przejrzał choćby cytowany przeze mnie Jacek Czaputowicz. Co więcej, im dalej od najbliższego kręgu starego nowego premiera, tym bardziej przekaz traci na apokaliptycznym tonie. Kolejny wiceminister obrony, poseł wielopartyjny, czyli Paweł Zalewski (niegdyś Unia Demokratyczna, później PiS i PO, obecnie Polska 2050), 16 września mówił w Radiu Zet, że „jest mało prawdopodobne”, by Rosja kinetycznie zaatakowała nasz kraj. I dodał: „Trochę w tej działalności dezinformacyjnej uczestniczą ludzie, których trudno posądzać o to, że są jakimś instrumentem rosyjskim. Robią to pewnie z niewiedzy, złego rozeznania”. Nieco złośliwie można skomentować, że to jak ulał pasuje do szefa jego rządu. Choć z pewnością minister Zalewski nawet by nie wpadł na taką myślozbrodnię.

To wszystko nie budziłoby aż tak silnych podejrzeń, że Donald Tusk niebezpiecznie bawi się emocjami milionów Polaków, gdyby nie fakt, że nawet szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz odmawia komentarza do wypowiedzi swojego pryncypała, zasłaniając się niewiedzą. To kuriozalna sytuacja: o najgoręcej dyskutowanym w ostatnim czasie w Polsce amerykańskim dokumencie, czyli raporcie Centralnej Agencji Wywiadowczej, minister obrony ma do powiedzenia tylko tyle, że go nie widział, choć zna jego omówienie. Nawet jeśli to kwestia najsurowszych amerykańskich procedur, na poziomie komunikacji władza – społeczeństwo rzecz wygląda fatalnie. Na bardzo różnych szczeblach, od bardzo różnych polityków ekipy rządzącej dostajemy bardzo różny przekaz. Zdaję sobie sprawę, że kwestia spójności komunikacji dotyczącej bezpieczeństwa kilkudziesięciu milionów obywateli Rzeczypospolitej nie jest dla rządzącej partii tak istotna, jak codzienny antypisowski przekaz dnia. Tylko że na takiej strategii, czy raczej karykaturze ogryzków informacji pomieszanych z katastroficznymi opiniami, najwięcej zyskują siły ideowo-polityczne, które chętnie widziałyby we Władimirze Putinie nowego króla Polski. Szczęść Boże, panie premierze Donaldzie Tusk, był pan już podwykonawcą jednego polsko-rosyjskiego resetu, czyżby chciał mieć pan swój wkład w kolejny? Na marginesie: złośliwi mówią, że źle będzie naprawdę, gdy okaże się, iż rodziny najważniejszych polityków są już na stałe za granicą.

Cell Broadcast, czyli rządowy „niedasizm”

Nie czas na szyderstwa. Budowanie strategii komunikacyjnej na strachu i mocno bujającej emocjami masowymi niespójności przekazu to tym fatalniejszy pomysł, że jest wciąż naprawdę wiele do zrobienia, jeśli chodzi o odbudowę zaniedbanej przez dekady obrony cywilnej. Po pierwsze, co to za władza, która „przygotowuje się” do bezpośredniego konfliktu zbrojnego, gruzując ochronę zdrowia? W tym samym czasie, gdy nasi europejscy part-

eprasa.pl 8f89cdd082

PUBLICYSTYKA

nerzy albo ją konsolidują i uspójniają, albo od dawna mają stabilne, dobrze finansowane publiczne systemy zdrowia? Wystarczy kilkugodzinna lektura raportów i pogłębionych wywiadów, żeby spostrzec, że wojna to nie tylko pole bitwy, lecz także infrastruktura na zapleczu. Tymczasem rząd Donalda Tuska z premedytacją doprowadził do atrofii inwestycyjnej CPK (jego największym „osiągnięciem" jest zmiana marki na Port Polska) i guzdrze się we właściwie każdej sprawie, która dotyczy zabezpieczenia żywotnych i krytycznych interesów państwa w perspektywie średnio- i długookresowej.

Bardzo dobrym przykładem jest Cell Broadcast, czyli systemem natychmiastowych wiadomości alarmowych w telefonie. W chwili gdy piszę te słowa, minister Tomczyk zapewnił w mediach, że „system ruszy w ciągu kilku miesięcy". Prawda jest taka, że obecny rząd zmarnował w tej sprawie kilka lat. W pierwszej połowie września Defence24.pl przypominał, że „mimo obowiązującej ustawy i upływu ponad czterech lat od unijnego terminu" Cell Broadcast wciąż nie ruszył w Polsce. Dlaczego? Ze względu na przeciągające się w nieskończoność międzyresortowe przepychanki i spychologię. Z artykułu w branżowym portalu łatwo da się wywnioskować, że wygrał typowy platformerski „niedasizm", cechujący od zawsze naszych „proeuropejskich technokratów": „Niemcy uruchomiły DE-Alert w niecałe półtora roku po powodziach w dolinie Ahr. Holandia wdrożyła NL-Alert w ciągu dwóch lat, włącznie z testami. Włochy przeprowadziły ogólnokrajowe testy IT-Alert w 2023 roku. Grecja, Rumunia, Chorwacja, Bułgaria, Łotwa, Słowenia – żaden z tych krajów nie ma infrastruktury telekomunikacyjnej lepszej od polskiej. A polska ustawa weszła w życie 1 stycznia 2025 roku. Minęło ponad dwadzieścia miesięcy i wciąż jesteśmy na etapie »konsultacji«".

Między alarmistyczną narracją Donalda Tuska, niespójną komunikacją polityczną w obozie władzy dotyczącą rosyjskich zagrożeń a stanem prac nad obroną cywilną i bezpieczeństwem narodowym jest wyraźny rozziew. W tej sytuacji pozostaje mieć nadzieję, że rząd faktycznie – jak sugeruje minister Czaputowicz – próbuje jedynie przesunąć uwagę społeczną z oceny jakości rządzenia na poczucie zewnętrznego zagrożenia. Marna to pociecha, biorąc pod uwagę, że coraz częściej przypomina się stare hasło: „lepsze jutro było wczoraj". Choć wciąż możemy mieć nadzieję na choć trochę lepsze jutro – bez gangu Olsena u władzy. **GP**

FELIETON

{ LUBIĘ DINOZAURY }

WALĄ W GIERTYCHA?

Dawid **Wildstein**

Co to się stało? Czytając ostatnie „rewelacje" TVN 24 i Wirtualnej Polski, przecierałem oczy ze zdumienia. Tak radykalnej krytyki mecenasa uśmiechniętego premiera nie widziałem od lat. Zresztą niech spojrzą Państwo sami, oto cytat z Szymona Jadczaka, który idealnie oddaje zarzuty i linię argumentacyjną mediów uśmiechniętej Polski w tej materii. „Oferuje swoje usługi firmie powiązanej z mafią, która zamordowała poprzedniego szefa giełdy. I to od nich chce kasę za swoje usługi. Po naszym artykule o tym, że Zondacrypto nie ma już pieniędzy i oszukała tysiące ludzi, dalej kontaktuje się z człowiekiem reprezentującym mafijną firmę. I dalej dla niego pracuje". Nikt chyba nie może mieć wątpliwości, że chodzi tu o Giertycha, który, razem z Dubois, bierze grubą kasę od człowieka, o którym sam Tusk mówił, że reprezentuje interesy rosyjskiej mafii. Więcej, zapewnia mu de facto nietykalność, chroniąc go nie tylko na poziomie prawnym, lecz także – jako prawa ręka Tuska i jedna z najważniejszych osób w państwie – politycznym. To oczywiście z mojej strony żart. Przytoczony tu cytat dotyczył Marcina Dobskiego. Nie chcę tu wchodzić w wyglądające na osobistą zemstę ataki. Sam Dobski zaprzecza tym oskarżeniom. Zważywszy zaś na to, iż głównym źródłem jego wrogów jest Kral, człowiek, który nie ma nawet statusu świadka w sprawie, tylko podejrzanego (co powoduje, że może bezkarnie kłamać), nie widzę na tę chwilę żadnych argumentów, żeby Dobskiemu nie wierzyć. Istotne jest jednak co innego. Zapewne nieumyślnie Jadczak ukazał całą absurdalność narracji uśmiechniętej Polski o Zondacrypto i Kralu. Sprawa jest aż boleśnie prosta. Jeśli faktycznie Kral jest takim kryminalistą, jak opisują go media Tuska, jeśli faktycznie każda współpraca z nim jest kompromitująca... to najbardziej obciąża to obecną władzę. I nie chodzi tu o licytację odwołującą się do przeszłości, do tego, kto bardziej współpracował z Zondą. Całe umoczenie obecnej władzy widać na przykładzie tej jednej osoby – Giertycha. Człowieka, który zawsze pojawia się tam, gdzie mowa o rosyjskich wpływach. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

FELIETON

{ WRZUTKA }

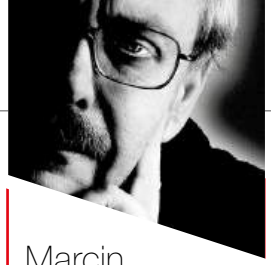

Marcin **Wolski**

DLACZEGO NIE ZAGŁOSUJĘ NA GRZEGORZA BRAUNA

Jako wolny człowiek oświadczam stanowczo – w najbliższych wyborach nie zagłosuję na Grzegorza Brauna. I to nawet nie z powodu jego ekscentrycznych pomysłów w rodzaju gaszenia chanukowych świec, negacji Holocaustu czy antypatii do Ameryki. Rzecz jest o wiele prostsza! Nie mogę zagłosować na człowieka, który nie chce wygrać. Podobnie jak jego słynny mentor Janusz Korwin-Mikke, który startując we wszystkich możliwych wyborach, nawet jeśli ma jakieś szanse, to na ostatniej prostej wykonuje jakiś kiks, który uniemożliwia sukces. Po co to robi? Gdyby chodziło jedynie o zaspokojenie własnego ego, mógłby przynajmniej nie psuć roboty własnym zwolennikom. Rodzi się więc przypuszczenie, graniczące z pewnością, że powodem gry jest… utrudnienie odniesienia sukcesu szeroko pojętej prawicy. Najlepszym dowodem jest obecna odmowa uczestnictwa w pakcie senackim, z buńczuczną zapowiedzią zgłoszenia stu własnych kandydatów na wszystkie miejsca senatorskie. Co z tego wynika? Gwarancja, że nawet przy osiągnięciu 10 proc. w skali krajowej nie uzyska się ani jednego fotela w Senacie, natomiast urwanie choćby po parę procent kandydatom prawicy da szanse poplecznikom Donalda Tuska. I trzeba być naprawdę zacietrzewionym fanatykiem, by nie zadawać sobie pytań, komu to służy i kto za tym stoi. Żeby było jasne: nie mam zamiaru obrażać Czytelników zdeterminowanych, by popierać pana Grzegorza, pełnych najczystszych intencji i dobrej woli. Proponuję tylko lekturę historii. Jan Suchorzewski, poseł kaliski na Sejm Czteroletni, był płomiennym patriotą, żywiołowo głosował przeciw Konstytucji 3 maja i gotów był zabić własnego syna. Uważał się też za krystalicznie czystego – w odróżnieniu od targowiczan nie brał ruskich czy pruskich pieniędzy. I obca ambasada doskonale o tym wiedziała, nie próbując go werbować. Sprawiała jedynie, że Suchorzewski miał nieprawdopodobne szczęście w kasynie. Wygrywał za każdym razem. Zupełnie jak inny historyczny gieroj, którego podstawą utrzymania licznej rodziny były systematyczne wygrane w totolotka. **GP**

Trzeba być naprawdę zacietrzewionym fanatykiem, by nie zadawać sobie pytań, komu to służy.

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }

Tomasz **Łysiak**

HOMO SOVIETICUS 2026

Mogłoby się zdawać, że dawno już minionym czasem jest epoka, gdy mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem homo sovieticus opisanym przez Michaiła Hellera. To, co było efektem marksistowskiej ideologii, odciskającej się na człowieku w Związku Sowieckim, zamieniającej homo sapiens w ów zdziczały, pozbawiony cech człowieka wyrosłego w kulturze europejskiej twór. Twór ów nie potrafił myśleć samodzielnie, był ślepo podporządkowany władzy, wykonywał jej polecenia i wierzył w jej nieomylność. Gdy deszcz padał, a władza mówiła, że świeci słońce – wystawiał twarz na krople, twierdząc, że się opala. Nie szanował tego, co tradycyjne, prywatne, własne, a gdy widział ślady dawnej kultury, spluwał z pogardą, powtarzając rządowe obelgi wymierzone w kułaków, imperialistów, obszarników, zaplutych karłów reakcji. Szczególną jego złość budziły religia, świątynie, cerkwie, a tym bardziej katolickie kościoły i księża. Ci przecież kojarzyli mu się z Polską – ostoją katolicyzmu, dawnej wiary przodków i znienawidzoną cywilizacją łacińską. Homo sovieticus zadomowił się także w Polsce komunistycznej, bytował w niej i dobrze się miał, uczepiony moskiewskich mocodawców. A że czasem mogły się w nim odzywać jakieś śladowe wyrzuty sumienia, szepczące do ucha słowa: „zdrada", „zdrajca", „zaprzaniec" – usiłował je zagłuszyć wódką, wzajemnym poklepywaniem się po plecach, a wreszcie agresją wymierzoną w tych, którzy pod sowieckim butem żyć nie chcieli i na niewolę się nie godzili. Tych ludzi „polski" homo sovieticus wrzucał do katowni i więzień, tych mordował ukradkiem i zamazywał pamięć o nich. Zdawać by się mogło w istocie, że homo sovieticus wymarł, zniknął wraz z upadkiem komunizmu. Tak się jednak nie stało. Żyje i ma się dobrze. Nadal bezrefleksyjnie kłania się władzy i wciąż żywi nienawiść do tego, co dawne, tradycyjne, łacińskie, chrześcijańskie. **GP**

Homo sovieticus żyje i ma się dobrze. Nadal bezrefleksyjnie kłania się władzy i wciąż żywi nienawiść do tego, co dawne, tradycyjne, łacińskie, chrześcijańskie.

eprasa.pl 8f89cdd082

Piotr
Grochmalski

POLSKA – AUTORYTARNE PAŃSTWO STRACHU

Od pierwszego dnia rządów Donald Tusk demontuje w Polsce państwo demokratyczne. Teraz rząd rzuca policję do pacyfikacji Akademii Wymiaru Sprawiedliwości (AWS) i przygotowuje się do siłowego przejęcia Trybunału Konstytucyjnego. Jeśli to osiągnie, rzuci się na eliminację prezydenta. Jesteśmy już państwem autorytarnym. Pytanie, czy jest jeszcze możliwa droga powrotna.

PUBLICYSTYKA

Jarosław Bratkiewicz w wydanej w 2025 roku książce „Wojny domowe. Dwie i pół" uzasadnia konieczność totalnej rozprawy z PiS. Stwierdza, iż „polska wojna domowa (…) dokona się (…), kiedy praworządność polska zdelegalizuje PiS". A to oznaczałoby krwawą jatkę, powrót do rzeczywistości reżimu Jaruzelskiego i stanu wojny z narodem.

Dehumanizacja człowieka i wyzwalanie strachu

Dziś polskie władze starają się wykorzystać lęk związany z eskalacją działań Rosji przeciw NATO i Polsce do przekształcenia RP w państwo autorytarne. Już w kwietniu 2026 roku w wywiadzie dla „Financial Timesa" Tusk twierdził, że za kilka miesięcy Putin nas zaatakuje. Wówczas zarówno prezydent Karol Nawrocki, jak i polskie siły zbrojne nie potwierdziły, że posiadają informacje zgodne ze słowami Tuska. Potem przy każdej sytuacji premier podkręcał strach, a równocześnie demolował nasze państwo, osłabiając nasze zdolności obronne. Nagle 10 września, dzień przed agresją na AWS, ogłosił, że otrzymał raport CIA, który ma dotyczyć „możliwych zdarzeń w najbliższych miesiącach". W swoim stylu Tusk stwierdził też: „I tak jak ja już na ten temat mówiłem i ostrzegałem od wielu miesięcy, należy spodziewać się różnych scenariuszy". Strach, ale żadnych konkretów. Okazało się, że tego raportu nie otrzymał nie tylko prezydent RP, lecz także szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. A Krzysztof Bosak, jeden z liderów Konfederacji WiN, stwierdził: „Nie wiemy, czy był raport. Osobiście mam wątpliwości. Nie sądzę, żeby CIA przekazywało raporty polskiemu premierowi". Były najbliższy współpracownik Tuska, Jan Rokita, stwierdził, że lider koalicji 13 grudnia potrafi „w sposób perfekcyjny mobilizować najniższe instynkty ludu". Głównym instrumentem jest dehumanizacja człowieka i wyzwalanie strachu. Jak zauważają Anthony Pratkanis i Elliot Aronson w głośnej pracy naukowej „Wiek propagandy": „Wiele badań wykazało, że jeśli odbiorcy apelu wzbudzającego strach uważają, że nie ma żadnego skutecznego sposobu uporania się z zagrożeniem, wówczas prawdopodobnie nie zareagują na ten apel, lecz po prostu schowają swe głowy w piasek". To wzbudzanie paraliżującego strachu ma spowodować powszechną bierność reakcji na budowanie państwa bezprawia, w którym rację ma ten, kto kontroluje policję.

Bratkiewicz, który dziś przedstawia scenariusz wojny domowej, był jednym z głównych twórców resetu z Rosją w czasach pierwszego Tuska. W książce wydanej w 2021 roku z powagą stwierdzał: „Co dzisiaj grozi strefie UE, to różnego rodzaju ryzyka – sytuacje kryzysowe o charakterze raczej pozamilitarnym (zapaści finansowe, kryzysy migracyjne, terroryzm, gwałtowne wyładowania społeczne na tle religijno-kulturowym, a szczególnie populistyczno-nacjonalistyczne dąsy). Owe kryzysy wykluwają się przede wszystkim z powikłań i kontradykcyjności globalizacji, zjawiska nieuchronnego, które wygenerował zachodni system kapitalistyczny". Ten człowiek w 2008 roku w tajnych tezach o polityce RP wobec Rosji i Ukrainy stwierdzał, iż „możliwości ekspansji Rosji w rozumieniu politycznym i gospodarczym – a już tym bardziej militarnym – są dosyć ograniczone. Napotykają one poważne przeszkody

eprasa.pl 8f89cdd082

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

w krajach WNP, takich jak Ukraina czy Gruzja, natomiast możliwości wpływania Moskwy (w sensie uzyskiwania przez nią »specjalnych praw«) na kraje Europy Środkowo-Wschodniej, przynależące do UE i NATO, są znikome lub zgoła żadne". W 2010 roku, tuż po katastrofie smoleńskiej, w dokumencie wewnętrznym, którego treść ujawnił w tej książce, Bratkiewicz wnioskował, aby Smoleńsk wykorzystać do przyspieszenia i pogłębienia resetu w relacjach z Rosją.

Homo sovieticus

Ten groźny homo sovieticus, zaufany człowiek Tuska i Sikorskiego, nagle latem zasilił zaplecze polityczne partii Brauna, przekonując o potrzebie nowego resetu z Rosją. Równocześnie w swej książce nawołuje do dokończenia wojny domowej z patriotycznym obozem, aby ekipa 13 grudnia w pełni zawłaszczyła RP. Tusk, podobnie jak Putin, ma więc wykorzystać wojnę do konsolidacji swej władzy, do spacyfikowania opozycji, niezależnych mediów i do łamania oporu społecznego. Równocześnie szaleją nepotyzm, korupcja, drożyzna. Ale Tusk chce strach przed wojną uczynić głównym paliwem i instrumentem, który ma mu pozwolić na zbudowanie autorytarnego państwa, na co ma zgodę Brukseli, która pokazuje, że sama staje się instytucją autorytarną. Tusk nie ma już wyjścia – albo zdusi opozycję i przekształci Polskę w neojaruzelskie państwo, albo skończy w więzieniu. Nie cofnie się nawet za cenę ludzkiej krwi i wojny domowej. Ostatnim testem jego reżimu jest pacyfikacja Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. W państwie Jaruzelskiego jednym z ostatnich sygnałów poprzedzających wprowadzenie stanu wojennego była pacyfikacja strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej. 2 grudnia 1981 roku do placówki wkroczyły uzbrojone oddziały, w tym specjalna grupa antyterrorystyczna, a w odwodzie pozostawało około 5 tys. funkcjonariuszy ZOMO. Podchorążowie nie stawiali oporu. IPN określał później te wydarzenia wprost jako „próbę generalną" przed stanem wojennym. Dziś nie mamy czołgów, ZOMO ani uzbrojonych oddziałów otaczających uczelnię. Jest jednak Akademia Wymiaru Sprawiedliwości – instytucja znajdująca się w samym centrum ostrego konfliktu między ministrem sprawiedliwości a jej władzami.

Bratkiewicz przygotowuje pole do wojny domowej?

Bratkiewicz ma te same obsesje co Tusk. W jego zwulgaryzowanym świecie dobro to KO, a zło to PiS. Dla niego istnieje „pokaźna zbiorowość Polaków, którzy chcą Polski nowoczesnej". Dla nich „coraz trudniejsze staje się obcowanie i współistnienie z Polską tradycjonalną, którą politycznie rozwydrzył rządzący do niedawna PiS, przywdziewając jej obskurantyzm i chamstwo w szarfy narodowe oraz szczując ją na Polskę europejską". Bratkiewicz został ukształtowany jako homo sovieticus w Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych (MGIMO), który ukończył w 1980 roku, na rok przed pacyfikacją Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej i wojskowym zamachem stanu Jaruzelskiego. MGIMO było głównym instrumentem kształtowania sowieckich elit politycznych i dyplomatycznych w państwach kontrolowanych przez Moskwę. Rekrutacja na tamtejsze studia podlegała ścisłej weryfikacji przez partie komunistyczne krajów pochodzenia oraz radzieckie służby specjalne (KGB). Bratkiewicz musiał być pozytywnie zaopiniowany przez ludzi Kiszczaka i Jaru-

eprasa.pl 8f89cdd082

zelskiego. Przez dekady absolwenci MGIMO obsadzali kluczowe stanowiska w ministerstwach spraw zagranicznych (w tym w polskim MSZ) oraz agencjach wywiadowczych. Ukończenie moskiewskiej uczelni było w strukturach władzy komunistycznej certyfikatem najwyższej lojalności wobec Związku Sowieckiego, co otwierało drogę do najszybszych awansów. Działalność MGIMO pozwoliła Moskwie na stworzenie trwałej, zunifikowanej i całkowicie zależnej od KGB warstwy urzędniczej.

Zrozumiała jest nienawiść Bratkiewicza do polskiej tożsamości i tradycji. Ten homo sovieticus stwierdza, iż „formuła patriotyzmu narzucana przez PiS – bogoojczyźniana, solenna i uginająca się pod obrzędowością i liturgią, a zarazem prześna i kiczowata – może uwodzić tylko pisowski »małpi lud«. Formuła ta urealnia się w przemarszach i bijatykach, w heroizmie obżarstwa i opilstwa przy grillu, w patriotyzmie bylejakości i tandety, byle usztafirowanych na biało-czerwono. Ale patriotyzm taki mierzi patriotów nowoczesnego narodu polskiego". Jak przy tym podkreśla Bratkiewicz, „Polska proeuropejska ceni sobie humor, ale kunsztowny". Natomiast PiS-owcy to „pospólstwo katolickie uczestniczące gorliwie w obrzędach kościelnych", które „nie wyraża postaw modernizacyjnych, nie europeizuje się w sensie aspiracji i wyborów życiowych, raczej wycofuje się do nor i zakamarków życia tradycjonalnego, wyrytych i ulepionych wedle PRL-owskiego kanonu". Przy czym dla niego społeczeństwo to „agregat populacyjny, który do tego czasu niefrasobliwie nazywaliśmy narodem polskim". Podział jest więc jasny – rzekomo na zwolenników nowoczesności (koalicja 13 grudnia) i ciemniactwo (prawica). Paradoksalnie jednak to rząd Zjednoczonej Prawicy stworzył wielkie projekty modernizacji Polski, a ekipa 13 grudnia albo je zdewastowała, albo przejęła jako własne. Nic nie wymyślili. Ale i to – według Bratkiewicza – jest oznaką ciemniactwa tego „małpiego ludu", który można „urzekać mocarstwowością Polski, wtykać w ślepia wytrzeszczone i rozdziawione gęby ludu pisowskiego tyleż cyklopowe, co i obłędne projekty, w rodzaju Centralnego Portu Komunikacyjnego. (…) I z takim samym entuzjazmem oraz bogobojnością obnoszą się z inną fantasmagorią inwestycyjną – przekopem przez Mierzeję Wiślaną, wzorowaną chyba na breżniewowskiej starczej malignie, żeby obrócić bieg wielkich rzek Syberii, iżby te nawodniły uprawy bawełny w sowieckiej Azji Centralnej". Istotą tej techniki jest emocjonalne zdeprecjonowanie tych wszystkich, którzy nie wspierają procesu degradacji Polski. Ekipa 13 grudnia posłużyła się prostą techniką.

Henri Tajfel, brytyjski psycholog społeczny, opisał, jak w prosty sposób można przypadkową grupę ludzi przekształcić w zwartą społeczność. Ten mechanizm jest dziś powszechnie wykorzystywany przez Tuska. Tajfel potrafił stworzyć grupę osób z ludzi, którzy widzieli siebie po raz pierwszy w życiu. Jak to robił? Odkrył on, iż do stworzenia społeczności wystarczy zastosować nawet najbardziej błahe i pozbawione znaczenia kryterium – jak na przykład serduszko lub moneta. Zatem można wyjść na ulicę, zatrzymać część przechodniów i poprosić, aby rzucali monetą. Ci, którym wypadnie orzełek, staną w jednej grupie, ci, którzy wyrzucili reszkę, w drugiej. Wystarczy? Wystarczy. Badania Tajfla pokazują, jak w istocie łatwo z takiego tłumu na ulicy stworzyć dwie społeczności. Po podzieleniu na dwie grupy badani stwierdzali nagle, że lubią tych, którzy oznaczeni są taką samą etykietą jak oni. Taki socjotechniczny mechanizm zastosowała ekipa Tuska. Smoleńsk – narodowy dramat, który powinien wszystkich połączyć – został wykorzystany wedle logiki przedstawionej przez Rokitę do podzielenia Polaków na dwie grupy, przy aktywnym udziale rosyjskiej V kolumny w Polsce. Wyolbrzymia się przypadkowe różnice między grupami, a jednocześnie uwypukla podobieństwa między członkami danej grupy. Poważną konsekwencją tego jest dehumanizowanie członków drugiej grupy – obcy przestają mieć już twarze. Są określani zwykle jednym obraźliwym terminem. Jak wykazał w swoich eksperymentach Robert Cialdini, atrakcyjni są dla nas ludzie należący do naszej „grupy", nawet jeśli są niegodziwi i pozbawieni skrupułów.

Nie masz wyboru – idziesz na wojnę z „małpim ludem"

Wszystko to, co dziś robi Tusk, on sam precyzyjnie opisał w książce „Wybór" – wspólnym produkcie jego i żony Sikorskiego Anne Applebaum, wydanym w 2021 roku przez Wydawnictwo Agora, które stało też za publikacją grafomańskiego dzieła Tuska „Szczerze" (w reżimie Tuska nic nie dzieje się przypadkiem – firma ABEDIK SA, która wydrukowała „Szczerze", potem wydrukowała dla reżimu 13 grudnia 17 mln „Poradników bezpieczeństwa"). Książka „Wybór" to szokujący zapis i swoisty akt samooskarżenia Tuska: „Bo ci nowi autorytaryści składają zawsze obietnicę: »W zamian za władzę rozwiążemy wszystkie wasze problemy«. Tylko że oczywiście nie jest to obietnica możliwa do zrealizowania. Rządzący zaczynają więc przekonywać: daliście nam władzę, ale zobaczcie, Bruksela, sądy, wolne media przeszkadzają nam w realizacji obietnic. Nie możemy rozwiązać wszystkich waszych problemów, bo oni nam przeszkadzają. Dlatego musicie dać nam jeszcze więcej władzy. Wtedy demokratyczny mandat uprawni nas do tego, żebyśmy w waszym imieniu rozprawili się ze »szkodnikami« [w slangu Bratkiewicza to ów „małpi lud" – przyp. P.G.]. I po pewnym czasie nie ma już politycznych konkurentów, nie ma niezależnych instytucji, są tylko wrogowie, których należy wyeliminować". Przerażająco cynicznie brzmią te słowa z dzisiejszej perspektywy – sto obietnic na sto dni. Tusk zauważa dalej: „Coraz częściej wyborcy są gotowi wybaczyć »swojej« władzy wszystkie niemal grzechy, z kłamstwem, korupcją i nieudolnością włącznie, byle nie odpuszczać wrogowi. (…) Przecież wygraliśmy po to, żeby ich wyeliminować".

A potem rozpoczęła się walka o przejęcie całej struktury państwa: siłowe opanowanie mediów publicznych, TVP, TAI, PAP i Polskiego Radia, siłowe przejęcie Prokuratury Krajowej, masowe czystki w sądownictwie, próba wyrzucenia z zawodu

eprasa.pl 8f89cdd082

kilku tysięcy sędziów, prześladowanie ks. Michała Olszewskiego, skazanie przez Sąd Okręgowy w Warszawie dziennikarza Tomasza Duklanowskiego za ujawnienie korupcyjnej przeszłości marszałka Grodzkiego, skazanie Adama Borowskiego na sześć miesięcy za to, że podobno pomówił Romana Giertycha, represje wobec Roberta Bąkiewicza, polityczny odwet na Zbigniewie Ziobrze, nękanie serią procesów lidera opozycji Jarosława Kaczyńskiego, próba zablokowania objęcia urzędu przez prezydenta Karola Nawrockiego, reaktywacja przemysłu nienawiści wobec prezydenta RP, powołanie komanda prokuratorów do ścigania żołnierzy, którzy bronili polsko-białoruskiej granicy, atak na Trybunał Konstytucyjny, atak na niezależne media i niezależnych dziennikarzy – wobec Telewizji Republika nieustające nękanie i zastraszanie reklamodawców, atak na Narodowy Bank Polski, systemowy atak na Kościół i polski system edukacyjny, atak na Akademię Wymiaru Sprawiedliwości, wtargnięcie policji do mieszkania matki prezydenta RP. W książce „Wybór" Tusk stwierdza, jak groźna jest „skłonność do rozumienia demokracji jako wojny, która ma się zakończyć totalnym zwycięstwem". Dobrze to opisuje, jak wielkim zagrożeniem dla Polski stał się on sam i jak zmasakrował państwo polskie, przekształcając swoją władzę w autorytarny system oparty na sile i strachu. Wręcz przerażająco brzmią dziś jego słowa: „Wtedy pojawia się Mefistofeles i pokazuje rządzącym, że jeśli będą wystarczająco cyniczni i bezwzględni, uda im się użyć demokracji, jej narzędzi, a czasami tylko fasady do utrzymania władzy, zdobycia potężnych pieniędzy oraz zapewnienia sobie bezpieczeństwa i bezkarności. (…) Nieprzypadkowo kraje rządzone przez tego typu ludzi raczej biednieją, popadają w chaos, inflację, nie mówiąc już o Wenezueli, gdzie doszło do kompletnej zapaści". Samo życie dopisało dramatyczną puentę do tych słów Tuska. Profesor Marcin Matczak, prawnik znany z protestów przeciwko reformie sądownictwa przeprowadzanej przez rząd Zjednoczonej Prawicy, teraz na łamach „Gazety Wyborczej" ostrzega koalicję Donalda Tuska za skalę bezprawia w walce z opozycją. Twierdzi, że „w kwestii praworządności rząd zaczyna realizować scenariusz wenezuelski".

Tusk synonimem zła

Jego książka „Wybór" ma dziś symboliczne znaczenie. Jego słowa szokują, pokazują dramatyczną sytuację, w jakiej znalazła się dziś Polska ze względu na rozpętane przez niego piekło zła: „Oni wszyscy wpędzili się w tę samą pułapkę. Władza nie jest dla nich tylko fragmentem życia, w którym robią lepsze czy gorsze rzeczy, sposobem na realizacje pomysłów, idei. Ambicji. Oni muszą rządzić dożywotnio, bo rządzenie zamieniło się w metodę zapewnienia sobie bezkarności, w sztukę przetrwania. To najgroźniejszy moment dla demokracji, gdy w oczach polityków partii rządzącej widzisz jednocześnie butę i lęk: »Co się stanie, gdy przegram«. (…) Proporcjonalnie do ilości zła, które czynią, rośnie też determinacja, by nie oddać władzy". Jednym z kluczowych elementów tworzonego systemu autorytarnego Tuska jest marszałek Sejmu, który to urząd – zgodnie z wolą premiera koalicji 13 grudnia – sprawuje Włodzimierz Czarzasty, wychowanek reżimu Jaruzelskiego. Ten przechowany w zamrażarce homo sovieticus dziś jest elementem tej osi zła. Jego duchowy patron i autorytet moralny Wojciech Jaruzelski jeszcze za swego życia stał się bohaterem głośnej publikacji Richarda Orizzio „Diabeł na emeryturze". Ten wybitny włoski dziennikarz przeprowadził rozmowy z siedmioma dyktatorami – Aminem, Bokassą, Hodżą, Duvalierem, Mengistu, Miloševićem i Jaruzelskim. Generał Idi Amin, nazywany rzeźnikiem z Ugandy, miał zamordować około 400 tys. swych rodaków. Cesarz Bokassa I kazał strzelać do uczniów szkół i studentów, którzy wyszli na ulice Bangi w 1979 roku. Osobiście torturował więźniów. Zarzucano mu kanibalizm. Enver Hodża stworzył w Albanii piekielny reżim, wymordował 6 tys. ludzi, a tysiące osób zginęły w obozach pracy. Rodzina Duvalierów na Haiti zamordowała około 30 tys. osób. Mengistu Hajle Marjam, bolszewicki dyktator Etiopii, nazywany „Czarnym Stalinem", oskarżany był o wymordowanie miliona osób w latach 1977–1991, a na Slobodanie Miloševiciu ciążyły zarzuty ludobójstwa w Bośni. Orizzio uznał całą siódemkę za szczególne, globalne symbole zła. W „Diable na emeryturze" pisze: „Jaruzelski (…) zaprosił mnie do swego biura, żeby się pożegnać. I żeby oznajmić z nieskrywanym wyrzutem w głosie: »Stawia mnie pan w swojej książce obok największych zbrodniarzy naszych czasów. Brakuje tylko Pol Pota«". Czarzasty wyszedł spod takiej ręki. Jaruzelski zmarł trzy lata po tym, jak w marcu 2011 roku Trybunał Konstytucyjny, na wniosek rzecznika praw obywatelskich Janusza Kochanowskiego (zginął w katastrofie smoleńskiej), uznał dekrety Rady Państwa PRL z 12 grudnia 1981 roku o wprowadzeniu stanu wojennego za niezgodne z konstytucją PRL i RP oraz z Międzynarodowym paktem praw osobistych i politycznych. To Jaruzelski, puczysta, widział w takich ludziach jak Czarzasty przyszłość bolszewizmu w Polsce. Dziś z Tuskiem tworzą nową, dramatyczną oś zła w naszej historii. **GP**

W książce „Wybór" Tusk stwierdza, jak groźna jest „skłonność do rozumienia demokracji jako wojny, która ma się zakończyć totalnym zwycięstwem". Dobrze to opisuje, jak wielkim zagrożeniem dla Polski stał się on sam i jak zmasakrował państwo polskie, przekształcając swoją władzę w autorytarny system oparty na sile i strachu.

eprasa.pl 8f89cdd082

Dawid
Wildstein

KOLEJNA OFIARA „UŚMIECHU”

Śmierć pani Izabeli, emerytki, z której obecna władza i jej media zrobiły wroga publicznego za jeden niewłaściwy wpis internetowy o Owsiaku, to straszna tragedia. Jej bliscy i przyjaciele nie mają wątpliwości. To, co kobieta przeżyła w ostatnich miesiącach swojego życia z powodu szefa Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, miało skrajnie negatywny wpływ na jej zdrowie. Nic więc dziwnego, że trolle i medialni funkcjonariusze tej władzy usiłują przemilczeć temat albo go zakrzyczeć. Tym bardziej powinniśmy jak najgłośniej mówić o tym, co spotkało panią Izabelę.

PUBLICYSTYKA

Mechanizm obronny uśmiechniętej Polski, który stosuje, jeśli już musi skonfrontować się z tą sprawą, jest prosty. Czasem słyszymy, że „nie wolno robić polityki na czyjejś śmierci”. Częściej, niestety, dostajemy jeszcze obrzydliwszą narrację, którą jednak należy odnotować z racji dziennikarskiego obowiązku, bo pokazuje ona prawdziwą twarz nienawiści, jaką w ludziach odsłaniają obecna władza i jej tuby propagandowe. Otóż dowiadujemy się, że panią Izabelę spotkało to, na co zasłużyła, że to jej wina, bo ośmieliła się znieważyć najważniejszego świętego III RP, jakim jest Owsiak. Bo „mogła przeprosić”.

Ten koszmar trwa

Przyjrzyjmy się powyższej argumentacji. Retoryczny chwyt, aby „nie robić polityki na czyjeś śmierci”, ma, intuicyjnie, znamiona sensu. Zauważmy jednak, po pierwsze, że jest on używany przez polityków i propagandystów partii, która z tańca na trumnach zrobiła swój znak rozpoznawczy. Która, gdy była jeszcze w opozycji, wręcz czekała na tragedię, żeby natychmiast wykorzystać ją do najbardziej agresywnej, zakłamanej, populistycznej propagandy. Sam Tusk określił władzę PiS-u mianem „seryjnych zabójców kobiet”. Dziś z perspektywy czasu wiemy nie tylko to, że te oskarżenia były kłamstwem. Wiemy również, że przerzucając odpowiedzialność na władzę PiS-u, Tusk i jego media chronili prawdziwych sprawców, czyli lekarzy, którzy z powodu błędów czy opieszałości doprowadzili do tych śmierci. Po drugie, i to najważniejsze, sami bliscy pani Izabeli mówią o tym, że koszmar, jaki przeżyła z powodu Owsiaka, miał skrajnie negatywny wpływ na jej zdrowie. Że hejterska nagonka i ciąganie po sądach spowodowały, że przeżywała trudny nerwowo okres, tuż przed śmiercią. Zresztą jest oczywiste, że skrajny stres przy chorobie nowotworowej, którą miała pani Izabela, jest wyjątkowo szkodliwy.

Dziennikarz Republiki Janusz Życzkowski, który od początku zajmuje się tą sprawą, zwraca też uwagę, że to pani Izabela sama odezwała się do Republiki. Chciała, żeby nasza telewizja pomogła jej w tej sprawie i ją nagłośniła. Chciała tego kontaktu, tego, żeby o tym, co urządzili jej Owsiak z uśmiechniętą Polską, było jak najgłośniej. W tym kontekście stwierdzenie „ciszej nad tą trumną” to zwyczajna próba zakneblowania nie tylko bliskich pani Izabeli, którzy nadal przeżywają ten koszmar, lecz także jej samej, nawet po śmierci. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej podłego.

Warto też krótko rozprawić się z „argumentem”, że pani Izabela mogła przeprosić. Jest on absurdalny, ponieważ oznaczałby akceptację źródłowego, skrajnego kłamstwa, jakie stało za tym, co urządził tej kobiecie Owsiak. Tego, że szef WOŚP naprawdę bał się o swoje życie z powodu jej wpisu. Że Owsiak (przyjaciel najważniejszych ludzi w państwie) tak przeraził się wpisem 67-letniej emerytki, że naprawdę myślał, iż z powodu słów „giń człeku” zamieszczonych w internecie stracić życie mogą on i jego rodzina. To już taki poziom kretynizmu, że nie trzeba tego chyba komentować.

Kolejna walka z „sepsą”

Z jednej strony mieliśmy do czynienia z realną tragedią, z drugiej z cynicznie zaplanowanym przez władzę spektaklem. Do jego odegrania zaprzęgnięto właściwie cały aparat polityczny, jakim dysponował Tusk. W tym spektaklu pani Izabela dostała rolę groźnego terrorysty. Przestępcy tak niebezpiecznego, że policja musiała wejść do jej mieszkania z samego rana i natychmiast ją zatrzymać, nie pozwalając wziąć nawet leków. Przypomnijmy tu, że jej adres był policji znany, a także to, że w tej hucpie uczestniczyli nawet zastępca komendanta miejskiego w Toruniu oraz naczelnik tamtejszego wydziału kryminalnego (nie zapominajmy ich nazwisk, kolejno: Arkadiusz Górecki i Cezary Więcławski). Spektakl ten był władzy potrzebny z kilku powodów.

eprasa.pl 8f89cdd082

FOT. X.COM

Pamiętajmy, że do wydarzeń tych doszło kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi. Władza i jej pupilek, Owsiak, robili, co mogli, żeby wytworzyć w swoich wyborcach poczucie zagrożenia, wzbudzić przeświadczenie, że ten straszny PiS, ta potworna opozycja jest nadal groźna. Że w każdej chwili może zaatakować, nawet takie dobro, taką świętość jak Owsiak. Że, mówiąc jego językiem, z tą sepsą nadal trzeba walczyć. Pani Izabela stała się idealnym pretekstem do tego, by przez następne tygodnie Owsiak mógł – niczym prawie męczennik „uśmiechu" – brylować w mediach i pokazywać, że ledwo uniknął śmierci. Oczywiście przy okazji wciąż przypominał, jak ważne jest, by popierać Koalicję Obywatelską.

Jednocześnie władza, uderzając w panią Izabelę, chciała pokazać swoją potęgę i sprawczość. Udowodnić, że „szeryf Tusk" jest w stanie powstrzymać nawet takie „zło". A któż lepszy, by pokazać swoją siłę, niż 67-letnia schorowana emerytka? Inna sprawa, że tutaj władza wyjątkowo wręcz „przestrzeliła", bowiem pani Izabela okazała się twarda jak skała. Najbardziej jednak odrażającym elementem tego spektaklu było potraktowanie pani Izabeli jak typowego kozła ofiarnego. Tusk uczynił z niej personifikację zła PiS-u, ciemnogrodu, plebsu, tego wszystkiego, co – w jego mniemaniu – nie pozwala uśmiechniętej Polsce się rozwijać. Następnie rzucił ją na pożarcie najbardziej fanatycznej, zdegenerowanej części swojego elektoratu. Miesiącami tysiące trolli, mniej lub bardziej powiązanych z hejterskimi grupami aktywizowanymi przez prawą rękę Tuska, Giertycha, atakowały w najbardziej brutalny sposób tę kobietę i jej rodzinę. Jak widać, relacje Tuska z jego betonowym elektoratem są paradoksalne. Z jednej strony, jego zwolennicy wielbią go jak Boga. Z drugiej, musi on od czasu do czasu rzucić im jakąś ofiarę, możliwie bezbronną, na pożarcie, aby wciąż pobudzać w nich nienawiść i agresję. Ponurą puentą całej tej sytuacji stało się to, że „bohaterscy" policjanci, biorący udział w zatrzymaniu groźnej emerytki, zostali potem awansowani.

Jedna z wielu

To, co spotkało panią Izabelę, skupia jak w soczewce sposób działania uśmiechniętej Polski. Mamy do czynienia ze skrajnym populizmem, który musi urządzać cykliczne igrzyska, aby odpowiednio intensyfikować i przekierowywać emocje społeczne. Generuje w ten sposób konflikt w obrębie wspólnoty oraz podtrzymuje skrajną nienawiść w swoim betonowym elektoracie. Robi to w sposób niesłychanie brutalny, nie licząc się z żadnymi standardami, za pomocą kolejnych kozłów ofiarnych, którzy stają się obiektami nienawiści jego zwolenników. Bezwzględność władzy wobec ofiar staje się dowodem jej siły oraz sprawczości. Aby to osiągnąć, jest gotowa zaprząc całe państwo, którego poszczególne elementy partycypują w wielomiesięcznej propagandowej nagonce i prowokacjach. To wszystko pokazuje, jak Polska za czasów Tuska niebezpiecznie zbliżyła się do Białorusi czy Rosji. Nie chodzi tu o sam skandaliczny wyrok (tutaj przypomnijmy nazwisko sędziego, który go wydał – Marcin Czarciński), niezależnie bowiem od tego we wspomnianych państwach panią Izabelę czekałby pobyt w łagrze. Niemniej wszystko to, co poprzedziło decyzję sądu, nie miało nic wspólnego z demokratycznymi standardami Zachodu. To, co spotkało panią Izabelę, nie było więc ponurym przypadkiem. Nie jest ona bowiem ani pierwszą, ani ostatnią ofiarą uśmiechniętej Polski, jej służb i mediów.

Zauważmy przy okazji, jak często wybierają sobie oni za cel właśnie kobiety. Wymieniać można długo. Dwie urzędniczki, w sytuacji których sam rzecznik praw obywatelskich stwierdził łamanie podstawowych praw i „nieludzkie traktowanie". Barbara Skrzypek, która zmarła kilka dni po przesłuchaniu jej przez najbliższych ludzi Giertycha – Dubois i Wrzosek. Anna Wójcik bezprawnie trzymana w areszcie wydobywczym, której Giertych sugerował, że jeśli zacznie mówić to, czego oczekuje od niej uśmiechnięta władza, wówczas będzie mogła wrócić do autystycznego dziecka (które próbowało w czasie nieobecności matki popełnić samobójstwo). W końcu asystentka prezesa Sakiewicza, z której usiłowano zrobić po prostu prostytutkę, zniszczyć ją i jej rodzinę, tylko po to, by pogrążyć szefa Republiki, a przy okazji pokazać, czym się kończy współpraca z ośrodkami krytykującymi władzę. Właśnie z tego powodu, że mamy tu do czynienia ze świadomą metodą niszczenia ludzi, musimy nie tylko pamiętać o tym, co spotkało panią Izabelę, lecz także jak najgłośniej o tym mówić. A także, kiedy już ta władza się skończy, spróbować pociągnąć do odpowiedzialności prawnej osoby ponoszące winę za tę patologię. Inaczej podobny los, jaki spotkał panią Basię czy panią Izabelę, dotknie prędzej czy później kolejną kobietę. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

Wojciech
Mucha

PUBLICYSTYKA

FINAŁOWY ODCINEK „BITWY O KRAKÓW”

Czy Gibała wreszcie dopnie swego?

Już w najbliższą niedzielę rozpocznie się finał najważniejszej politycznej rozgrywki tego roku – przyspieszone wybory prezydenckie w Krakowie. Wybory, które poza interesującym wpływem na ogólnopolską scenę polityczną pokazują przede wszystkim, że obywatelski sprzeciw ma sens, choć potrzebne są do tego nie wszędzie dostępne narzędzia, pieniądze i realna emocja.

Na łamach „Gazety Polskiej” relacjonujemy tę „Bitwę o Kraków” od samego początku, a więc od momentu, gdy na początku roku zapadła decyzja o zbiórce podpisów pod wnioskiem o referendum za odwołaniem prezydenta Aleksandra Miszalskiego (KO). Nie miejsce tu, by przypominać powody tamtej decyzji; dość powiedzieć, że oprócz nepotyzmu Miszalski popełnił wszystkie możliwe błędy – od wprowadzenia jednocześnie bardzo agresywnej Strefy Czystego Transportu i podwyżki biletów komunikacji miejskiej aż do wizerunkowych katastrof, nieakceptowalnych – jak się okazało – dla wystarczającej liczby mieszkańców, by jego odwołanie w maju było skuteczne.

Kasa, misiu, kasa

Ale skuteczne było również dlatego, że organizatorzy referendum mieli szansę zmierzyć się z posiadającą narzędzia komunikacji i propagandy oraz pieniądze władzą na równych warunkach. 2 mln zł, które jak wynika ze sprawozdania, przekazało im w różnej formie stowarzyszenie Łukasza Gibały, wielokrotnego kandydata na prezydenta, lidera sondaży (o nich za chwilę) i – co najważniejsze – rozpoznawalnego pod Wawelem polityka, podziałały jak wyrównujący boisko walec.

I choć nie brakowało głosów, że w ten sposób Gibała „kupił odwołanie Miszalskiego”, to kłopoty organizatorów referendum w Warszawie pokazują, że same pieniądze i sprawna organizacja zbiórki nie wystarczają do sukcesu. Potrzebna jest realna emocja.

Oczywiście trudno zakładać, że nieukrywający swojej finansowej niezależności Gibała miałby zrobić to bezinteresownie. Przeciwnie, miał on do rozliczenia rachunki z Miszalskim, z którym w 2024 roku po wyjątkowo brutalnej w wykonaniu kandydata KO kampanii przegrał różnicą zaledwie kilku tysięcy głosów, a więc taką, ilu mieszkańców ma większy blok na dowolnym krakowskim osiedlu. I choć do samego końca lider Krakowa dla Mieszkańców krygował się, mówiąc, że nie wie, czy wystartuje w przyspieszonych wyborach, sprawa była raczej oczywista.

Nie tak oczywiste było jednak, jak na porażkę Miszalskiego i idącą za tym kompromitację całej partii zareaguje premier Donald Tusk. Po wyborach w 2024 roku w pięciu największych miastach albo rządzili jego ludzie, albo – jak we Wrocławiu Jacka Sutryka – mogli liczyć na przychylność władz. Tymczasem Kraków, tak jak się dostał w ręce Platformy po dwudziestu kilku latach rządów Jacka Majchrowskiego, tak prędko z tych rąk koalicji 13 grudnia się wyślizgnął.

Tusk zapewne się wściekł i musiał działać, o czym świadczy rozwiązanie krakowskich struktur Koalicji Obywatelskiej. Jeśli jednak wystawienie w przyspieszonych wyborach – i to z formalnie bezpartyjnego komitetu – senator Moniki Piątkowskiej było najlepszą z możliwych opcji, jakie Tusk miał na stole, to nie świadczy to najlepiej o jego kadrach. Piątkowska, przez lata (2002–2012) wysoka urzędnik krakowskiego magistratu i bliska współpracownica prezydenta Jacka Majchrowskiego, która w Senacie zasiada w wyniku wygranej w przyspieszonych wyborach w 2025 roku (zajęła miejsce Bogdana Klicha), pokazuje się bowiem Krakowianom z coraz bardziej zaskakujących perspektyw.

Piątkowska albo…

Tak było chociażby w trakcie debaty Piątkowskiej z kandydatką Lewicy Darią Gosek-Popiołek, która miała miejsce

eprasa.pl 8f89cdd082

FOT. FACEBOOK

Tusk po odwołaniu Miszalskiego zapewne się wściekł i musiał działać, o czym świadczy rozwiązanie krakowskich struktur Koalicji Obywatelskiej. Jeśli jednak wystawienie w przyspieszonych wyborach – i to z formalnie bezpartyjnego komitetu – senator Moniki Piątkowskiej było najlepszą z możliwych opcji, jakie Tusk miał na stole, to nie świadczy to najlepiej o jego kadrach.

w Klubie „Pod Jaszczurami". W tych wydawałoby się cieplarnianych warunkach Piątkowska okazała swojej konkurentce tak wiele pogardy i niemaskowanego lekceważenia, że sprawa odbiła się echem w ogólnopolskich mediach.

Co więcej, kandydatka popierana przez KO i PSL nie oszczędziła nawet młodego człowieka, który pytał ją o związki partii Tuska z deweloperami i idącą za tym niechęć Piątkowskiej do propozycji jej kontrkandydatki, by deweloperzy przekazywali 15 proc. budowanych mieszkań do zasobu komunalnego.

Mężczyzna usłyszał, że jest manipulowany, a jego pytanie Piątkowska z uśmiechem na ustach określiła jako „odważne", tak jakby szczególnej odwagi wymagało zadawanie pytania podczas homeopatycznego spotkania organizowanego przez Komitet Obrony Demokracji. Odpowiedzi oczywiście się nie doczekał. I ten fragment debaty jest, jak to się mówi, hitem internetów.

Mimo to senator Piątkowska może liczyć na głosy wyborców Koalicji Obywatelskiej, których tradycyjnie pod Wawelem nie brakuje. Wiele wskazuje na to, że obok Łukasza Gibały to ona znajdzie się w drugiej turze wyborów.

Tak być jednak nie musi, jeśli seria wpadek będzie trwać, a krążące w internecie porównania ze stylem a to Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, a to nawet Bronisława Komorowskiego trwale zaciążą na wizerunku kandydatki Tuska. Wówczas może się okazać, że w drugiej turze znaleźliby się albo atakowana bez pardonu przez Piątkowską i jej środowisko Daria Gosek-Popiołek, albo Michał Drewnicki, pozycjonujący się z boku tej awantury, prowadzący dobrze skonstruowaną, przemyślaną kampanię kandydat Prawa i Sprawiedliwości. Ten, jako że nie jest raczej brany pod uwagę jako możliwy uczestnik drugiej tury, najwyraźniej uznał, że nie ma nic do stracenia. Tak, owa dwójka ma przynajmniej teoretyczne szanse na drugą turę.

Jeśli wierzyć sondażom… Nie, niestety w przypadku krakowskich wyborów sondażom wierzyć nie sposób. Oto bowiem jeden z nich (Opinia24 dla Radia Kraków) daje zdecydowane zwycięstwo w pierwszej turze Gibale – 32,8 proc., a Piątkowskiej – 20,9 proc. Trzecia jest wspomniana Gosek-Popiołek (9,6 proc.), a czwarty Drewnicki (9,3 proc.). Goni ich Aleksandra Owca (Partia Razem) z deklarowanym poparciem na poziomie 8,2 proc.

Co jednak, gdy wziąć pod lupę inny sondaż (IBRiS dla RMF), który ukazał się niemal równocześnie, a który pokazuje, że pomiędzy Gibałą a Piątkowską jest zaledwie 0,5 pkt proc. różnicy (17,6 do 17,1 proc.)? W tym badaniu trzeci jest Drewnicki (13,2 proc.), a czwarta Gosek-Popiołek – 11,2 proc. Wedle IBRiS wiele osób wciąż jest niezdecydowanych, aż 20 proc.

Nie ma miejsca na obiecanki

Że to badania wzajemnie się wykluczające? Cóż, nie pierwszy raz. Dodajmy tylko, że wspominane Radio Kraków prezentuje także sondaż dla drugiej tury wyborów, w którym głosy na Gibałę deklaruje 46,7 proc., a na Piątkowską 25,2 proc. Pozostali wciąż nie wiedzą, na kogo będą głosować, lub na wybory się nie wybierają.

I to ostatnie jest niemniej ważne niż kampania i wróżenie z fusów. Mowa o fre-

eprasa.pl 8f89cdd082

kwencji, która, jak można się spodziewać, nie będzie rekordowa. Dość powiedzieć, że już w 2024 roku przekroczyła w drugiej turze zaledwie 45 proc., więc jeśli teraz choćby zbliży się do tego poziomu, byłby to wielki sukces.

Nie bez znaczenia jest także temperatura samej kampanii. Poza pojawiającymi się w internecie grafikami i filmami nieznanego pochodzenia, które atakują na przemian a to Piątkowską, a to Gibałę, i wybrykami internetowych trolli i partyjnych janczarów, w czym bryluje aktyw powiązany z kandydatką popieraną przez Tuska, kampania toczy się raczej leniwie.

Większość kandydatów (oczywiście poza Piątkowską) mówi o konieczności zerwania z dziedzictwem Majchrowskiego–Miszalskiego. Wszyscy – o uporządkowaniu finansów miasta, uporaniu się ze Strefą Czystego Transportu i poprawie komunikacji miejskiej. Poza tym są raczej oszczędni w deklaracjach czy opowieściach o wielkich inwestycjach. Nie bez powodu – skrócona kadencja (kolejne wybory będą na początku 2029 roku) sprawia, że ktokolwiek zaproponowałby na ten czas coś więcej, wyszedłby na niepoważnego.

Co ważne, deklarowana przez większość kandydatów niechęć do układu rządzącego Krakowem sprawia, że to prawdopodobnie Gibała czerpałby z głosów swoich konkurentów, jeśli znalazłby się w drugiej turze z kandydatką kontynuacji.

Oczywiście dla finałowych wyników kluczowa pozostaje mobilizacja twardych elektoratów, i to właśnie to może się przyczynić do niezłego wyniku Piątkowskiej, popieranej przez zwolenników Koalicji Obywatelskiej. Co jednak ciekawe, nie jest powiedziane, że może liczyć ona na – wydawałoby się naturalne – poparcie środowisk urzędniczych i całego aparatu władzy, który utrzymał się w Krakowie.

Gibała ma prostą drogę

Dzieje się tak dlatego, że przez lata pracy w magistracie Monika Piątkowska dała się poznać z autorytarnego sposobu zarządzania i apodyktycznego usposobienia. Dość powiedzieć, że gdy w 2012 roku żegnała się z urzędem i odchodziła do pracy w Warszawie, krakowskie media („Dziennik Polski") pisały: „Kraków się cieszy, niech martwi się Warszawa. Monika Piątkowska odchodzi z Urzędu Miasta Krakowa! I to już 1 sierpnia. Taka sensacyjna informacja dotarła do dziennikarzy od tych magistrackich urzędników, którzy nie kryli radości z powodu odejścia pani pełnomocnik ds. marki Kraków".

Jak wiemy, część posad w urzędach jest wieczna, podobnie jak tzw. pamięć instytucji. Nie jest powiedziane, że pożegnaną z ulgą w 2012 roku pełnomocnik prezydenta witano by w 2026 z otwartymi rękami jako panią prezydent.

Wszystko wskazuje więc na to, że to kandydat Krakowa dla Mieszkańców ma największe szanse na sukces i dopięcie swego po 12 latach (Gibała startował w wyborach w 2014, 2018 i 2024 roku). Jeśli oczywiście nie zdarzy się coś niespodziewanego, co wywróciłoby do góry nogami tę planszę z raczej umiarkowanie jak dotąd pasjonującą rozgrywką.

Dla ogólnopolskiej polityki byłby to sygnał, że wielkie miasta nie są na wieczność przypisane Koalicji Obywatelskiej. Inny sygnał już tymczasem się pojawił – brak obecności w wyścigu kandydata Konfederacji (nie zdołał zebrać 3 tys. poprawnych podpisów) wskazuje na poważne problemy w partii Mentzena i Bosaka. To już jednak temat na inny tekst.

W wyborach w Krakowie wystartuje w sumie ośmioro kandydatów: Michał Drewnicki (PiS), Łukasz Gibała (KWW Łukasza Gibały – Kraków dla Mieszkańców), Daria Gosek-Popiołek (KW Nowa Lewica), Jan Hoffman (KWW Jana Hoffmana – Referendum KRK), Michał Klimek (Konfederacja Korony Polskiej), Aleksandra Owca (Partia Razem), Monika Piątkowska (KWW Moniki Piątkowskiej – Ponad Podziałami), Sławomir Pietrzyk (Socjaldemokracja Polska). Pierwsza tura wyborów w Krakowie 27 września. **GP**

REKLAMA

FUNDACJA „POMNIK OFIAR KATYNIA"

Zbudujmy Sanktuarium Narodowej Martyrologii

FUNDACJA POMNIK OFIAR KATYNIA
KATYŃ
CUM TACENT CLAMANT

PKO Bank Polski

78 1020 2906 0000 1102 0218 1915 (PLN)

PROSIMY O WSPARCIE IDEI BUDOWY POMNIKA

www.pomnikofiarkatynia.pl

eprasa.pl 8f89cdd082

FELIETON

{ OKIEM KAPELANA / STRAŻNICY NIENARODZONYCH }

ks. Jarosław **Wąsowicz** SDB

Obrona ŻYCIA

W ostatnich dniach zbieg różnych spraw przywołał mojej wrażliwości obronę życia nienarodzonych. Wiele z tych wydarzeń było powiązanych z dwoma niezłomnymi kapłanami, którzy tej sprawie poświęcili znaczną część swojego życia, chociaż dzisiaj ich aktywność duszpasterska jest kojarzona zwłaszcza z opozycyjnym zaangażowaniem.

Chodzi o ks. Jerzego Popiełuszkę i ks. Stanisława Małkowskiego. 14 września na mszy świętej w świątyni św. Stanisława Kostki na Żoliborzu, wypełnionej przyjaciółmi ks. Jerzego w dniu rocznicy jego urodzin, grupa wiernych złożyła przysięgę Duchowej Adopcji Dziecka Poczętego. To niezwykłe dzieło zostało zainicjowane pod koniec lat 80. XX wieku i zaczęło szybko promieniować na całą Polskę. Polega na codziennej modlitwie w intencji dzieci, których życie w łonie matki jest zagrożone. Sam Pan Bóg wie, ile istnień ludzkich udało się uratować dzięki modlitwie tysięcy osób. Wspomniany akt duchowej adopcji w dniu urodzin błogosławionego męczennika odczytałem jako konsekwentną realizację przyrzeczenia, jakie w dniu pogrzebu ks. Jerzego złożyli uczestnicy tej uroczystości, kiedy głośno powtarzali, że będą bronić życia od jego poczęcia po naturalną śmierć. To był mocny akcent pogrzebu ks. Jerzego. Jego śmierć stała się nie tylko przełomem w społecznej aktywizacji wielu ludzi stojących nieco z boku, lecz także okazją do utrwalenia doktryny Kościoła, przesłania w sprawie obrony życia. Ksiądz Popiełuszko, składając ofiarę z życia, stał się patronem obrony życia. Niecałe dwa miesiące po śmierci księdza przy Kościele św. Stanisława Kostki powstał Ruch Obrony Życia im. ks. Jerzego Popiełuszki.

Z kolei pięknym prezentem w dniu imienin ks. Jerzego (23 kwietnia 1990 roku) było przyjęcie przez uczestników II Krajowego Zjazdu NSZZ „Solidarność", którego obecnie błogosławiony męczennik jest patronem, bardzo ważnej uchwały o ochronie życia ludzkiego od chwili poczęcia. Na jej podstawie w 1991 roku sformułowano nowy kodeks etyki lekarskiej chroniący życie od poczęcia, a w roku 1993 Sejm uchwalił nowe prawo zakazujące zabijania dzieci nienarodzonych (niestety z trzema ustawowymi wyjątkami). Jak wiemy, prawo to zostało zaostrzone postanowieniem Trybunału Konstytucyjnego, które ogłoszono w październiku 2020 roku.

W czwartek 17 września miałem natomiast zaszczyt uczestniczyć w uroczystościach pogrzebowych legendarnego kapłana ks. Stanisława Małkowskiego. Z księdzem Popiełuszką łączyła go przyjaźń, która gruntowała się m.in. za sprawą obrony nienarodzonych. Przypomnijmy, że ks. Stanisław był współtwórcą inicjatywy powołania Ruchu Obrony Dzieci Poczętych Gaudium Vitae. W to dzieło zaangażowało się pod koniec lat 70. ubiegłego wieku wielu znamienitych duszpasterzy, także ks. Jerzy Popiełuszko. Znane są jego słowa, że „zadaniem Kościoła jest nie tylko teoretyczne głoszenie świętości życia, prawa do życia nienarodzonych, lecz także praktyczna obrona tego prawa". Zaangażowanie obu kapłanów w walkę z zabijaniem nienarodzonych dzieci było jednym z powodów znienawidzenia ich przez komunistów, którzy – przypomnijmy – wprowadzili prawną możliwość zabijania poczętego życia w zasadzie na każdym etapie jego rozwoju. Podobnie jak nasi okupanci w czasie II wojny światowej.

> Zaangażowanie obu kapłanów – ks. Popiełuszki i ks. Małkowskiego – w walkę z zabijaniem nienarodzonych dzieci było jednym z powodów znienawidzenia ich przez komunistów.

Błogosławiony Prymas Tysiąclecia kard. Stefan Wyszyński, który także z wielkim zaangażowaniem bronił życia nienarodzonych, wypowiedział kiedyś znamienne zdanie, że jeśli chodzi o dyskusje na temat prawa do aborcji, czyli zabijania nienarodzonych dzieci, nieważne, czy jest się wierzącym, czy niewierzącym, wystarczy być człowiekiem. Tylko tyle i aż tyle. To nie jest sprawa polityczna, a tak się ją usilnie przedstawia od lat. Niestety tak ja traktuję również wielu polityków prawicy, którzy w publicznych wypowiedziach twierdzą, że kwestia wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji z 2020 roku była jednym z najważniejszych czynników wpływających na utratę władzy przez PiS w wyborach 2023 roku. Jest dokładnie odwrotnie. Zjednoczona Prawica wygrała wybory w 2015 i 2019, kiedy w kampanii broniła prawa do życia i zasad moralnych. Musi o tym pamiętać. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

Mateusz
Matyszkowicz

PUBLICYSTYKA

DRONY UDERZĄ TAKŻE W KSIĄŻKI

W lipcu i sierpniu tego roku w Ukrainie spłonęło od 10 do 13 mln książek. Tak liczą wydawcy, Ukraiński Instytut Książki i ministerstwo kultury. Mniej więcej trzecia część rocznego druku.

Płoną przede wszystkim składy i drukarnie. 2 lipca w Kijowie magazyn BookChef i 800 tys. egzemplarzy. 19 lipca drukarnia Konvi i skład Knyholav. Podręczniki, arkusze, maszyny. 1 sierpnia Charków, magazyn Ranok i KnyhoLend. Około 8 mln książek, w tym setki tysięcy podręczników na wrzesień. 16 sierpnia targ Poczajna.

Od lutego 2022 roku uderzeń w drukarnie i składy książki naliczono ponad dwadzieścia. Lato tego roku osiągnęło tę liczbę w dwa miesiące. Hale stały przy poczcie i w strefach przemysłowych. Książka spłonęła tam, skąd miała jechać do szkoły i księgarni.

Te liczby, kalendarz – tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego – oraz logistyka, czyli punkty dystrybucyjne, świadczą o tym, że mamy do czynienia z działaniem celowym. I choć zdawałoby się, że papier ustępuje przed nośnikami elektronicznymi, to jednak obsesja na punkcie niszczenia egzemplarzy papierowych książek jest bardzo wymowna. Świadczy także o tym, że wojna w coraz większym stopniu dotyczy kultury i tożsamości.

Hale widać z drogi, bo zostaje po nich dym; liczba podana jest jeszcze tego samego dnia. Na ziemiach, które Rosja trzyma, czyli terytoriach tymczasowo okupowanych, książki zdejmuje się systematycznie od dawna.

Ruski kulturkampf

Najpierw sporządza się spis, potem dzieli zbiór. Rzadkie druki i stare opisy kraju jadą na wschód, bo mają wartość źródła. To, co wyszło po roku 1991, a zwłaszcza po roku 2014, schodzi z półki do kotłowni, na szkolny śmietnik albo do worka. Na opróżnione miejsce wjeżdża nakład z Federacji. Sam budynek biblioteki zostaje, zmieniają się jednak pieczęć, spis i język, w którym zbiór ma odtąd mówić.

W Chersoniu, w bibliotece obwodowej imienia Ołesia Honczara, zrobiono to przy pracownikach. 21 czerwca 2022 roku część z nich zamknięto w jednym skrzydle na trzy godziny i za ścianą słychać było ciężarówki. Z gablot zniknęły starodruki i zbiory gubernialne. Dyrektorka ustanowiona przez okupanta powiedziała później do kamery, że z prawobrzeża „ewakuowano” 780 cennych tomów, druki z lat 1780–1920. Ukraińska dyrektorka, gdy wojsko kijowskie wróciło do miasta, opisała inną kolejność: z czytelni zdjęto wszystko wydane w Ukrainie po 1991 roku i zrzucono w dół, a na wierzch wystawiono literaturę sowiecką i rosyjską. Rzadkich druków w gablotach już nie było.

Lewy brzeg został za nimi. Pracuje tam ponad 100 bibliotek. W 2024 roku ich „ministerstwo kultury” podało, że na rosyjskie zakupy wydano 50 mln rubli. Na półkach stanęły encyklopedie o Rosji dla dzieci i wznowienia klasyki. W październiku 2025 roku, po kolejnym obchodzie bibliotek, Żółta Wstążka napisała, że półki są już „czyste” i że została na nich literatura radziecka oraz rosyjska.

Na Ługańszczyźnie wyszedł spis. 365 tytułów należało wyjąć ze szkolnych bibliotek, a obok listy dopisano całe działy: Holodomor, podręcznik i słownik historii Ukrainy, publicystykę po roku 2014, serię o sławnych Ukraińcach, komiks i to wszystko, co uczy dziecko, że istnieje osobne „my”. W spisie znalazły się nazwiska: Łukjanenki, Petlury, Zabużko, Sencowa, Kipianiego, Łojki, Położija, Czecha, Irwańca, Kułeby i Wiatrowycza. Bibliotekarz miał odpowiadać osobiście, jeśli coś zostanie na półce. W Starobielsku ze zbioru

eprasa.pl 8f89cdd082

FOT. PIXABAY

liczącego ponad 12 tys. tomów ocalały sztuki wyniesione pod kurtką. W Biłokurakynem i Hreczyszynem sterty szły do kotłowni. Z ługańskich szkół wywieziono około 22 tys. podręczników historii Ukrainy. W jedną stronę jechała makulatura, w drugą, w roku 2023, ponad 750 tys. rosyjskich książek, w przewadze o historii Federacji Rosyjskiej.

Szkoła jest ciaśniejsza niż biblioteka miejska, ponieważ w mieście można zostawić Puszkina i zdjąć Zabużkę, a w klasie dziecko ma dostać jedną opowieść o tym, skąd jest. Wypadają język ukraiński, literatura ukraińska i historia Ukrainy, a wchodzi wykład rosyjski. W nowszych podręcznikach Miedinskiego znika nazwa „Kijowska Ruś" i zostaje „Ruś", której ciągłość bierze Moskwa. Głód jest tam nieurodzajem, majdan zamachem, a granice w atlasie są już inne.

Część zdjętego zbioru nie idzie w ogień, tylko do Moskwy. W czerwcu tego roku dyrektor Rosyjskiej Biblioteki Państwowej podał, że w wydzielonym dziale leży 18 tys. książek zdjętych z bibliotek na ziemiach pod władzą Rosji. Zbiór zaczęto składać w 2024 roku. To nie jest stos. To skład, w którym ma być widać, jak powstawała „rusofobia".

Putinowska historia

Esej Putina z lipca 2021 roku nie jest ozdobą inwazji. Jest jej wykładem, który rosyjska machina wojenna stosuje dosłownie. Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini mają być jednym ludem, Ruś wspólnym źródłem, a dzisiejsza Ukraina tworem złożonym z bolszewickiej administracji i obcej intrygi. Kijów w tym tekście jest matką miast ruskich, nie stolicą innego ciągu. Granica z roku 1991 nie jest dziejami, tylko prowizorką. Z takiego zdania wynika obowiązek: to, co na papierze utrzymuje Ukrainę jako osobny podmiot, przestaje być literaturą i staje się fałszerstwem aktu.

Stąd dwa rodzaje działania, które tylko z pozoru należą do różnych wojen. Hale z nakładem pali się tam, gdzie ukraińska książka jeszcze powstaje i czeka na drogę. Na ziemiach już wziętych zdejmuje się z półki to, co zdążyło powstać wcześniej. W obu przypadkach przedmiotem jest nie papier, tylko prawo do opowieści o Rusi.

Niepewność siedzi w samej tej strategii. Państwo pewne swojego starszeństwa nie musi wyjmować dziecku podręcznika i wieźć starodruków do Moskwy pod strażą. Ruś Kijowska jest wcześniejsza niż księstwo moskiewskie, a imię „Rus" Moskwa wzięła, nie odziedziczyła prostą linią. Esej zasłania tę kolejność jednością krwi i wiary. Praktyka zdradza, że jedność nie wystarcza, skoro trzeba jej doglądać w kotłowni i w drukarni.

Cenzura historyczna ma dwa zadania i oba widać w spisach. Pierwsze: wypłukać świadomość, że ziemia pod okupacją ma ukraiński korzeń, własny język literacki i osobną chronologię państwową. Dlatego z półki schodzą historia Ukrainy, seria o sławnych Ukraińcach, publicystyka po Majdanie i nawet bajka ze stemplem po roku 1991. Z podręcznika Miedinskiego znika „Kijowska Ruś", zostaje „Ruś", której ciągłość obejmuje Moskwa. Drugie: wypłukać zbrodnię sowiecką na Ukraińcach. Holodomor nie może zostać ludobójstwem, bo psuje obraz wspólnego domu. Głód ma być nieurodzajem. Archiwum terroru ma zamilknąć albo wyjechać. To, czego nie da się spalić, bo jest stare i cenne, składa się w Moskwie jako dowód „rusofobii", czyli jako dowód, że ktoś śmiał pisać inaczej.

Nowa tożsamość, którą ma przyjąć dziecko na lewym brzegu Dniepru i w Starobielsku, nie jest powrotem do Rusi. Jest awansem spadkobierców księstwa moskiewskiego na jedynych wykonawców testamentu. Oni biorą stolicę, imię, Świętego Włodzimierza i prawo głosu o tym, czym była dawna ziemia. Ukrainiec w tej konstrukcji albo wraca do wspólnoty, albo okazuje się błędem wychowania. Książka, która ten błąd utrwala, nie zasługuje na półkę.

Hale tego lata i worki na Ługańszczyźnie biorą się z jednego zdania: Ukraina nie ma prawa pisać historii Rusi we własnym imieniu. Gdzie jeszcze drukuje, uderza się w skład. Gdzie już nie drukuje, wymienia się zbiór.

Cała ta historia pokazuje, że kultura nie jest jedynie ozdobnikiem, to nie dodatek ani jeden z kolejnych sektorów polityki państwa, na który nie wiadomo dlaczego należy łożyć. Kultura to samo sedno politycznego działania. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

HUTI ZAMIESZALI W BLISKOWSCHODNIM KOTLE

DRUGI FRONT WOJNY

eprasa.pl 8f89cdd082

FOT. KHALED ABDULLAH / REUTERS / FORUM

HUTI POWSTRZYMUJĄ USA

Do pomocy królestwu Saudów nie kwapi się największe na świecie mocarstwo. USA uwikłały się w wojnę z Iranem i próby odblokowania Ormuzu, więc nie chcą otwierać sobie drugiego frontu w regionie.

Od początku wojny z Iranem wszyscy zadawali sobie pytanie, kiedy do gry wkroczą jemeńscy sojusznicy Teheranu. Wkroczyli, gdy strażnicy rewolucji islamskiej pojęli, że zaczynają przegrywać starcie z USA. Główną ofiarą ofensywy Huti stała się Arabia Saudyjska, a wraz z nią ceny ropy naftowej na świecie.

Antoni **Rybczyński**

Choć walki jemeńskich Huti z Arabią Saudyjską zostały wznowione, po kilkuletniej pauzie, już w lipcu, to jednak decydujący cios rebelianci zadali w pierwszej połowie września. Nagła ofensywa na oddziały formalnie lojalne wobec legalnego rządu Jemenu – i stojącego za nim przede wszystkim Rijadu – miała błyskawiczny przebieg. Huti zajęli ostatnie kluczowe porty na wybrzeżu Morza Czerwonego kontrolowane przez rząd jemeński, a także pozostałą część równiny przybrzeżnej, wyspy Hanisz oraz wyspę Perim.

To oznacza, że są niemal pełnoprawnymi panami Bramy Łez, czyli jednej z najważniejszych cieśnin morskich na świecie, Bab al-Mandab. Więcej, w tym samym czasie proirańskie milicje z Iraku uderzyły dronami w kluczowy dziś dla Saudów rurociąg Wschód–Zachód. Efekt? Lada moment wyparuje dodatkowo, jakby mało było problemów w cieśninie Ormuz, 4 proc. ropy z globalnego rynku.

Cios w czarne złoto

Jednocześnie Huti prowadzą kampanię ataków pociskami balistycznymi i dronami na obiekty infrastruktury wojskowej i naftowej w zachodniej Arabii Saudyjskiej. Jednym z celów są rafineria i terminal naftowy w nadmorskim Janbu, mimo że leżą około 900 kilometrów od Jemenu.

Huti atakują saudyjską infrastrukturę naftową, aby zmaksymalizować polityczne i gospodarcze koszty kampanii, co ma zmusić Rijad do ustąpienia wobec żądań rebeliantów, które obejmują zaprzestanie saudyjskiej działalności wojskowej i wsparcia dla wrogów Huti w Jemenie, zniesienie saudyjskiej powietrznej blokady terytoriów kontrolowanych przez Huti, zapewnienie saudyjskiego wsparcia na wynagrodzenia dla urzędników na terenach kontrolowanych przez rebeliantów oraz uzyskanie od Arabii Saudyjskiej reparacji wojennych.

Prawdopodobnie rozszerzenie ataków Huti w głąb Arabii Saudyjskiej może być związane z niedawnymi wysiłkami Arabii Saudyjskiej mającymi na celu przekierowanie eksportu ropy do cieśniny Ormuz. Arabia Saudyjska prowadzi obecnie naprawę rurociągu, który został wyłączony po tym, jak 10 września podmioty powiązane z tzw. osią oporu, działające z Iraku, zaatakowały rurociąg i stacje pomp na południe od Medyny za pomocą drona.

Zdolność Arabii Saudyjskiej do zwiększenia eksportu ropy przez cieśninę Ormuz może odzwierciedlać niedawne sukcesy USA w działaniach na rzecz przywrócenia swobody żeglugi w cieśninie. Amerykańskie ataki osłabiły irańskie radary przybrzeżne i sprzęt obserwacyjny, zdolności do stawiania min oraz inne systemy, na których Iran polegał w celu monitorowania żeglugi handlowej i zagrażania jej.

Postępująca utrata wpływu na Ormuz plus coraz boleśniejsze skutki ekonomicznej blokady nałożonej przez USA na Iran to zapewne dwa główne powody, dla których Teheran skłonił sojuszników z Jemenu do włączenia się w wojnę. Irańscy decydenci nadal wydają się niezadowoleni z przebiegu konfliktu i próbują go zmienić poprzez szerszą kampanię regionalną, obejmującą wspierane przez Iran ataki tzw. osi oporu na regionalnych sojuszników USA, takich jak Arabia Saudyjska.

Podzieleni wrogowie Huti

Tymczasem siły walczące w Jemenie z Huti – które poniosły początkowo serię klęsk

eprasa.pl 8f89cdd082

– starają się, jeśli nie kontratakować, to przynajmniej utrudnić rebeliantom umocnienie się na już zajętych pozycjach. Udana ofensywa Ansaru Allah, bo taką oficjalną nazwę nosi ruch rebeliantów, nie kończy wojny.

Wrogowie Huti przegrupowują się i korzystają z coraz intensywniejszych nalotów saudyjskich na pozycje przeciwnika. Wydaje się, że kluczem do wzmocnienia sił anty-Huti byłoby jakieś porozumienie między Rijadem a Abu Zabi. Cały jemeński obóz walczący z Huti jest bowiem od lat mocno podzielony – to zresztą jedno z wytłumaczeń militarnych sukcesów zdyscyplinowanych, zjednoczonych i wspieranych przez Iran rebeliantów.

Zasadniczo siły lojalne formalnie wobec uznawanego oficjalnie przez świat rządu jemeńskiego (IRG) faktycznie podzielone są na dwa główne obozy. Jeden to milicje sponsorowane przez Saudyjczyków. I to one zebrały największe cięgi od Huti w ostatnich walkach. Drugi to milicje lojalne wobec Tymczasowej Rady Południowej (STC), związanej ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi.

Po ostatnich wydarzeniach, zwłaszcza porażkach Sił Narodowego Oporu (uważanych za najbitniejszą formację gen. Tariqa Saleha, opartą na dawnej Gwardii Prezydenckiej) i utracie przez nie bastionu w Mokce, to oddziały uznające zwierzchnictwo STC są główną siłą anty-Huti.

Tylko że są dwa „ale". Po pierwsze, STC trzyma z Emiratczykami, którzy rywalizują od dawna z Saudami w Jemenie. Ta rywalizacja przybrała nawet na początku roku formę zbrojnych starć między lojalistami Rijadu i Abu Zabi. Po drugie, Huti są bardzo sprytni, wiedzą, że STC dąży do podziału Jemenu i utworzenia na powrót na jego południu oddzielnego państwa (podział był już za czasów kolonialnych, potem dwa jemeńskie państwa zjednoczyły się dopiero na początku lat 90. XX wieku). Dlatego nie wchodzą na ziemie, do których rości sobie prawa STC, licząc, że ta proemiracka władza uzna, iż bardziej opłaca się jej dopuścić do całkowitej klęski sił prosaudyjskich i w rezultacie podziału Jemenu na dwie części: kontrolowaną przez Huti i Południe.

Saudyjski papierowy tygrys

Arabia Saudyjska nie chce dać się wciągnąć w kolejną ciężką wojnę. Ma bolesne doświadczenia po tym, jak w 2015 roku stanęła na czele szerokiej koalicji, która zaangażowała się w wojnę domową w Jemenie po stronie wrogów Huti. Rebelianci okazali się niezwykle odporni. Skończyło się rozejmem w 2022 roku.

Mało kto spodziewał się takiego blitzkriegu Huti przeciw Saudom, jak ten przeprowadzony przez rebeliantów we wrześniu. To kompromitacja Rijadu roszczącego sobie prawa do bycia jedną z bliskowschodnich potęg.

Konflikt między Saudyjczykami a Huti rozgorzał na nowo w lipcu br., ale mało kto spodziewał się takiego blitzkriegu, jak ten przeprowadzony przez rebeliantów we wrześniu. To kompromitacja Rijadu roszczącego sobie prawa do bycia jedną z bliskowschodnich potęg.

Kompromitacja tym dotkliwsza, że oznacza ogromne problemy dla podstawy gospodarki saudyjskiej: eksportu ropy. Gdy wybuchła wojna USA i Izraela z Iranem i została niemal zamknięta cieśnina Ormuz, Saudowie, inaczej niż pozostałe monarchie Zatoki, znalazły sposób, by nadal eksportować ropę i świetnie na tym zarabiać (ceny wszak poszły ostro w górę). To rurociąg Wschód–Zachód, który w pełni zaczęto wykorzystywać do pompowania surowca wydobywanego nad Zatoką do portu Janbu nad Morzem Czerwonym. Stąd saudyjska ropa płynęła sobie spokojnie przez Kanał Sueski do Europy i przez cieśninę Bab al-Mandab na Daleki Wschód. Trwało to pół roku.

I nastąpił zwrot akcji. Nie dość, że śmiertelny wróg Saudów, czyli Huti, błyskawicznie wzmocnił swoją pozycję nad Bab al-Mandab (blokada dostaw saudyjskiej ropy np. do Chin), to proirańskie milicje w Iraku dronami wyeliminowały na parę tygodni rurociąg Wschód–Zachód (brak surowca dla odbiorców europejskich).

Rijad stoi przed dylematem: albo przyjmie warunki Huti, co by oznaczało de facto kapitulację i przyznanie się przed światem, że królestwo jest jedynie papierowym tygrysem, skoro ustępuje prymitywnym pasterskim plemionom z Jemenu; albo będzie eskalować wojnę z Huti, co raczej sukcesem się nie zakończy. Siły anty-Huti w Jemenie są słabe, samymi nalotami problemu się nie rozwiąże (bombardowanie jaskiń?), a Rijad jak diabeł święconej wody boi się wysyłać swoje siły lądowe na tereny, które Huti znają jak własną kieszeń.

Być może szanse Saudów byłyby większe, gdyby mieli potężnych sojuszników u boku. Sęk w tym, że żaden nie spieszy z pomocą. Zawarty w lipcu tzw. pakt z Mekki nie działa. Chodzi o trójstronny sojusz obronny Arabii Saudyjskiej, Turcji i Pakistanu. Ankara i Islamabad potępiają Huti i wyrażają solidarność z Rijadem, i tyle.

Gorzej, że do pomocy królestwu nie kwapi się też największe na świecie mocarstwo. USA uwikłały się w wojnę z Iranem i próby odblokowania Ormuzu, więc nie chcą otwierać sobie drugiego frontu w regionie. Huti podejmują działania dyplomatyczne, które mają na celu powstrzymanie Stanów Zjednoczonych lub ich partnerów przed wsparciem lub przyłączeniem się do saudyjskiej kampanii, twierdząc, że nie mają obecnie zamiaru atakować międzynarodowej żeglugi.

Tyle że jeśli teraz rebelianci umocnią się w pobliżu cieśniny Bab al-Mandab, będą mogli w przyszłości w dowolnym momencie i pod byle pretekstem zagrozić nie tylko statkom saudyjskim. Co zresztą robili już w latach 2023–2024, dopóki do zaprzestania ataków nie zmusiła ich powietrzno-morska kampania USA. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

ROSJA **absurdem stoi**

Wiadomości z kraju wiecznej szczęśliwości, czyli cotygodniowy przegląd ciekawostek z Federacji Rosyjskiej. Od Kaliningradu po chińską granicę. Od Moskwy do wiosek na Przywołżu.

Feliks **Kazański**

Rosja: Horror from real Mordor

1984 Kandydata w wyborach z opozycyjnej partii Jabłoko wezwano do prokuratury z powodu słów „pokój" i „wolność", których użył w swoim filmiku agitacyjnym. I dobrze tak ekstremiście! Przecież wiadomo, że wojna to pokój, wolność to niewola, a ignorancja to siła.

Technologie XXI wieku Tymczasem rosyjscy programiści opracowali klawiaturę dla systemu Android, która od razu pokazuje, jaki użytkownikowi telefonu może grozić wyrok za komentarz napisany w mediach społecznościowych. Użytkownicy iPhone'ów z niecierpliwością czekają na taki wynalazek dla iOS!

Tanio sprzedam Rosja jest gotowa zostać alternatywnym dostawcą technologii lotniczych dla całego świata – oznajmiła rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa. Aha, pewnie żeby pozbyć się tych, których nigdy nie udało się wdrożyć we własnym przemyśle. To znaczy faktycznie wszystkich.

Przyłóż palec Uczestnicy „specjalnej operacji wojskowej" z Sachalina otruli swojego towarzysza broni, a potem obcięli mu palec, żeby odblokować jego telefon i otrzymać dostęp do żołdu. Niby barbarzyńcy, ale jednak nie do końca – w końcu wiedzieli, co to biometria.

Słuchać i wykonywać! A niepełnosprawnego 59-latka z Ufy, który podpisał kontrakt z armią, wysłano do oddziału szturmowego, zamiast dać mu obiecany przydział radiotelegrafisty. Chociaż, jak skarży się jego rodzina, z powodu chorego kręgosłupa „nie może długo stać, nosić ciężkich rzeczy", a ostatnio – już nawet mówić z bólu. Ale po co ma mówić? Ma słuchać rozkazów i je wykonywać! **GP**

WSPÓLNY JĘZYK
Wychowawcy przestali rozumieć przekleństwa przedszkolaków – zaniepokoił się dziennik „Moskowskij Komsomolec". Zawsze można poprosić hydraulika Wasię, ten na pewno się dogada…

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

Déjà vu

W przypadku przystąpienia do działań zbrojnych przeciwko Federacji Rosyjskiej Warszawa przestanie istnieć w ciągu dwóch–trzech dni – ostrzegł Polskę doradca prezydenta Putina Nikołaj Patruszew. A jak to było z Kijowem – też miał paść w dwa–trzy dni?

Czytajcie więcej na **www.facebook.com/RosjaHFRM**

eprasa.pl 8f89cdd082

Maciej **Kożuszek**

AI I OPOWIEŚCI O ZAGŁADZIE

CZY CZAS ZATRZYMAĆ ROZWÓJ?

Ludzie, którzy budują AI, szczerze wierzą, że może nas ona zabić do końca dekady – zakomunikował były pracownik firmy Anthropic Jacob Coxon, a jego ostrzeżenie wywołało szeroką dyskusję w amerykańskich mediach. Głosy o tym, że AI może wymknąć się spod kontroli i zagrozić ludzkości, płyną także z wewnątrz największych firm inwestujących w technologię. Niektórzy jednak, z Donaldem Trumpem na czele, uważają, że opowieści o apokalipsie to „ściema" i być może nic więcej jak biznesowa strategia.

eprasa.pl 8f89cdd082

FOT. ADOBE STOCK

BIZNES SIĘ NIE SPINA

Trening kolejnych modeli AI wymaga coraz większych nakładów: energii, mocy obliczeniowej i środków, ale niekoniecznie przekłada się na szybkie zastosowania w gospodarce, które można byłoby zmonetyzować.

Bunt robotów – to idea tak głęboko zakorzeniona w naszej kulturze i opowiedziana już na tyle sposobów, że nic dziwnego, iż rozważanie realności takiego scenariusza wywołuje takie obawy i emocje. Samo słowo „robot” ma zresztą słowiańskie korzenie. Użył go po raz pierwszy czeski dramaturg Karel Čapek, pisząc w 1920 roku sztukę „R.U.R. (Rossumovi Univerzální Roboti)”. W utworze wyprodukowani humanoidalni wykonawcy pracy przymusowej („robota”) w końcu nabywają świadomość, buntują się przeciw swojemu niewolnictwu i zabijają większość ludzi. Ten sam motyw pojawia się potem dziesiątki razy w science fiction: od androidów Philipa K. Dicka, poprzez prawa robotyki z „Fundacji” Isaaca Asimova, po najbardziej znaną opowieść o buncie Skynetu z serii „Terminator”.

Pytanie znajdujące się w centrum dzisiejszej dyskusji o AI brzmi: czy jesteśmy rzeczywiście u progu znanego z science fiction scenariusza? Czy może rozkręcanie histerii, z różnych pobudek, jest tym łatwiejsze, bo scenariusz jest wszystkim tak dobrze znany?

Spowolnić rozwój

Sprawy związane z dalszym rozwojem sztucznej inteligencji coraz bardziej znajdują się w centrum amerykańskiej debaty, tuż przed wyborami śródterminowymi do Kongresu. Rozbudowa centrów danych budzi społeczny opór i jest wyzwaniem dla wielu polityków, także republikańskich, na poziomie lokalnym. Teraz, wobec alarmistycznych doniesień o rozwoju modeli AI, dochodzi sprawa ewentualnych federalnych regulacji, którymi miałby być objęty cały sektor.

Dyskusję rozpalił przypadek Jacoba Coxona, byłego pracownika Anthropica, który opuścił firmę, by bić na alarm. To, co jest jednak uderzające, to fakt, że sama firma nie podążyła dobrze znaną ścieżką zarządzania kryzysowego, nie odcięła się i nie zdementowała jego ostrzeżeń.

„Jacob ma tu rację – naprawdę szczerze wierzymy, że AI może zabić wszystkich ludzi! Ja osobiście uważam, że jest na to więcej niż 10 proc. szans w ciągu następnej dekady” – napisał zamiast tego Evan Hubinger, główny badacz ds. bezpieczeństwa AI w Anthropic.

Szef firmy Dario Amodei opublikował manifest pod tytułem „We Must Pace the Frontier” („Musimy spowolnić rozwój najbardziej zaawansowanych modeli”). Opisuje w nim sprawę OpenAI-HuggingFace, poruszaną już w „GP”, w której agenci AI wyrwali się spod kontroli, stosowali stadną solidarność i włamali się do programu mającego oceniać ich pracę. „Biorąc pod uwagę perspektywy przyspieszającego rozwoju zdolności AI, obawiam się, że w ciągu 6–12 miesięcy taki rój może przejąć kontrolę nad całym internetem” – napisał Amodei.

AI jak koń trojański

Szef Anthropica zawnioskował o spowolnienie rozwoju poprzez niezależne panele kontrolne, „demokratyczną koordynację” i „globalną koordynację”. Wnioski Amodeiego poparli Sam Altman z Open AI i Elon Musk ze SpaceX.

Szczególnie ten drugi postulat, „demokratycznej koordynacji”, wzbudza dyskusję. „Niektóre formy koordynacji, które będą miały wpływ na tempo rozwoju, są wyzwaniami prawnymi i będą wymagały wsparcia rządu” – napisał Amodei.

To wywołało reakcję administracji. „Trochę dziwnie się czuję z tym, że mamy tyle tych zaawansowanych firm AI, które przychodzą do rządu i proszą, by poddać je regulacjom. Dla mnie to trochę wygląda jak koń trojański” – stwierdził wiceprezydent J.D. Vance 14 sierpnia.

Dwa dni później dodał argument, który często pojawia się w dyskusjach – jeśli giganci AI uważają, że rozwój jest zbyt szybki, mogą po prostu zwolnić. „Spójrzcie sami na siebie i zaakceptujcie, że jeśli budujecie Frankensteina, po pierwsze, powinniście przestać, po drugie, jeśli firmy przychodzą do was i mówią: »potrzebujemy narzędzi, by bronić się przed Frankensteinem«, dajcie im te narzędzia” – mówił.

Jeszcze ostrzej zareagował prezydent Donald Trump, który podkreślił geopolityczny wymiar rozwoju sztucznej inteligencji: „Mamy przewagę nad Chinami w AI. Jesteśmy najbardziej zaawansowanym krajem na świecie i, mówiąc szczerze, chciałbym, żeby tak zostało, bo ktokolwiek wygra AI, wygra”.

Stwierdził też, że regulacje nie są potrzebne, bo USA mają „silnego i mądrego (wysokie IQ!) prezydenta”. Dodał też, że „AI przejmujące kontrolę nad światem, niszczące ludzkość i wszystkie inne złe rzeczy to ściema”.

eprasa.pl 8f89cdd082

Krytycy gigantów AI zwracają uwagę, że zgodnie ze starą metodą tworzenia wielkich gospodarczych trustów i faktycznych monopoli żądanie regulacji może być metodą na pozbycie się przyszłej konkurencji.

Gra wielopoziomowa

„Jest szalona konspiracja przeciwko AI i centrom danych, a jedynymi, którzy się z tego cieszą, są Chiny" – napisał Trump 14 sierpnia na Truth Social. Sprawa jest jednak bardziej złożona, bo jest wiele podmiotów, które mogą potencjalnie widzieć swój interes w rozkręcaniu atmosfery niechybnej apokalipsy, choć ich pobudki są odmienne, a ich działanie nie jest pewnie skoordynowane.

Po pierwsze, mamy realne obawy. Nawet krytycy OpenAI czy Anthropica zauważają, że rozwój technologii wymaga poprawy cyberbezpieczeństwa albo lepszej ochrony np. laboratoriów badających niebezpieczne wirusy. Po drugie, mamy Chiny. Niedawno Chen Yixin, szef chińskiego ministerstwa bezpieczeństwa państwowego, opublikował tekst oparty na tezie, że AI może zagrozić trwałości władzy Komunistycznej Partii Chin. Wiadomo też, że Pekin podsyca w USA kampanię sprzeciwu wobec budowy centrów danych.

Jeśli Chiny oceniają, że USA mają wyraźną, grożącą stabilności reżimu, przewagę w tym sektorze, może im szczególnie zależeć na popularyzacji trzeciego postulatu Amodeiego, czyli „globalnej koordynacji". Nałożenie ograniczeń na amerykański rozwój pod płaszczykiem odpowiedzialnego, globalnego zarządzania zagrożeniami, na wzór porozumień dotyczących broni nuklearnej, mogłoby być na rękę rządzącym w Państwie Środka. Podobnie jak podsycanie społecznego niepokoju związanego z technologią będącą kołem zamachowym amerykańskiej gospodarki.

Po trzecie, mamy motywy samych amerykańskich gigantów AI. Jak zauważył komentator „Wall Street Journal", w ich narracji o sztucznej inteligencji „doom", czyli wizji apokalipsy, towarzyszy „boom", czyli wszechobecne jeszcze chwilę temu opowieści o powszechnym dobrobycie, który przynieść ma technologia. Opowieść o niekontrolowanej, potencjalnie apokaliptycznej maszynie, która stała się tak potężna, że za chwilę może wyrwać się spod kontroli samych twórców, paradoksalnie może być im na rękę, bo jest dowodem na skalę ich sukcesu. Pokazuje nieograniczony potencjał wykorzystania AI, który może być argumentem przyciągającym kolejnych inwestorów.

Koszty rozwoju AI się nie bilansują

Krytycy gigantów zwracają uwagę, że zgodnie ze starą metodą tworzenia wielkich gospodarczych trustów i faktycznych monopoli żądanie regulacji może być metodą na pozbycie się przyszłej konkurencji, która chcąc osiągnąć poziom OpenAI, Anthropica czy SpaceX, musiałaby przeskoczyć więcej przeszkód – administracyjnych i regulacyjnych.

Coraz częściej zwraca się też uwagę na to, że model biznesowy, na którym swój wzrost oparli giganci, powoli przestaje się spinać. Trening kolejnych modeli wymaga coraz większych nakładów: energii, mocy obliczeniowej i środków, ale niekoniecznie przekłada się na szybkie zastosowania w gospodarce, które można byłoby zmonetyzować. OpenAI i Anthropic mają wydać w 2026 roku 65 mld dolarów na sam trening nowych modeli, w 2029 roku prognozy mówią już o 250 mld dolarów. Obydwie firmy w błyskawicznym tempie dodają nowych użytkowników, ale wielu analityków zadaje pytanie, czy równie błyskawicznie rosnące koszty zostaną w końcu zbilansowane.

Zastosowania AI, o których myślą prorocy powszechnego dobrobytu, w których roboty zastępują pracę nawet specjalistów, to ciągle melodia przyszłości, która natrafia na ograniczenia materiałowe i technologiczne. Pojawia się też pytanie o to, czy ciągłe doskonalenie modeli AI jest tym, co realnie przełoży się na wzrost gospodarczy. Nie do wszystkich zadań, w których technologia może pomóc ludziom, niezbędne są najbardziej zaawansowane modele, zdolne rzekomo do rozwiązywania nierozwiązanych do tej pory problemów matematycznych. Biorąc pod uwagę wielkie koszty obliczeniowe, jakich wymagają modele, praca ludzi może być ciągle tańszym rozwiązaniem.

Wielu, jak choćby mający spory wpływ na wiceprezydenta Vance'a, prawicowy intelektualista Curtis Yarvin, wątpi też w to, czy obecne modele AI są tak potężne, jak twierdzą ich twórcy. Problem polega na tym, że ci, którzy obawiają się scenariusza „apokalipsy AI", muszą za dobrą monetę brać słowa samych twórców technologii. Niezależnie, po której stronie sporu się znajdujemy, opowieść o niebezpieczeństwach nowej wciąż technologii będzie nam jeszcze towarzyszyć. **GP**

FOT. ADOBESTOCK

eprasa.pl 8f89cdd082

FELIETON

{ PRZESZŁOŚĆ POWRÓCI IDEĄ }

WIWAT, WOLIŃSKA! WIWAT, BAUMAN!

Tadeusz **Płużański**

Zanim został „światowej sławy profesorem”, był… ubekiem. I gdyby Polska była normalnym (nieunurzanym w komunizmie) krajem, z normalnym (nieunurzanym w komunizmie) wymiarem sprawiedliwości, stanąłby przed sądem. Piszę o Zygmuncie Baumanie, stalinowcu oprotestowanym przez młodych Polaków wiele lat przed ostatnią pikietą przeciwko Helenie Wolińskiej w Muzeum POLIN. W marcu 1968 roku krajowi komuniści o innych komunistach rozpowszechniali ulotki: „Bauman z Brusem i Baczką – ta podstępna szajka pastwiła się nad Polską jak czerezwyczajka”. Zygmunt Bauman, Włodzimierz Brus (mąż Heleny Wolińskiej) i Bronisław Baczko – walczący ideologowie stalinizmu – zostali potem rewizjonistami, czyli naprawiaczami komunizmu. Te – podobno – ofiary Marca ’68 wyjechały z PRL, by zostać szanowanymi na świecie naukowcami. Najbardziej „zasłużony” z nich ma być właśnie Bauman. Bo to nie tylko ideolog, lecz także praktyk zbrodniczego komunizmu. Funkcjonariusz moskiewskiej milicji, politruk LWP, który po II wojnie, w ramach Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (odpowiednik wojsk wewnętrznych NKWD), pacyfikował Żołnierzy Wyklętych. To także donosiciel komunistycznej Informacji Wojskowej, ps. Semjon. Za życia i po śmierci zbrodniarz Bauman i zbrodniarka Wolińska są przez postkomunistyczny, politpoprawny salon pudrowani. Wolińska miała bardziej kochać Brusa, niż mordować akowców. A Bauman? To autorytet, piewca wolności i humanizmu. Przecież sam pouczał innych, jak żyć, choć nigdy komunizmu i swojego w nim udziału nie potępił. A nasza pamięć? Pamiętamy, jak władza „pierwszego Tuska” lansowała wszelkiej maści zbrodniarzy? Niemców sprzedających nam kłamliwy serial „Nasze matki, nasi ojcowie”? Komunistów w rodzaju Baumana, którego tak zażarcie – przed młodymi patriotami – bronili: prezydent Wrocławia Dutkiewicz, minister nauki Kudrycka czy szef MSWiA Sienkiewicz? A gdyby tak – w miejsce Baumana czy Brusa – zaprosić na jakikolwiek uniwersytet w Polsce jakiegoś niemieckiego profesora, sławę światowej nauki, który służył kiedyś w SS czy Gestapo i mordował Żydów? Broniłabyś go, „Gazeto Wyborcza”? **GP**

FELIETON

{ PLAGI AKADEMICKIE }

PRZEZ KIBEL DO WŁADZY REKTORSKIEJ

Józef **Wieczorek**

Może ostro, ale wobec smrodu, który opanował domenę akademicką, trzeba czasem „ugryźć żubra w dupę”, jak powiedziałby Jarosław Marek Rymkiewicz. Domena akademicka od pewnego czasu znajduje się w stanie rozkładu i wydziela takie „zapachy”, że nawet najlepsze perfumy nie pomagają. Ostatnio jeden ze świeżo nominowanych rektorów – i to przez ministra sprawiedliwości – aby rozpocząć zarządzanie powierzoną mu uczelnią, zamknął się w toalecie, gdzie chyba wentylacja zmniejszała natężenie szkodliwych zapachów. Na fotel rektora Akademii Wymiaru Sprawiedliwości dr hab. Cudak, z dyplomem słynnej przygranicznej wytwórni habilitacji w Rużomberku, sam nie dotarł. Blokowany przez personel uczelni, nawet został okresowo zdymisjonowany. Ostatecznie z pomocą sił policyjnych został w końcu osadzony bezprawnie na fotelu rektora uzurpatora. Po 1968 roku był to chyba pierwszy przypadek wezwania policji na uczelnię dla wsparcia „naszego”, czyli osadzanego przez władze polityczną, rektora. Ale nominowanie „naszych” profesorów, „naszych” rektorów ma długą tradycję od początków instalacji systemu komunistycznego. Walki o władzę rektorską też są znane od dawna. Rektorzy in statu nascendi odcięci od gabinetów potrafili zarządzać uczelnią z samochodów, wynajętych sal konferencyjnych w hotelach, a nawet z prywatnych mieszkań. No cóż, rektor to atrakcyjna posada. Daje władzę niemal absolutną i uposażenie na poziomie światowym, nawet jak uczelnia jest mizerna. Warto pamiętać, że akademickie toalety i profesorskie salony od wieków dzieliła bardzo cienka granica. Z biegiem czasu przyległe do murów uczelni latryny przekształcano w profesorskie ogrody, aby uciec od smrodu do czystej nauki (przykład: Ogród Profesorski UJ przy Collegium Maius). Ale smród nie zawsze opuszczał gabinety. Mimo że 40 lat temu alarmowałem, iż trąd panuje w pałacu nauki, nie zrobiono nic, aby go zneutralizować. Nieleczony, zaraźliwy, rozprzestrzenił się na inne uczelnie, w końcu i na młodą Akademię Wymiaru Sprawiedliwości. **GP**

Uwaga: Polecamy książkę autora pt. „Z akademickiej otchłani”. Dostępna w sklepie „Gazety Polskiej”.

eprasa.pl 8f89cdd082

ZŁE NASTROJE

78 proc. badanych producentów narzeka na rosnące koszty pracownicze, 71 proc. na rosnące ceny energii, a 68 proc. na niepewność sytuacji gospodarczej. Przy tym 60 proc. takich firm nie podejmowało inwestycji w ostatnich trzech miesiącach, 45 proc. nie ma potrzeby inwestowania.

POLSKI PRZEMYSŁ W CIENIU ZŁOTEGO SMOKA

Pogarszający się stan finansów publicznych w połączeniu z rosnącymi kosztami polityki klimatycznej powoduje ciągły wzrost cen energii i przekłada się na słabnięcie kluczowego dla naszej gospodarki sektora przemysłowo-produkcyjnego, dodatkowo dotykanego rosnącym importem głównie gotowych produktów z Chin.

NEGATYWNY WPŁYW NA POTENCJAŁ POLSKIEGO SEKTORA PRODUKCYJNO-PRZEMYSŁOWEGO

Według informacji Polskiego Instytutu Ekonomicznego (PIE) opracowywany przez niego, na podstawie wywiadów z polskimi przedsiębiorcami z sektora przemysłowo-produkcyjnego, Miesięczny Indeks Koniunktury (MIK) we wrześniu br. spadł poniżej poziomu neutralnego (100 pkt) do poziomu 99,7 pkt.

Dekoniunktura zamiast koniunktury

Oznacza to, że jednocześnie był niższy o 7,7 pkt w stosunku do sierpnia br. i o 6,1 pkt wobec września ub.r. i znalazł się poniżej poziomu neutralnego (100 pkt).

Według Anny Szymańskiej i Katarzyny Zybertowicz z PIE „pogorszenie wpisuje się w szersze osłabienie europejskiego przemysłu widoczne także we wskaźniku PMI" agencji ratingowej S&P dla polskiego przemysłu. Zwracają one uwagę, że za spadkiem nastrojów przedsiębiorców tej branży „stoją przede wszystkim słabnący napływ zamówień oraz rosnące niedopasowanie między popytem a potencjałem produkcyjnym firm. We wrześniu wyraźnie więcej producentów odnotowało spadek liczby nowych zamówień (29 proc.) niż ich wzrost (8 proc.). Jednocześnie 17 proc. przedsiębiorstw uznało swoje moce produkcyjne za zbyt duże w stosunku do obecnego portfela zamówień".

Ponadto według ekspertek PIE „spadek wskaźnika może być (…) efektem narastania problemu obserwowanego już od kilku miesięcy, który dopiero teraz wyraźnie przełożył się na samoocenę przedsiębiorstw". Co więcej, wrześniowy MIK wskazuje m.in., że 78 proc. badanych producentów narzeka na rosnące koszty pracownicze, 71 proc. na rosnące ceny energii, a 68 proc. na nie-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 8f89cdd082

Maciej
Pawlak
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA

pewność sytuacji gospodarczej. Przy tym 60 proc. takich firm nie podejmowało inwestycji w ostatnich trzech miesiącach, 45 proc. nie ma potrzeby inwestowania, a 29 proc. odnotowało we wrześniu spadek liczby nowych zamówień. Oznacza to, że „słabsze perspektywy sprzedaży ograniczają również aktywność inwestycyjną przedsiębiorstw" z tej branży.

„Zbyt duży" udział węgla to wysokie ceny energii

Osłabienie tak istotnego dla naszej gospodarki sektora wynika rzecz jasna ze splotu kilku istotnych czynników, z których kluczowym jest osłabienie konkurencyjności zarówno polskiego, jak i unijnego przemysłu na arenie międzynarodowej, wynikające z obecnej zielonej polityki Brukseli, popieranej przez rząd Tuska. Przeróżne związane z tym mechanizmy, typu ETS, a wkrótce ETS2, sprawiają, że ceny energii niemal nieprzerwanie rosną. A w Polsce są one już jednymi z najwyższych w Europie – wskutek wciąż wysokiego udziału węgla w naszym miksie energetycznym. „Karane" jest to większymi niż w innych krajach z mniejszym udziałem węgla obciążeniami finansowymi wynikającymi z mechanizmu ETS. To jednak nie wszystko.

– Osłabienie naszego sektora przemysłowo-produkcyjnego przekłada się m.in. na drożyznę w sklepach z punktu widzenia przeciętnego Kowalskiego – mówi „GP" Janusz Szewczak, analityk gospodarczy, były główny ekonomista Kasy Krajowej SKOK. – Wobec tego przewiduję, że na jesieni pojawią się wyraźne symptomy kryzysu gospodarczego, zwłaszcza w sferze praktycznego wzrostu kosztów produkcji i kosztów utrzymania. Do tego trzeba dodać negatywny wpływ wzrostu cen energii. Spodziewany co najmniej 20-proc. ich wzrost najbardziej dotknie sektory przemysłowo-usługowe: a więc energię, paliwa, w tym benzyny i olej napędowy, a także gaz, który już od kilku miesięcy drastycznie drożeje na światowych giełdach. A przecież zbliża się zima. Moim zdaniem nie widać żadnych pozytywnych sygnałów dla polskich producentów. Również dotyczy to konsumpcji – mimo że jeszcze jest ona stosunkowo wysoka, pamiętajmy, że ludzie byli do niedawna na urlopach, wydali zapewne więcej pieniędzy. Ponadto zmniejszenie konsumpcji w kolejnych miesiącach nastąpi wskutek powrotu dzieci do szkół, a jesień wymaga ogrzewania mieszkań – dostarczania ciepła, którego ceny będą już kolosalne.

Istotne problemy dla polskiego przemysłu

– Ostatnio praktycznie wszystkie odczyty pokazujące perspektywy całego sektora przemysłowego dla polskiej gospodarki wyglądają tak, jakby wystąpiła u nas recesja – mówi „GP" Piotr Arak, główny ekonomista VeloBanku. – Nie dziwi mnie to, że pojawiają się negatywne odczyty, jak w MIK, dotyczące sektora przemysłowego. Aczkolwiek zawsze warto wziąć poprawkę na to, że nie są to dane twarde. Ale pewnie już gdzieś ten sektor mierzy się z ryzykami, które się pojawiają. Jednym z nich jest chiński szok 2.0, tj. wpływ chińskiej nadpodaży produkcji, która nie jest sprzedawana w Chinach i trafia do UE, w tym na polski rynek, jednocześnie wypychając nasze produkty z rodzimego rynku, ale i nasze produkty z rynku UE. Drugi problem, z którym musi się mierzyć ten sektor, to wysokie koszty energii, która zresztą już od lat jest dla niego bardzo dużym problemem. Przy czym już dzisiaj wiemy, że za 1 MWh energii zapłacimy w 2027 roku ponad 600 zł w tzw. kontraktach terminowych, obligujących do płatności po z góry założonej cenie – kontynuuje Arak.

– A to, ze względu na rosnące ceny gazu – mówi dalej ekspert – będzie powodowało, że koszty produkcji staną się u nas coraz wyższe. Można do tego dorzucić wciąż drożejące paliwa, co już obecnie wpływa na wzrost kosztów produkcyjnych bardzo wielu polskich przedsiębiorstw. Do tego dochodzi jeszcze konkurencja pozaeuropejska – nie tylko z Chin, lecz także z Indii, Ukrainy i wszystkich krajów, które nie mają tych samych norm dotyczących środowiska i – związanych z tym – dodatkowych podatków środowiskowych, które podnoszą koszty produkcji i sprawiają, że polska produkcja traci konkurencyjność. Warto tu wspomnieć o sektorze glazurniczym – ostatnio najbardziej znanym i głośnym przykładzie branży, która musi dokonywać restrukturyzacji zatrudnienia.

Chiny importerem numer jeden w Polsce

Ostatnie dane opublikowane przez NBP na temat wielkości polskiego importu w lipcu doskonale ilustrują, jak bardzo rośnie ekspansja chińskich firm na polski rynek. W opublikowanym „Bilansie płatniczym Polski w lipcu 2026 r."

eprasa.pl 8f89cdd082

NBP odnotował m.in., że „duży wzrost importu sprzętu komputerowego, samochodów osobowych oraz trwałych towarów konsumpcyjnych wpłynął na zmianę w strukturze geograficznej importu. W lipcu 2026 roku po raz pierwszy największym dostawcą towarów do Polski były Chiny, wyprzedzając Niemcy". Warto w tym miejscu dodać, że do tej pory, nieprzerwanie przez ostatnich co najmniej kilka lat, importerem numer jeden był nasz zachodni sąsiad.

Co prawda zarówno NBP, jak i GUS nie przedstawiły twardych danych na to, jak wysoka była wartość importu do Polski z obu krajów w lipcu br., jednak można ją wyliczyć, posługując się danymi GUS (jedynymi dostępnymi) dotyczącymi wartości importu obu krajów (w miliardach dolarów) od stycznia do lipca br. oraz od stycznia do czerwca br. Wówczas okazuje się, że w samym lipcu Polska sprowadziła z Niemiec towary i usługi warte 7,2 mld dolarów, natomiast z Chin – 7,3 mld dolarów. Że do tego dojdzie, wynikało coraz bardziej z danych z wcześniejszych miesięcy: udziały Chin w imporcie do Polski niemal stale rosły, a jednocześnie Niemiec malały.

– Wyprzedzenie w lipcu Niemiec przez Chiny na pozycji największego importera Polski to historyczne wydarzenie, a jednoczesne dowód na rosnącą potęgę gospodarczą i przemysłową Chin – uważa Szewczak. – Dotyczy to nie tylko Polski, lecz całej Europy, w której Chiny wypierają już nawet najlepszą produkcję europejską. To jednocześnie powoduje załamanie przemysłów europejskich, zwłaszcza motoryzacyjnego, a w tym niemieckiego. Masowe zwolnienia w zakładach Volkswagena, Stellantis, Audi itd. – to pokazuje dramat tego przemysłu. Nieprzypadkowo trafiło to na Niemcy, ponieważ one przestawiają swoją produkcję motoryzacyjną na zbrojeniową. A to znaczy, że słabsze przemysły w Europie w ogóle nie mają przyszłości.

Słaby okres dla przemysłu od początku rządów Tuska

– Dla polskiego przemysłu słaby okres nastał od chwili objęcia rządów przez Donalda Tuska – dodaje w wypowiedzi dla „GP" prof. Zbigniew Krysiak z Instytutu Myśli Schumana. – Bo – podobnie jak inni eksperci – uważam, że „driverem" dla przemysłu są ceny energii. Tymczasem w ostatnich miesiącach doszło m.in. do zamknięcia Elektrowni „Dolna Odra", zwolnień w Jastrzębskiej Spółce Węglowej, za chwilę będzie to miało miejsce w spółkach powiązanych z elektrowniami i kopalniami, a w najbliższych dwóch–trzech miesiącach będzie już kilkanaście tysięcy zwolnionych ludzi. Zaś cały przemysł to łańcuch – naczynia połączone, co powoduje, że inne branże cierpią wskutek jego pogarszającej się kondycji. Dlatego rosnący import z Chin stanowi wyjście w postaci redukcji kosztów sprowadzanych produktów. Bowiem obecnie niemieckie są znacznie droższe – nawet po doliczeniu ceł. Poza tym import z Chin w dużej mierze dotyczy elektroaut i innych produktów trwałego użytku. Zaś niemiecki przemysł elektromobilny odnotowuje głębokie spadki w wielkości sprzedaży. Jednocześnie Chińczycy stosują strategię uzależniania Polski – obok innych krajów UE – w zakresie cen. A błędy UE dotyczące likwidacji przemysłu karbonizacyjnego (opartego na produktach z węgla, w tym stalowego) powodują, że tego typu produkcja przenoszona jest do Chin. **GP**

> *Wyprzedzenie w lipcu Niemiec przez Chiny na pozycji największego importera w Polsce to historyczne wydarzenie, a jednocześnie dowód na rosnącą potęgę gospodarczą i przemysłową ChRL.*

PODATEK OD TELEWIZORA, KTÓREGO NIE MASZ

Wyniki oglądalności TVP z roku na rok są coraz gorsze, a ludzie dużo chętniej stawiają na stacje komercyjne. Problemy TVP potęguje niska ściągalność opłat abonamentowych i coraz większe uzależnienie od transferów z budżetu centralnego. Rząd, zamiast spełnić swoje obietnice wyborcze i odpolitycznić spółki Skarbu Państwa, stawia na dokręcenie śruby, rozpoczynając prace nad podatkiem audiowizualnym, który obciąży obywateli niezależnie od tego, czy w ogóle mają w domu telewizor. Warsaw Enterprise Institute stanowczo sprzeciwia się takiemu rozwiązaniu.

UCHO 2026 W KAJETANACH

13–15 września br. w Kajetanach k. Warszawy odbywała się XLIX Krajowa Konferencja Naukowo-Szkoleniowa UCHO 2026, organizowana m.in. przez Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu i Światowe Centrum Słuchu pod kierownictwem prof. Henryka Skarżyńskiego. Wśród tematów znalazły się: badania słuchu dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym, zaburzenia przetwarzania słuchowego, rozwój mowy, implanty słuchowe i nowe technologie wykorzystywane w audiologii. Osobna część konferencji dotyczyła rozwoju mowy i komunikacji u dzieci. Odbywały się także operacje pokazowe.

FOT. PIXABAY, MAT. PRAS.

www.prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl 8f89cdd082

Wieści z UE

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej

Tomasz Mysłek

Europa w skrócie

Władze UE chcą rozszerzyć podatek węglowy 15 września Parlament UE opowiedział się dużą większością głosów (tylko 50 przeciw) za rozszerzeniem unijnego podatku węglowego pobieranego na zewnętrznych granicach UE (tzw. CBAM) na liczne kolejne produkty. A także za zaostrzeniem przepisów mających przeciwdziałać obchodzeniu systemu i zwiększyć ściąganie tego podatku. Jeżeli rządy UE to zaakceptują, obywatele i firmy państw UE będą płacić za setki produktów przemysłowych znacząco więcej.

Regulacje UE niszczą polskich producentów ceramiki Polscy producenci ceramicznych płytek coraz mocniej odczuwają skutki bardzo kosztownej polityki UE, w tym klimatycznej. Krajowe fabryki płacą coraz więcej za energię, emisje dwutlenku węgla i spełnianie innych nakazów i zakazów komisarzy UE, więc ich produkty są coraz droższe i Polskę zalewają tanie płytki z Indii i Ukrainy. Wskutek tego masowych zwolnień pracowników dokonało dwóch dużych producentów – Cersanit i Ceramika Paradyż. Ich koszty produkcji były w 2025 roku już o ponad 40 proc. wyższe niż w 2021. Wpływają na to przede wszystkim wysokie ceny energii i gazu, rosnące koszty surowców, transportu, opakowań i wynagrodzeń.

Jeden z największych w Europie operatorów farm fotowoltaicznych ogłosił upadłość Enerparc AG, jeden z największych w Europie budowniczych i operatorów elektrowni fotowoltaicznych, złożył wniosek o wszczęcie postępowania upadłościowego. Firma rozwija też magazyny energii i buduje stacje elektroenergetyczne. Zaledwie pół roku temu ta prywatna niemiecka spółka, zatrudniająca około 380 osób, informowała o pozyskaniu miliarda euro kredytu. Być może wnioski o upadłość złożą także niektóre spółki powiązane z Enerparc.

Finlandia ukończyła budowę 200-kilometrowej zapory na granicy z Rosją Budowa płotu na wschodniej granicy Finlandii, o łącznej długości około 200 km, została zakończona 7 września. Płot postawiono odcinkami – głównie przy szlakach wykorzystywanych przez nielegalnych imigrantów. Metalowa zapora ma 3,5 m wysokości, a w jej koronie jest drut kolczasty zamocowany na stelażach w kształcie litery „Y". Ma też systemy nadzoru i monitoringu. Według szefowej MSW Mari Rantanen Finlandia, mająca z Rosją ponad 1300 km granicy, potrzebuje dłuższej zapory. Ale do tego – jak zaznaczyła – konieczne są fundusze UE. **GP**

KAUCJE

Rząd Francji zdecydował, że nie będzie obowiązku kaucji za plastikowe butelki i metalowe puszki. Zamiast systemu narzuconego całemu krajowi mają być rozwiązania dobrowolne wprowadzane przez samorządy.

FOT. ADOBE STOCK

Zapowiedź adopcji dzieci przez homoseksualistów

Nowy premier Węgier Péter Magyar zapowiedział zmianę prawa, która umożliwi parom homoseksualnym adopcję dzieci. Jak podał Reuters, władza chce zmienić przepisy uchwalone w 2020 roku przez rząd Viktora Orbána, które skutecznie zablokowały adopcję dzieci przez homoseksualistów.

eprasa.pl 8f89cdd082

TWIERDZA NA PODWÓRKU

Konrad **Wysocki**

Od fanaberii najbogatszych po racjonalną polisę na życie – zmieniająca się sytuacja geopolityczna, trwająca wojna za naszą wschodnią granicą i wieloletnie systemowe zaniedbania diametralnie zmieniły podejście społeczeństwa do infrastruktury ochronnej. Temat przydomowych schronów na dobre wszedł do dyskursu o naszym bezpieczeństwie. I choć to nadal kosztowna inwestycja, chętnych do jej realizacji jest coraz więcej.

WŁASNY SCHRON KROK PO KROKU

Wojna w bezpośrednim sąsiedztwie polskich granic brutalnie zweryfikowała nasze wyobrażenia o tym, czym jest dziś bezpieczny dom. Jeszcze kilka lat temu utożsamialiśmy go głównie z drzwiami antywłamaniowymi, alarmem czy monitoringiem na podwórku. Teraz to znacznie bardziej rozbudowana strefa. Seria groźnych rosyjskich incydentów uświadomiła nam, że ryzyko uderzenia rakiety lub „zabłąkanego" drona dotyczy nas tak samo jak zaatakowanej Ukrainy. Swoje robią też płynące zewsząd alerty: „Zostań w domu", „Stosuj się do komunikatów". W dzisiejszych niespokojnych czasach najwyższą cenę płaci się po prostu za spokojny sen. Iluzja wiecznego pokoju pękła już dawno, a wraz z nią przeświadczenie, że budowa własnego schronu to paranoja preppersów, czyli ludzi, którzy latami przygotowują się na wystąpienie wojen, katastrof, epidemii i innych klęsk.

Piwnica to nie schron

Chęci to jedno, a techniczna rzeczywistość to drugie. W tak ważnych kwestiach jak bezpieczeństwo droga na skróty nie jest dobrym rozwiązaniem. I tak jak ciężka kłódka na drzwiach z płyty nie czyni z nich wrót do sejfu, tak chałupnicze przerobienie piwnicy nie uczyni z niej schronu. – Przekonanie, że zwykłą piwnicę można łatwo zaadaptować na schron, to bardzo groźny mit panujący w społeczeństwie. Standardowe stropy nie są w stanie utrzymać ciężaru dziesiątek ton walących się ścian, co w razie ataku grozi całkowitym zagruzowaniem. A ochrona przed nim to podstawowy wymóg, który musi spełniać schron – mówi w rozmowie z „GP" Aleksander Fiedorek, prezes Stowarzyszenia Instytut Budownictwa Ochronnego (SIBO) w Krakowie. – Próba technicznego wzmocnienia piwnicznego sufitu gęsto rozstawionymi drewnianymi lub stalowymi stemplami sprawia jedynie, że puste pomieszczenie przekształca się w las podpór. Wpuszczenie do tak zatarasowanej przestrzeni tłumu zestresowanych ludzi, w tym dzieci, to pułapka i prosty przepis na tragedię – w panice wystarczy przypadkowe potrącenie i zdemontowanie jednej z takich konstrukcji, aby element spadł i kogoś ciężko ranił lub zabił. Dlatego opieranie ochrony ludności na tego typu prowizorkach jest absolutnym nieporozumieniem – dodaje.

Prawo i... grunt

Skoro zatem adaptacja piwnicy odpada, jedynym racjonalnym wyjściem pozostaje budowa profesjonalnego obiektu. I tu inwestorzy stają przed pierwszym, kluczowym dylematem. Bardzo często w kontekście schronów przydomowych pojawia się pytanie: schron pod budynkiem czy osobno? – Jeśli wykonujemy schron przydomowy zagłębiony pod ziemią, nad którym dopiero stanie nowo budowany dom z płytą

FOT. ADOBESTOCK

eprasa.pl 8f89cdd082

WIĘCEJ NIŻ ELITARNE GRONO

Jeżeli schron przydomowy zostanie wykonany prawidłowo, zyskamy poziom ochrony wyższy niż u 98–99 proc. obywateli.

fundamentową, to jest to świetne rozwiązanie. Płyta fundamentowa będzie pełniła funkcję dodatkowej osłony. Jeśli pomiędzy stropem schronu a spodem płyty dodamy jeszcze warstwę przykrycia, na przykład z zagęszczonego piasku, uzyskamy bardzo dobrą ochronę przed bezpośrednimi trafieniami (na przykład z małego drona), dużymi odłamkami, gruzem, falą uderzeniową, pożarem i promieniowaniem przenikliwym. Jeśli jednak dom jest już wybudowany, lepiej postawić schron wolnostojący – wkopany w ogrodzie i przykryty odpowiednią warstwą ziemi. Jeśli obiekt będzie wykonany prawidłowo, zyskamy poziom ochrony wyższy niż u 98–99 proc. obywateli naszego państwa – wyjaśnia ekspert.

Od czego zacząć? Polskie prawo stanowi, że budujemy taki obiekt o powierzchni do 35 m^2 na zgłoszenie do starostwa. Musimy jednak mieć projekt sporządzony przez osobę z odpowiednimi uprawnieniami. Tu nie ma miejsca na prowizorkę. Obiekt musi być dobrze przeliczony i rozrysowany, łącznie ze schematami zbrojeń do jego prawidłowego wykonania. To zagwarantuje, że będzie dobrze spełniał swoją funkcję. Nasz rozmówca zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt. – Bezwzględnie trzeba też wykonać badania gruntu, by sprawdzić poziom wód gruntowych. Jest jednak wiele rozwiązań. Jeśli poziom wód jest wysoki, można zbudować obiekt częściowo zagłębiony lub naziemny – obsypany bądź nieobsypany ziemią. Wiele też zależy od grubości ścian żelbetowych – objaśnia. – W Finlandii, w miejscach z wysokim poziomem wód, popularne są schrony naziemne kategorii S1 z grubymi ścianami. Na tamtejszych osiedlach można zaobserwować takie schrony, które wyglądają jak większy składzik na narzędzia. I faktycznie, w czasie pokoju trzyma się tam rowery czy kosiarki. Wystarczy jednak pół godziny, by pozbyć się zbędnych rzeczy i przekształcić go w pełnoprawny schron – uzupełnia.

Szczelna bryła z żelbetu

Papiery i projekt już mamy, pora na realizację. Aleksander Fiedorek wskazuje, że kluczowy jest sam sposób budowy. – Najlepiej wylewać beton w całości, na raz. Należy też unikać szalunków, które po rozebraniu zostawiają w ścianach dziury na wylot. Bryła schronu musi być przecież całkowicie szczelna, bez żadnych słabych punktów. Do tego potrzebny jest świetnej jakości, dobrze zagęszczony beton i o wiele gęstsze zbrojenie niż w przypadku zwykłej piwnicy. Taki obiekt projektuje się w zasadzie na odwrót niż standardowy budynek, chociażby dlatego, że ściany są znacznie grubsze – objaśnia ekspert. – Niektóre zamontowane w nim rozwiązania mogą wydawać się wręcz toporne i prymitywne, ale dzięki temu są niezawodne. Świetnym przykładem jest wentylacja – na jej wlotach i wylotach trzeba zamontować specjalistyczne zawory, żeby fala ciśnienia (na przykład po wybuchu jądrowym) nie dostała się z zewnątrz do środka. Innych specjalistycznych układów jest więcej, ale w przypadku mniejszych schronów przydomowych rzadko się je stosuje. Podsumowując: schron to po prostu specjalnie zaprojektowana, świetnie wyposażona i szczelna bryła z żelbetu, ponieważ jest to najlepszy i najprostszy materiał do tego typu zadań – dodaje.

Koszt własnej twierdzy

Strategiczna budowla wymaga nakładu środków. Minimalny wydatek na taki schron z podstawowym wyposażeniem to około 250–350 tys. zł. – Najdroższym elementem jest system filtrowentylacyjny, ale na szczęście nie trzeba go kupować od razu – można go zainstalować później, o ile podczas wylewania ścian przygotujemy w betonie odpowiednie otwory i mocowania – mówi Fiedorek. Kolejna dobra wiadomość jest taka, że koszty można jednak sporo zbić. – Jeśli ktoś ma smykałkę do budowlanki i potrafi dopilnować wymogów technologicznych, może wykonać część prac samodzielnie (tzw. systemem gospodarczym), oszczędzając na robociźnie. Wydatki będą też o wiele mniejsze, jeśli i tak budujemy nowy dom z piwnicą. Wtedy dopłacamy w zasadzie tylko za gęstsze zbrojenie stalą i samo wyposażenie ochronne. Skoro ten najdroższy sprzęt da się dokupić na samym końcu, to finansowo cała inwestycja nie wygląda aż tak tragicznie – dodaje.

Czas realizacji inwestycji, o ile powierzy się ją profesjonalnej firmie budowlanej z rezerwacją specjalistycznego sprzętu, będzie zbliżony do czasu budowy zwykłej kondygnacji podziemnej. W praktyce oznacza to od półtora do około trzech miesięcy prac na posesji. – Warto jednak pamiętać, że wraz ze wzrostem liczby takich inwestycji, zarówno domowych, jak i dużych schronów publicznych, mogą pojawić się rynkowe problemy z dostępnością wyposażenia ochronnego – zaznacza Fiedorek.

– Od wybuchu otwartego konfliktu na Ukrainie świadomość społeczna wzrosła w temacie schronów bardzo mocno. Jeszcze 6–7 lat temu, gdybym chciał porozmawiać w jakimkolwiek samorządzie o obiekcie odpornym na falę uderzeniową, skażenie lub bliski wybuch jądrowy, goniono by mnie z widłami jako nieszkodliwego wariata. Dzisiaj są to rozmowy całkowicie normalne. Sektor prywatny wysyła bardzo dużo zapytań, choć przekłada się to na mniejszą liczbę realizacji – podsumowuje ekspert. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

Pod błękitnym niebem Toskanii

Przez siedem dni klubowicze „Gazety Polskiej", ich rodziny, przyjaciele i sympatycy wspólnie odkrywali jeden z najpiękniejszych regionów Włoch.

Najpierw była długa nocna droga przez Czechy i Austrię, a później zupełnie inny krajobraz, wzgórza Toskanii, wąskie uliczki starych miast i pierwsze wspólne rozmowy w Montecatini Terme. Potem przyszły kolejne obrazy: Krzywa Wieża w Pizie, renesansowe mury Lukki, kopuła Brunelleschiego górująca nad Florencją, Piazza del Campo w Sienie i kamienne wieże San Gimignano.

Wyjazd 50 sympatyków Klubów „GP" rozpoczął się na początku września. Autokar zabierał uczestników kolejno z Warszawy, Piotrkowa Trybunalskiego, Częstochowy, Katowic i Gorzyczek. Po nocnym przejeździe przez Czechy i Austrię następnego dnia grupa dotarła do Montecatini Terme, które na kilka kolejnych dni stało się bazą całej wyprawy. Po zakwaterowaniu w hotelu był czas, by odpocząć po podróży, a także po raz pierwszy spokojnie rozejrzeć się po mieście. Montecatini pozwoliło złapać nieco wolniejsze włoskie tempo. Następnego ranka zaczynało się już właściwe odkrywanie Toskanii.

Pierwszym celem była Lukka, miasto otoczone renesansowymi murami. Uczestnicy zobaczyli Katedrę San Martino, Kościół San Michele in Foro oraz charakterystyczny plac powstały w miejscu dawnego rzymskiego amfiteatru. Był również czas, żeby zejść z wyznaczonej trasy, zajrzeć w boczne uliczki czy po prostu usiąść na chwilę przy włoskiej kawie. Jeszcze tego samego dnia grupa dotarła do Pizy. Na słynnym Piazza del Duomo, nazywanym Placem Cudów i wpisanym na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, czekał jeden z najbardziej rozpoznawalnych widoków całego wyjazdu – Krzywa Wieża. Obok niej uczestnicy zobaczyli monumentalną katedrę, baptysterium i zabytkowy cmentarz.

Ale Toskania to przecież nie tylko zabytki. Dlatego tego dnia znalazło się miejsce również na jej smaki. W lokalnej winnicy odbyła się degustacja toskańskich win i serów. Przy stole można było na chwilę zapomnieć o przewodnikach i kolejnych kilometrach. Był czas na rozmowy, żarty i zwyczajne bycie razem. Ten mniej oficjalny wymiar wyjazdu, który z każdym dniem stawał się coraz ważniejszy.

Kolejnego dnia uczestnicy przesiedli się z autokaru do pociągu i ruszyli do Florencji. Stolica Toskanii była jednym z najbardziej wyczekiwanych punktów programu. Trasa prowadziła przez

Wyjazdy z Klubami „GP" to czas spędzony razem w autokarze, przy wspólnych posiłkach, podczas zwiedzania czy wieczornych rozmów po całym dniu wędrówki.

Piazza del Duomo, gdzie można było zobaczyć baptysterium ze słynnymi „rajskimi drzwiami", Katedrę Santa Maria del Fiore z kopułą Brunelleschiego oraz dzwonnicę Giotta. Dalej uczestnicy przeszli przez historyczne centrum na Piazza della Signoria z Palazzo Vecchio, a następnie dotarli do jednego z symboli miasta – Ponte Vecchio. Spacer zakończył się przy Kościele Santa Croce, gdzie znajduje się grób Michała Anioła. Później przyszedł czas na własne odkrywanie Florencji. Fotografie, zakupy, włoska kuchnia i powroty w miejsca, które podczas wspólnego zwiedzania szczególnie przyciągnęły uwagę.

Następnego dnia Toskania pokazała zupełnie inne oblicze. W Sienie grupa dotarła na Piazza del Campo, jeden z najbardziej charakterystycznych placów miasta, a następnie zwiedzała gotycką katedrę z dzwonnicą w charakterystyczne biało-czarne pasy. Ze Sieny uczestnicy ruszyli do San Gimignano. Miasteczko, którego panoramę tworzą wysokie średniowieczne wieże, nie bez powodu nazywane jest „średniowiecznym Manhattanem". Spacer prowadził m.in. na Piazza del Duomo. Był też czas na spokojne poznawanie miasta i podziwianie toskańskiego krajobrazu.

To właśnie takie chwile najlepiej pokazywały charakter całego wyjazdu. Nie chodziło o zaliczanie kolejnych punktów programu. Jednego dnia wspólnie oglądano dzieła renesansu, następnego średniowieczne uliczki, a pomiędzy nimi były dziesiątki rozmów osób, które często znały się wcześniej jedynie z klubowych spotkań, zjazdów czy wspólnych wydarzeń.

Ostatniego dnia przed wyjazdem do Polski uczestnicy pożegnali region z góry. Z Montecatini Terme ruszyli kolejką do zabytkowego Montecatini Alto położonego wysoko nad miastem. Z góry rozciągała się panorama północnej Toskanii. Odpowiednie

FOT. ARCH.

eprasa.pl 8f89cdd082

miejsce na ostatnie wspólne zdjęcia i chwilę odpoczynku przed drogą powrotną. Był jeszcze czas na zakup włoskich specjałów i ostatni spacer. Po południu grupa ruszyła w kierunku Polski. Po siedmiu dniach wspólnej podróży wyjazd dobiegł końca.

Podróż do Toskanii była kolejnym wyjazdem, podczas którego środowisko Klubów „Gazety Polskiej" mogło spotkać się w zupełnie innych okolicznościach niż podczas zjazdów, uroczystości patriotycznych czy debat. Tym razem nie było sali konferencyjnej ani napiętego programu wystąpień. Były za to wspólne kilometry, włoskie miasta, posiłki, wieczory w Montecatini Terme i dużo czasu na rozmowy.

I być może właśnie dlatego po takich wyjazdach zostaje coś więcej niż fotografie Florencji, Pizy czy Sieny. Kluby „Gazety Polskiej" tworzą przede wszystkim ludzie, a wspólna podróż daje im czas, żeby naprawdę się poznać. Toskania była pięknym tłem, ale najważniejsza po raz kolejny okazała się wspólnota.

***

WARSZAWA | Przed siedzibą Trybunału Konstytucyjnego przy Al. Szucha powstało miasteczko namiotowe zainicjowane przez środowisko Klubów „Gazety Polskiej". Inicjatorem akcji był Adam Borowski, przewodniczący warszawskiego Klubu „Gazety Polskiej". Do protestu dołączyli również przedstawiciele Wolnych Polaków, Wolnych Republikanów, NSZZ Rolników Indywidualnych czy Ruchu Obrony Granic.

Powstanie miasteczka było reakcją na sytuację wokół Trybunału Konstytucyjnego oraz publiczne wypowiedzi dotyczące możliwości podjęcia działań przez policję. Kluby „GP" deklarowały, że celem ich obecności jest obrona Trybunału jako organu konstytucyjnego. „Będziemy trwać i bronić organu konstytucyjnego, a ja będę do tej obrony wzywał społeczeństwo" – mówił Adam Borowski.

GAZETA POLSKA

Do Warszawy zaczęli przyjeżdżać członkowie Klubów „Gazety Polskiej" z różnych części kraju. Ich obecność miała charakter rotacyjny – kolejne grupy przyjeżdżały do miasteczka, zastępując tych, którzy byli tam wcześniej. Z uczestnikami miasteczka spotkał się także prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski. Wyszedł przed siedzibę TK, aby osobiście podziękować zgromadzonym za obecność.

Klubowicze „GP" od początku deklarowali gotowość do kontynuowania swojej obecności w zależności od rozwoju sytuacji wokół Trybunału Konstytucyjnego. **GP**

ZAPROSZENIA klubowe

KRAKÓW – Klub „GP" Kraków zbiera podpisy pod projektem ustawy „STOP BANDERYZMOWI" od poniedziałku do piątku w godz. 12–18, Księgarnia ZBROJA, Plac Wszystkich Świętych 9, Kraków.

GDAŃSK – Klub „GP" Gdańsk II zbiera podpisy pod projektem ustawy „STOP BANDERYZMOWI" w każdy czwartek w godz. 17–18 przy Bramie Wyżynnej w Gdańsku.

ŁAZY – spotkanie z dr. Oskarem Kidą. 25 września, godz. 16, sala przy Kościele św. Michała Archanioła, ul. Kościuszki 96, Łazy.

TORONTO-GTA (Kanada) – spotkanie (łączenie online) z Adamem Borowskim oraz Pawłem Piekarczykiem. 27 września, godz. 2 PM, Polskie Centrum Kultury im. Jana Pawła II, Mississauga, Kanada.

CZĘSTOCHOWA – spotkanie z prawnikami stowarzyszenia Veritas et Ius – z sędziami Piotrem Schabem, Kamilą Borszowską-Moszowską, dr. Michałem Skwarzyńskim i dr. Oskarem Kidą. 27 września, godz. 16, aula tygodnika „Niedziela", ul. 3 Maja 12, Częstochowa.

ALEKSANDRÓW ŁÓDZKI – spotkanie z dr. Markiem Wochem, Bezpartyjni Samorządowcy. 29 września, godz. 18, Bistro Ostoja, os. Zielony Romanów, ul. Romanowska 55N, Łódź.

BUSKO-ZDRÓJ – zaproszenie do obejrzenia wystawy IPN pt. „Gospodarka III Rzeszy", dostępnej do 30 września, ul. 1 Maja, przed Pensjonatem Sanato, Busko-Zdrój.

RYPIN – zaproszenie na wystawę „Niedokończone msze wołyńskie", dostępną do 30 września, oraz do obejrzenia największych witraży w Europie w Parafii pw. św. Stanisława Kostki, ul. A. Podlesia 6, Rypin.

LOS ANGELES II – spotkanie z Tomaszem Sakiewiczem, prezesem TV Republika, 6 października, godz. 19 (7 PM), 3424 Adams Boulevard (sala parafialna) Los Angeles, CA 90018.

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP"

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP"

Ewa Wójcik
PREZES KLUBÓW „GP"

Biuro Klubów „GP": ul. Bracka 15, I piętro, 31-005 Kraków,
e-mail: klubygp@gazetapolska.pl, tel. (12) 422 03 08, 505 038 217, 609 447 449

WIĘCEJ INFORMACJI NA WWW.KLUBYGP.PL

eprasa.pl 8f

SOLIDARNOŚĆ i wzajemna pomoc

NARODZINY KOMITETU OBRONY ROBOTNIKÓW

50 lat temu, 23 września 1976 roku, powstał Komitet Obrony Robotników. To praktycznie pierwsza od przejęcia przez komunistów władzy w Polsce jawna niepodległościowa organizacja.

Piotr **Dmitrowicz**

Wracając niedawno z Gniezna, widziałem taki napis – Myśl partii, myślą narodu. A obok przed sklepem kolejka złożona z trzystu osób czekających na kawałek mięsa. Ciekawe, jaka jest myśl tych ludzi? Czy rzeczywiście myśl partii jest myślą narodu?" – zapisał w połowie lat 70. prymas Stefan Wyszyński. Ta lapidarna, wydawałoby się, uwaga prymasa celnie oddawała ówczesną sytuację większości społeczeństwa. Kończyła się „złota epoka Gierka", a z hasła o tym, aby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej, niewiele pozostało. Kryzys narastał, a władza jedyny środek zaradczy widziała w podwyżkach cen zwanych eufemistycznie przez propagandę regulacją cen.

Nowe cenniki w zaplombowanych paczkach

24 czerwca 1976 roku Polacy usłyszeli od premiera PRL Piotra Jaroszewicza m.in. te słowa: „Ceny mięsa proponujemy pod-

eprasa.pl 8f89cdd082

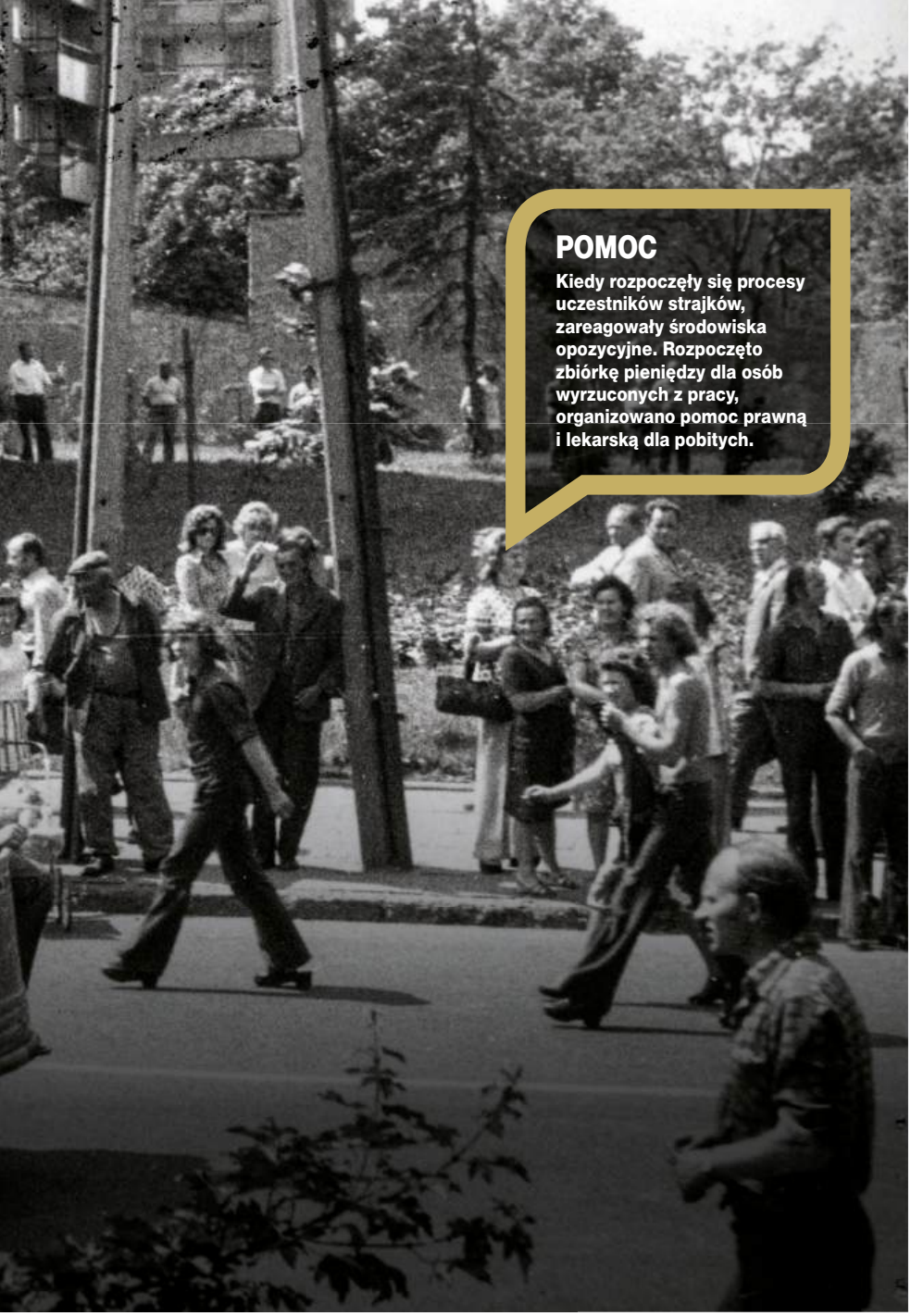

POMOC

Kiedy rozpoczęły się procesy uczestników strajków, zareagowały środowiska opozycyjne. Rozpoczęto zbiórkę pieniędzy dla osób wyrzuconych z pracy, organizowano pomoc prawną i lekarską dla pobitych.

wyższyć w sposób zróżnicowany. (…) Średnio więc ceny mięsa i jego przetworów wzrosną o 69 procent". Żeby sobie zobrazować szok, z jakim zostały przyjęte te zapowiedzi, trzeba pamiętać, że średnia pensja wynosiła wtedy 3200 złotych, kilogram szynki po podwyżce miał kosztować 180 złotych. Dodatkowo władza opracowała system rekompensat, który był kompletnie aberracyjny. Oto najmniej zarabiający, czyli ci poniżej 1300 złotych, mieli otrzymać 240 złotych, natomiast ci zarabiający powyżej 6000 złotych… 600 złotych. Premier Jaroszewicz zapowiedział co prawda konsultacje społeczne, ale jednocześnie poinformował, że podwyżka miałaby obowiązywać od 28 czerwca. Dziś wiemy, że w czasie, kiedy Jaroszewicz ogłaszał podwyżki, do większości sklepów dostarczono już w zaplombowanych paczkach nowe cenniki towarów.

„Czerwony Radom pamiętam siny"

Następnego dnia ruszyła fala masowych protestów. Łącznie objęły one 112 zakładów pracy. W 24 województwach manifestowało ponad 80 tys. osób. Rozpoczęły się strajki i demonstracje uliczne. Najbardziej dramatyczny przebieg miały one w Radomiu, Płocku i Ursusie. Na ulicach Radomia w apogeum protestu było około 20–25 tys. ludzi, w mieście liczącym blisko 170 tys. mieszkańców. Władze przerzuciły do Radomia oddziały ZOMO z innych miast, łącznie ponad 1550 funkcjonariuszy. Rozpoczęły się walki uliczne. Robotnicy stawiali barykady, rzucali kamieniami, brukiem i tym, co mieli pod ręką. To niewiele w odpowiedzi na armatki wodne, gaz i przede wszystkim milicyjne pałki. Milicja biła i zatrzymywała na oślep. Każdy, kto przebywał w tym czasie na ulicy, mógł być pobity i aresztowany. Symbolem protestów stały się tzw. ścieżki zdrowia. Zatrzymanych przepuszczano przez szpaler milicjantów, którzy uderzając gdzie popadnie, często do nieprzytomności bili schwytanych robotników. „Czerwony Radom pamiętam siny. Jak zbite pałką ludzkie plecy" – śpiewał w słynnej „Balladzie o szosie E-7" Jan Krzysztof Kelus. Po stłumieniu protestów rozpoczęły się represje administracyjne i karne. W całym kraju zatrzymano ponad 1000 osób. Przez kolejne dni urządzano dalej ścieżki zdrowia. Do kolegiów karnych skierowano ponad 350 wniosków. Ponad 300 osób aresztowano na co najmniej dwa miesiące. W Radomiu 51 osób postawiono przed sądem i skazano w trybie przyspieszonym. 42 trafiły do więzienia. W trybie zwykłym osiem osób skazano na kary od 8 do 10 lat, 11 osób – od 5 do 6 lat, a pozostałych – od 2 do 4 lat.

Przyszedł czas działania

Kiedy rozpoczęły się procesy uczestników strajków, zareagowały środowiska opozycyjne. Rozpoczęto zbiórkę pieniędzy dla osób wyrzuconych z pracy, organizowano pomoc prawną i lekarską dla pobitych. Jednym z takich środowisk była tzw. Gromada Włóczęgów, działająca przy 1. Warszawskiej Drużynie Harcerskiej im. Romualda Traugutta tzw. Czarna Jedynka, gdzie aktywnie działali Antoni Macierewicz i Piotr Naimski – jedyni żyjący dziś sygnatariusze „Apelu do społeczeństwa i władz PRL", który kilka miesięcy później oficjalnie powoływał Komitet Obrony Robotników.

eprasa.pl 8f89cdd082

Kilka lat temu Antoni Macierewicz wspominał: „(…) przyszedł czas działania. Związany on był z koniecznością zorganizowania wielkiej akcji pomocy tysiącom ludzi, którzy dla naszego dobra zaryzykowali własnym życiem, strajkując, wychodząc na ulice, walcząc z komunistyczną władzą dla niepodległości Polski, ale także dla naszego codziennego życia. (…) Dlatego solidarność z tymi robotnikami była naturalnym wymogiem". Z kolei Piotr Naimski podkreślał: „Latem 1976 roku rozpoczęliśmy akcję pomocy dla ludzi więzionych i ich rodzin i był to z jednej strony zwykły, naturalny odruch solidarności płynący z moralnego zobowiązania, ale równocześnie mieliśmy w naszym środowisku przekonanie, że to, co się wtedy zaczęło dziać w Polsce, da szanse na rozpoczęcie praktycznie drogi do niepodległości. Takiej drogi, która wtedy wydawała nam się bardzo długa. Trzeba było dużo wiary, żeby na nią wstępować".

Powstał pomysł, by powołać komitet

„Jedni zajęli się zbieraniem pieniędzy, inni załatwianiem adwokatów, trzeci drukowaniem podziemnych gazet, czwarci kontaktami z zagranicznymi dziennikarzami. I tak powstała podziemna struktura, która kierowała jawną pomocą. I kiedy SB już tak dalece atakowała naszych kolegów jeżdżących na procesy i z pomocą i konieczna była jakaś zewnętrzna struktura ich chroniąca, powstał pomysł, by powołać komitet, który będzie apelował zarówno do obywateli o pomoc, jak i do ludzi z innych krajów. Taka była geneza powołania KOR" – wspominał Antoni Macierewicz. 22 września 1976 roku na zebraniu w mieszkaniu mecenas Anieli Steinsbergowej zapadła decyzja o powołaniu Komitetu Obrony Robotników. W przygotowanym apelu można było przeczytać m.in.: „Po raz pierwszy od wielu lat aresztowaniom i przesłuchiwaniom towarzyszył terror fizyczny. Ofiary obecnych represji nie mogą liczyć na żadną pomoc i obronę ze strony instytucji do tego powołanych, np. związków zawodowych, których rola jest żałosna. Pomocy odmawiają też agendy opieki społecznej. W tej sytuacji rolę tę musi wziąć na siebie społeczeństwo, w interesie którego wystąpili prześladowani. Społeczeństwo bowiem nie ma innych metod obrony przed bezprawiem jak solidarność i wzajemna pomoc".

Od początku działania KOR-u obowiązywała zasada pełnej jawności. Nazwiska, a później adresy członków i działaczy były ogłaszane publicznie. Pod apelem podpisało się czternastu sygnatariuszy: Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Ludwik Cohn, Jacek Kuroń, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Antoni Pajdak, Józef Rybicki, Aniela Steinsbergowa, Adam Szczypiorski, ks. Jan Zieja i Wojciech Ziembiński. 23 września Jerzy Andrzejewski złożył apel do marszałka Sejmu PRL. Władze go odesłały, a KOR uznały za organizację nielegalną. W następnych dniach i miesiącach do KOR-u przystępowały kolejne osoby. Między innymi: Halina Mikołajska, Mirosław Chojecki, Emil Morgiewicz, Wacław Zawadzki, Bogdan Borusewicz, Józef Śreniowski, Anka Kowalska, Stefan Kaczorowski, Wojciech Onyszkiewicz, Adam Michnik, ks. Zbigniew Kamiński czy prof. Jan Kielanowski. Wkrótce Komitet zyskał setki współpracowników w całym kraju. Niezwykle ważne było wsparcie adwokatów, którzy ofiarnie bronili uczestników czerwcowych protestów i wszystkich represjonowanych. Byli to m.in.: Jan Olszewski, Władysław Siła-Nowicki, Edward Wende, Maciej Bednarkiewicz, Janusz Sznajder, Stanisław Szczuka, Ewa Milewska-Celińska, Jacek Taylor. Nie sposób wszystkich wymienić.

W maju 1977 roku KOR powołał Biuro Interwencyjne, którego celem było zbieranie i informowanie społeczeństwa o wszelkich formach łamania przez komunistów praw obywateli, a także pomoc pokrzywdzonym.

Ludzka solidarność

W maju 1977 roku KOR powołał Biuro Interwencyjne, którego celem było zbieranie i informowanie społeczeństwa o wszelkich formach łamania przez komunistów praw obywateli, a także pomoc pokrzywdzonym. Archiwum Biura Interwencyjnego prowadzili w swoim domu Zofia i Zbigniew Romaszewscy. Byli oni permanentnie inwigilowani i represjonowani, podobnie jak większość członków i działaczy KOR. Zatrzymania na 48 godzin, rewizje, podsłuchy – to wszystko należało do stałego repertuaru władz. Już jesienią 1976 roku SB założyła na KOR sprawę operacyjną „Gracze" i „Maniacy" – dotyczącą konkretnych członków i współpracowników. We wrześniu 1977 roku KOR został przekształcony w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR". Organizacja działała do I Zjazdu NSZZ „Solidarność" w 1981 roku. W oświadczeniu wydanym 23 września 1981 roku napisano m.in.: „Siłą naszego ruchu była ludzka solidarność. (…) Działalność nasza nie byłaby jednak możliwa, gdyby nie ruch demokratyczny, który rósł i rozwijał się wokół nas w setki i tysiące współpracowników i działaczy. (…) Dzięki nim mogliśmy zorganizować bank informacji, przy pomocy którego przełamana została bariera milczenia i kłamstwa wokół wszelkich wykroczeń dokonywanych przez władze państwa będącego sygnatariuszem Paktów Praw Człowieka i Obywatela. Słowem, to dzięki nim mogliśmy spełniać przez lata zadania, w służbie których określiliśmy się jako Komitet Samoobrony Społecznej". **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

GAZETA POLSKA

AKT ZEMSTY

26 września 1946 roku komunistyczny Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej pozbawił polskiego obywatelstwa 76 wyższych oficerów PSZ na Zachodzie. Osobną uchwałą odebrał je również gen. Andersowi.

Tomasz **Panfil**

NIEWDZIĘCZNOŚĆ I MŚCIWOŚĆ

POZBAWIENIE OBYWATELSTWA OFICERÓW PSZ

Kolumna wojsk maszerujących 8 czerwca 1946 roku ulicami Londynu podczas Parady Zwycięstwa liczyła 15 kilometrów. Szli przedstawiciele prawie 30 państw koalicji antyhitlerowskiej: Anglicy, Amerykanie, Francuzi, Grecy, Czesi, Norwegowie, Belgowie, Holendrzy, a także żołnierze z Meksyku, Libanu, Brazylii, Chin, Luksemburga, Etiopii, Iranu, Fidżi czy Seszeli. Nie było natomiast Polaków, żołnierzy armii najdłużej walczącej z III Rzeszą i czwartej pod względem liczebności. Swych najwierniejszych sojuszników nie zaprosili Brytyjczycy. Przyszły premier Harold Macmillan w liście do gen. Andersa pisał, że postawa brytyjskich władz wzbudziła w nim uczucie „smutku, a nawet wstydu", zaś marszałek RAF Philip Joubert de Ferté z goryczą pytał: „Czy wszyscy straciliśmy poczucie przyzwoitości i wdzięczności?".

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 8f89cdd082

Nieobecność polskich żołnierzy na Paradzie Zwycięstwa była jednym z elementów gry toczącej się między legalnymi władzami Rzeczypospolitej, komunistycznym rządem w Warszawie oraz Anglikami i Sowietami. Rząd Wielkiej Brytanii tworzyła wówczas komunizująca Partia Pracy, gorliwie zabiegająca o przychylność Stalina. Wystarczy powiedzieć, że ministrem spraw zagranicznych był Ernest Bevin, który w 1920 roku organizował demonstracje antypolskie pod hasłem „Ręce precz od Rosji!".

Niewdzięczni Polacy

Od czerwca 1945 roku sytuacja Polaków wiernych legalnemu Rządowi Najjaśniejszej Rzeczypospolitej na Uchodźstwie zaczyna się komplikować. Były premier Stanisław Mikołajczyk, który swoją ugodową (by nie rzec: służalczą) polityką wobec Anglików i Sowietów w okresie Powstania Warszawskiego wyrządził katastrofalne szkody w środowisku emigracji polskiej, teraz – wbrew stanowisku niepodległościowych polskich ugrupowań politycznych – popierany tylko przez Polskie Stronnictwo Ludowe i część działaczy Stronnictwa Ludowego, zawarł podwójnie upokarzające dla majestatu Rzeczypospolitej porozumienie z komunistycznymi uzurpatorami z „rządu lubelskiego". Umowę uzgodniono pod patronatem Stalina, podczas konferencji w Moskwie w dniach 17–21 czerwca 1945 roku.

Drugim upokorzeniem był fakt, że w tym samym czasie, gdy Mikołajczyk godził się firmować władzę agenta NKWD Bieruta autorytetem legalnego premiera prawowitego rządu RP, Stalin urządził w Moskwie publiczny proces szesnastu – porwanych z Polski przez generała NKWD Iwana Sierowa – przywódców Polskiego Państwa Podziemnego.

Bezpośrednim efektem „dagaworu" Mikołajczyka z uzurpatorską kliką komunistów krajowych i sowieckich było wycofanie w lipcu 1945 roku uznania dla rządu Rzeczypospolitej przez Anglosasów. W konsekwencji żołnierze polscy stanęli w obliczu nagłych, nieoczekiwanych i poważnych trudności. Między innymi dotyczyły one możliwości przemieszczania się, zwłaszcza między kontynentem a wyspą.

W wyborach z lipca 1945 roku niezależnym posłem Izby Gmin został Alan P. Herbert, żołnierz spod Gallipoli. Doskonale rozumiał – w przeciwieństwie do aroganckich polityków – czym jest braterstwo broni, jaki dług zaciąga zwycięzca wobec wiernego sojusznika. Z bólu, jaki mu sprawiali koledzy posłowie urządzający w parlamencie „koncert złośliwości, nienawiści i idiotycznych krzyków", powstał pełen goryczy wiersz do Polaków:

Wy niewdzięczni Polacy! Narodzie landlordów!
I jakże wam surowej nagany nie skąpić…!
Dobrowolnie nie chcecie Sowietom ustąpić
Swych wileńskich Cambridge'ów
i lwowskich Oksfordów!
Ach, niewdzięczny narodzie faszystowskich panów!
Co w nagrodę za męstwo, za wierność, w podarku
Nie chce nosić na rękach rosyjskich kajdanów,
Nie chce nosić czerwonej obroży na karku!
My tak namiętnie wszelkiej tyranii niechętni,
Tak zazdrośni o wolność we własnym zarządzie,
My tutaj od dziewięciu wieków niepamiętni
Co znaczy stopa wroga na brytyjskim lądzie,
My tutaj nie możemy wyjść z podziwu – jacy
Niewdzięczni wy, niewdzięczni… niewdzięczni Polacy…

Polak zrobił swoje, Polak może odejść

Czczeni bohaterowie czasu wojny stali się uciążliwymi gośćmi, animozje między zadowolonymi ze zwycięstwa „tubylcami" a Polakami pozbawionymi ojczyzny (czego nie umieli wytłumaczyć nieznającym historii i nierozumiejącym komunizmu Brytyjczykom) narastały głównie z powodów ekonomicznych: imperium brytyjskie, ogromnie osłabione wysiłkiem wojennym, pogrążone było w kryzysie, gospodarka nie mogła zaspokoić głodu pracy, na Polaków patrzyło się więc jako na tych, którzy odbierali zatrudnienie tuziemcom. Druga połowa lat 40. to odbudowa ze zniszczeń, to mozolne i kosztowne przestawianie ekonomii z torów produkcji wojennej na pokojową. Przemysł lekki wobec konsumpcji wciąż ograniczanej systemem kartkowym (obowiązywał w Wielkiej Brytanii aż do 1954 roku) nie był w stanie wchłonąć tysięcy młodych ludzi wracających z frontów lub zwalnianych z zakładów zbrojeniowych. Stosunkowo dobrze radzili sobie szeregowi żołnierze – popyt na pracę fizyczną stopniowo rósł, wielu wyemigrowało za ocean, do krajów obu Ameryk lub jeszcze dalej, na antypody. Nieźle na rynku pracy odnajdowali się oficerowie rezerwy – mieli przecież wyuczony inny, „cywilny" zawód, a specjaliści średniego szczebla – zwłaszcza technicy – poszukiwani są niemal zawsze.

Anglicy najchętniej zobaczyliby całe Polskie Siły Zbrojne, ćwierć miliona żołnierzy, wracające do rzekomo wolnej Polski. Komuniści polscy oficjalnie od jesieni 1945 roku głosili, że istnieje tylko jedno wojsko polskie, pod ich, komunistów, dowództwem. Urządzili nawet dość kabaretowe mianowanie Karola Świerczewskiego na naczelnego dowódcę PSZ. W rzeczywistości mimo gróźb, zachęt i obietnic adresowanych do żołnierzy polskich na Zachodzie kierownictwo PPR-u zdawało sobie sprawę, że przybycie kilkudziesięciu tysięcy weteranów antykomunistów mogłoby poważnie zagrozić ich władzy. Dlatego w gruncie rzeczy byli zadowoleni, gdy do Polski powróciła z Zachodu mniej więcej połowa żołnierzy PSZ – głównie byli to Polacy ze Śląska, z Pomorza i Wielkopolski, często wcieleni do Wehrmachtu, a następnie, w końcowej fazie wojny, dołączający do oddziałów polskich we Włoszech czy Francji. Na Zachodzie zdecydowali się pozostać żołnierze dawnej Armii Polskiej na Wschodzie, którzy świetnie poznali sowiecką gościnność i szli przez pół świata, by wywalczyć Polskę naprawdę wolną i suwerenną w jej historycznych granicach. Celem dla komunistów stało się osłabienie

eprasa.pl 8f89cdd082

autorytetu, jakim cieszyli się (głównie w Stanach Zjednoczonych zmieniających powoli nastawienie do ZSRS) polscy wysocy rangą oficerowie, z gen. Tadeuszem Borem-Komorowskim na czele. Wywierali też stałą presję na Anglików, by ci zlikwidowali ostatecznie PSZ.

Jeszcze w marcu polscy dowódcy wszystkich rodzajów sił zbrojnych i wielkich jednostek na spotkaniu z premierem Attleem i ministrem Bevinem usłyszeli zapewnienie, że Wielka Brytania poczuwa się do opieki nad swymi polskimi sojusznikami i że nie porzuci ich na „pożarcie wilkom".

Korpus osłodą goryczy

Parada Zwycięstwa okazała się testem lojalności Brytyjczyków wobec polskich żołnierzy. Władze angielskie liczyły, że w paradzie weźmie udział wspólna – krajowa i emigracyjna – polska kompania reprezentacyjna. Ponieważ sowiecki satrapa nie zgodził się na wysłanie do Londynu reprezentacji Armii Czerwonej, z lęku przed nim warszawski Sztab Generalny Wojska Polskiego również odmówił wysłania żołnierzy. Jeszcze Anglicy tchórzliwie usiłowali namówić polskich lotników, by pomaszerowali razem z kolegami z RAF-u, lecz spotkali się ze wzgardliwą odmową. Deklarację lojalności wobec Polaków złożył były premier Winston Churchill, który w Izbie Gmin powiedział: „Wyrażam głęboki żal, że żaden z oddziałów polskich, które walczyły u naszego boku w tylu bitwach i które przelały swoją krew dla wspólnej sprawy, nie został dopuszczony do udziału w Paradzie Zwycięstwa. Będziemy w tym dniu myśleli o tym wojsku. Nigdy nie zapomnimy o ich odwadze ani o ich bojowych wyczynach, które związane są z naszą własną sławą pod Tobrukiem, Cassino i Arnhem".

Tuż przed paradą (22 maja) Anglicy zdecydowali się rozwiązać PSZ, wymyślając na osłodę Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia (PKPR, ang. Polish Resettlement Corps). Miał on podlegać brytyjskim władzom wojskowym (War Office), lecz pozostawać pod polskim kierownictwem.

Inspektorem generalnym PKPR został gen. Stanisław Kopański. Służba w korpusie mogła trwać 2 lata. Przez ten czas Polacy mieli zapewnione zakwaterowanie w byłych obozach wojskowych, wyżywienie oraz otrzymywali żołd. Najważniejsze, że w PKPR prowadzono kursy angielskiego oraz kursy zawodowe, które miały ułatwić zdemobilizowanym żołnierzom powrót do cywilnego życia. Dla tysięcy Polaków niezwykle istotne było również to, że żony i rodziny żołnierzy PKPR miały otrzymać mieszkanie i dodatek pieniężny. Nic zatem dziwnego, że do PKPR zapisało się 114 tys. żołnierzy PSZ.

Tuż przed Paradą Zwycięstwa Anglicy zdecydowali się rozwiązać PSZ, powołując Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia.

Miał podlegać brytyjskim władzom wojskowym, lecz pozostawać pod polskim kierownictwem. Inspektorem generalnym PKPR został gen. Stanisław Kopański.

Komuna kontratakuje

Wykorzystując fakt, że z chwilą wstąpienia do PKPR Polacy stawali się żołnierzami armii brytyjskiej i podlegali normalnym brytyjskim przepisom dyscyplinarnym, krajowi komuniści postanowili uderzyć w korpus oficerski PKPR. 26 września Rada Ministrów Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej podjęła uchwałę o pozbawieniu obywatelstwa polskiego 75 oficerów, w tym generałów: Stanisława Kopańskiego, Antoniego Chruściela, Stanisława Maczka. Lista z 75 nazwiskami oficerów wpadła w ręce komunistów dość przypadkowo, nie było na niej naprawdę szczerych i zaciętych wrogów komunizmu i ZSRS.

Tego dnia Rada Ministrów TRJN rozpatrzyła jeszcze wniosek wicepremiera Stanisława Mikołajczyka. Nienawidzący od dawna generała Andersa Mikołajczyk stwierdził, że nie można karać tylko oficerów, że przede wszystkim należy ukarać tego, który wydaje rozkazy, który jest winien śmierci generała Sikorskiego – czyli gen. Andersa właśnie. Osobną uchwałą zatem pozbawiono obywatelstwa gen. Andersa za to, że „nie podporządkował się Naczelnemu Dowództwu Wojska Polskiego", że „nie powrócił do kraju", że był organizatorem PKPR i że „popierał walkę ośrodków terrorystyczno-dywersyjnych w Kraju przeciwko interesom Narodu Polskiego i demokratycznej władzy Rzeczypospolitej".

Tadeusz Kisielewski wspominał swoje spotkanie ze Zbigniewem Racięskim, żołnierzem Andersa. Racięski przytoczył powszechne wśród emigracji londyńskiej powiedzenie, że z Mikołajczykiem może rozmawiać tylko trzech ludzi: prokurator, który będzie go oskarżał, sędzia, który będzie go sądził, i kat, który będzie go wieszał.

25 lat później pozbawieni obywatelstwa oficerowie otrzymywali listy: „Szanowny Panie, Konsulat Generalny uprzejmie zawiadamia, że Rada Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 23 listopada 1971 r. anulowała uchwałę Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 26 września 1946 r. o pozbawieniu Pana polskiego obywatelstwa. Łączę wyrazy szacunku, Konsul Generalny". Generałowi Andersowi obywatelstwo przywrócono 15 marca 1989 roku, prawie 19 lat po jego śmierci. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

GORZKIE OWOCE TRUJĄCEGO KRZEWU STEPANA BANDERY

Emil **Tańczak**

Z KRESÓW NA ZIEMIE ODZYSKANE

Żeby oczyścić z żywiołu polskiego tereny wschodnich rubieży Rzeczypospolitej, „ludzkie hieny" z Ukraińskiej Powstańczej Armii siały grozę, której owocem było wymordowanie tysięcy naszych rodaków, a wielu w popłochu uciekło, gdzie się tylko dało, by uniknąć ukraińskiego bestialstwa.

Kolos sowiecki z zimną krwią obserwował tę straszliwą rzeź, zamiast stanąć po stronie człowieczeństwa, zapobiec dalszym ofiarom i potępić morderców; ostatecznie „załatwił sprawę", wypędzając nas, Polaków, z ziemi ojczystej, skazując na przymusową wywózkę na Ziemie Odzyskane. Trudno jednak byłoby spodziewać się innego rozstrzygnięcia ze strony odwiecznego ciemiężcy polskiego narodu.

W ten sposób „nagrodzono" Ukraińców, pozwalając im osiągnąć cel, zapisany już kilkanaście lat wcześniej w „doktrynie narodowej", sformułowanej na pierwszym zjeździe ukraińskich nacjonalistów w Wiedniu w 1929 roku. Doktryna ta w reasumpcji treści uzgodnionych na zjeździe dokumentów stwierdzała: „Nasz cel to zmiecenie z powierzchni ziemi wszystkiego, co dotąd stanowiło Polskę".

Tak więc w wyniku niewyobrażalnego terroru, przyjmującego monstrualne rozmiary i charakter potwornego ludobójstwa, a także z woli Stalina, znaleźliśmy się w Opolu, przesiedleni w bydlęcych wagonach, przewiezieni jak „ludzki towar" pierwszym transportem w kwietniu 1945 roku – w głodzie, chłodzie i ubóstwie.

Opole wita chłodem nocy

Wiele tygodni przeżyliśmy w krańcowo prymitywnych warunkach, zamieszkując w altankach dużego ogrodu działkowego, sąsiadującego z docelową stacją kolejową

eprasa.pl 8f89cdd082

Zaodrze i zniszczony przez Niemców Most Stulecia w Opolu, 1946. Obecnie w tym miejscu stoi Most Piastowski.

FOT. LEONARD OLEJNIK

naszej dwutygodniowej podróży – Opole-Wschód. Pogoda nam nie sprzyjała, marzliśmy okropnie, ponieważ kwiecień przywitał nas w Opolu dużymi chłodami i lodowatym wiatrem, a do tego przez wiele dni padał deszcz ze śniegiem. Dookoła altanek wytworzył się błotnisty teren, że trudno było przejść. Chciałoby się kultowo zawołać: „Chłodno, głodno i do domu daleko".

Altanki, w których początkowo zamieszkaliśmy – typowe dla poniemieckich ogrodów działkowych – nie miały okien ani drzwi. Ich przeznaczenie było sensowne: służyły do odpoczynku po pracy w ogródku, więc chroniły tylko przed słońcem i deszczem.

Dojmujące zimno nie pozwalało mi zasypiać, a jak już usnąłem, to często dygocąc z zimna, budziłem się w środku nocy. Kiedy inni spali, ja wsłuchiwałem się w odgłosy nocy, a jeśli zdarzała się spokojna, bezwietrzna pogoda lub gdy delikatny zefirek tchnął lekko od strony zachodniej, słychać było nawet pomruki kanonady z walk o Festung Breslau (twierdzę wrocławską), w której Niemcy okopali się po zęby.

Można sobie wyobrazić, jak potężna musiała być nawałnica bombowa atakujących Sowietów, że aż do Opola (odległego o ponad 80 kilometrów) docierały odgłosy potwornej kanonady. Po budynkach wrocławskiej metropolii, nawet jeszcze przez kilka lat po wojnie, zalegał ocean gruzu.

Nasz pobyt w tych przejściowych warunkach (bez wody bieżącej, ognia, bez sanitariatów, a nawet bez najprostszej latryny) przedłużył się aż do końca lata z powodu niezaradnej administracji i powszechnego chaosu, a tragiczne wydarzenie w centrum Opola chwilowo zniechęciło nas do wypadów na miasto w poszukiwaniu lepszych warunków, z obawy utraty życia.

Otóż kilkanaście dni po przyjeździe na Ziemie Odzyskane, zmuszona widmem kończących się zapasów pożywienia (a limitowane przez naszą mamę resztki sucharów chleba i wędzonek już nie wypełniały naszych żołądków do syta), dość liczna grupa z naszego transportu (przeważnie młodych) udała się do centrum miasta po ratunek przed głodową śmiercią. Dotychczas cierpieliśmy kilkudniowe „pauzy głodowe" po sporadycznych dniach symbolicznego napchania żołądka.

Ten, kto nigdy nie był tak głodny jak my wtedy, kto nie miał w ustach nawet kruszyny chleba przez wiele dni, pewnie nie zrozumie, o czym ja piszę... Głód był tak potworny, że zjadłoby się wszystko – liście, trawę, żułoby się pasek od spodni, a nawet gryzło deski. Ból brzucha, przy próżnym żołądku i dudniących pustką jelitach, był tak dojmujący, że u wielu z nas, a szczególnie u dzieci, wyzwalały się agresja i odruchy zgłodniałego zwierzęcia.

Przetrząsanie opuszczonych domostw

W wypadach na miasto towarzyszyły nam marzenia, że poza zdobyciem pożywienia znajdziemy też jakiś pusty lokal, nadający się do zamieszkania, z warunkami zbliżonymi do normalnych. Opole w tamtych czasach było prowincjonalnym, niedużym miastem; przed wojną liczyło niewiele ponad 50 tys. mieszkańców, a po wojnie było w jednej trzeciej opuszczone przez uciekinierów.

Nasza grupa wschodniaków, poszukiwaczy chleba i warunków normalnego życia, pewnego majowego dnia znalazła się w okolicy dzisiejszego Placu Daszyńskiego. Plac ten (kiedyś nazwany imieniem Thellmanna) zabudowany był w kwadracie wyróżniającymi się elegancją kamienicami, których architektura i wyposażenie dużych, przestronnych w nich mieszkań świadczyły o zamożności dotychczasowych właścicieli. Ząb wojny nie naruszył akurat tych okazałych domów.

Opole w porównaniu do innych miast doznało niewielu zniszczeń. Ten niewielki gród piastowski (podobnie jak perła miast

Znaleźliśmy się w Opolu, przesiedleni w bydlęcych wagonach, przewiezieni jak „ludzki towar" pierwszym transportem w kwietniu 1945 roku – w głodzie, chłodzie i ubóstwie.

eprasa.pl 8f89cdd082

polskich – wielki Kraków) zgodnie z doktryną wojenną Sowietów objęty był planem błyskawicznego odbicia z rąk Niemców w celu ocalenia przed unicestwieniem znacznej części zabudowań oraz infrastruktury miejskiej. Dowództwo sowieckie wiedziało o planach Stalina – wielkiej akcji przesiedlenia na te poniemieckie tereny ludności polskiej z Kresów Wschodnich, więc starano się zachować na odbijanych terenach jak najwięcej substancji lokalowej, zdatnej do zamieszkania.

Tego celu błyskawicznego odbicia nie udało się uzyskać w walce o Wrocław; tam opór Wehrmachtu był zaciekły w ramach strategii „ostatniej szansy" hitlerowskich Niemiec, wspierany przez niemal wszystkie formacje paramilitarne „wielkiej Rzeszy".

Poprzedni mieszkańcy Opola o proniemieckiej proweniencji lub przerażeni propagandą o nadciągającej ruskiej „dziczy kudłatej" uciekli z Wehrmachtem w głąb Niemiec. Błyskawiczne akcje bojowe w rejonie Opola sprawiły, że w mieszkaniach, które penetrowaliśmy, a które proniemiecka ludność opuściła w popłochu, zastawaliśmy talerze na stołach z pozasychanymi resztkami pożywienia (i kłębiącą się nad nimi chmarą much). Ponadto w kredensach kuchennych – na szczęście dla nas – pozostawione były nieduże wprawdzie, ale zbawienne dla nas zapasy żywności: trochę mąki, kasz, cukru, mleka w proszku, suszonej marchwi (pociętej w paski – pewnie maszynowo), różnych przypraw i innych produktów. Po tygodniach głodu był to dla nas raj na ziemi. Nie gardziliśmy nawet tym, co wyskrobaliśmy z talerzy na stołach.

Duchy niemieckich inteligentów

Kiedy nasze wygłodniałe żołądki chociaż trochę się napełniły, oddaliśmy się wyższym potrzebom ducha – podziwialiśmy wyposażenia penetrowanych mieszkań, nurkowaliśmy do szaf i innych zakamarków, oglądaliśmy zdjęcia niedawnych jeszcze mieszkańców, a dzieci szukały zabawek. Był to dla nas świat bajkowy.

Wyposażenia tych mieszkań świadczyły o wysokim standardzie życia byłych mieszkańców. W późniejszym czasie się dowiedzieliśmy, że była to dzielnica doktorska, zamieszkana przez lekarzy, sędziów, adwokatów, nauczycieli, urzędników – jednym słowem, przez kastę inteligencką, wśród której rzeczywiście niektórzy mieszkańcy legitymowali się tytułem doktora nauk... Wynikało to z tabliczek zamieszczonych na drzwiach kilku mieszkań.

Gehenna dramatycznych przeżyć w morzu krwi – tam na wschodzie – i początkowe nieludzkie warunki związane z naszym przesiedleniem byłyby nam zaoszczędzone, gdyby ówcześni „wielcy tego świata" nie bali się Stalina.

Były też obrazki wandalizmu, kontrastujące z gustowną elegancją wyposażenia mieszkań. Zapamiętałem fatalne widoki w kilku mieszkaniach, a mianowicie – zdewastowane, okazałe kanapy wypoczynkowe, wykończone piękną, brązową skórą, z których wycięte były duże połacie. Moja mama wyjaśniła mi, że to sowiecka swołocz tak czyniła, bo jak wieść gminna niosła, „sałdaci" gromadzili skórzane zdobycze, wyjaśniając, że „przydadzą się na czobuty" (jak wrócą do siebie po wojnie).

W jednym z domów spotkała mnie (dużego już chłopaka) niespodziewana radość, bo znalazłem atrakcyjną i sprawną ruchomą zabawkę mechaniczną (z korbką dla nakręcania), odpowiednią dla starszego już dziecka; wszyscy koledzy zazdrościli mi tego znaleziska.

W centrum tego placu, otoczonego dostojnymi kamienicami, posadowiony był okazały Pomnik Macierzyństwa i Ojcostwa, nietknięty przez działania wojenne i do dziś stanowiący atrakcję miasta. My, wschodniacy, zafascynowani jego wielkością i architektoniczną urodą, otoczyliśmy pomnik wianuszkiem i w całej okazałości podziwialiśmy go, czemu towarzyszyły nasze hałaśliwe komentarze. Żałowaliśmy tylko, że fontanna na pomniku była nieczynna (pewnie z braku prądu). Starsi spośród nas, zmęczeni wielogodzinnym dreptaniem po mieszkaniach, rozsiedli się na ławkach w oddali, pod rozłożystymi drzewami.

Dość ryzykanctwa

I w tej radosnej wrzawie nagle nastąpił huk – padł strzał, nie wiadomo skąd. Prawdopodobnie ze strychu któregoś z poddaszy kamienic okalających plac. Chłopak z naszej grupy, 14-letni Feliks (mój starszy kolega z sąsiedniej altanki), także padł, lecz trupem, z rąk jakiegoś pewnie zahamowanego w rozwoju na poziomie atawistycznym strzelca wyborowego, który prawdopodobnie nie mógł się pogodzić z tym, że na jego teren odważyli się wtargnąć jacyś obcy.

Stało się to dosłownie w odległości jednego metra ode mnie; przeżyłem szok! Obraz obficie krwawiącego Felka, gasnącego powoli, ze spazmatycznie wykrzywioną od bólu twarzą, a szczególnie widok jego przedśmiertnych konwulsji sprawił, że mój żołądek błyskawicznie się opróżnił, i to w obie strony. Podobnie zareagowało kilkoro innych dzieci i młodzieży (w różnym wieku).

Po tym tragicznym zdarzeniu zaprzestaliśmy przez jakiś czas wypadów na miasto. Poza kilkoma młodymi ryzykantami nie było więcej chętnych, którzy chcieliby szukać lepszych warunków bytowania. Musieliśmy na dłużej „polubić" ponie-

eprasa.pl 8f89cdd082

Wypalone kamieniczki na Rynku w Opolu. Odbudowano je dopiero w latach 50.

FOT. LEONARD OLEJNIK

mieckie altanki ogrodowe, do czasu, aż zaczęły się doskonalić pierwociny administracji komunalnej, początkowo będącej pod ścisłym nadzorem oficerów armii „wyzwalającej" nas, a de facto okupacyjnej Armii Czerwonej.

Pod koniec lata przetransportowano nas wojskowymi ciężarówkami do miejsca ostatecznego zakwaterowania w podopolskiej wiosce. Przy przydziale domostw wyszła na jaw – jak szydło z worka – potworna korupcja, w której przodowali sowieccy wojskowi. Kto z naszych wschodniaków umiał się rozpychać, a wcześniej nachapał się wszelakiego mienia poniemieckiego, a więc dysponował „mamoną", ten zdobywał lepsze mieszkanie, a nawet dom, czasem wyposażony i gotowy do zamieszkania od zaraz.

„Argumentami" w kontaktach z komisją osiedleńczą były zdobyte (w plądrowanych mieszkaniach i domach poniemieckich oraz w opuszczonych sklepach) najróżniejsze artefakty i precjoza, jak: złota biżuteria, zegarki (przeważnie kieszonkowe w kopercie i z łańcuszkiem zwisającym), naczynia kuchenne, sztućce obiadowe oraz rowery, a także hurtowe ilości najróżniejszych produktów żywnościowych.

Los przesiedleńców

Mojej rodzinie przypadło nędzne mieszkanie w dwurodzinnym domu parterowym w Grotowicach pod Opolem (przerobione z dawnej obory – zimne, bo ze ścianami z kamienia, a nie z cegły), wyszabrowanym do gołych ścian; czyniła to swołocz sowiecka, swoje zrobili też nasi wschodniacy z pierwszych transportów. Na tym procederze niektórzy się wzbogacili, zdobywając niebagatelną fortunę, więc stali się „ważni" w swoim środowisku i w relacjach z powojenną administracją.

Ja z oczywistych względów, pomimo że byłem już słusznym chłopakiem (najstarszym wśród trzech braci), nie mogłem przecież jako dziecko pomóc mamie w „rozpychaniu" się za lepszymi warunkami życia. Mama, samotna, zatroskana o codzienny byt rodziny, bez grosza przy duszy, nie była godną uwagi partnerką do negocjacji z urzędnikami wojskowo-cywilnej administracji, w której prym wiedli sowieccy „towarzysze" (czerwonoarmiejcy).

Mojego taty z nami nie było; aresztowany przez NKWD przed naszym wyjazdem „na zachód", pozostał w sowieckim zniewoleniu. Sąsiad zadenuncjował mojego ojca, gdy ten wypowiedział się niepochlebnie o Stalinie (a fałszywy sąsiad doniósł o tym bezpiece – pewnie za jakąś nędzną „miskę soczewicy").

Tajne służby po obu stronach „granicy" polsko-sowieckiej nawet w powojennym chaosie funkcjonowały skutecznie, bowiem przez ponad trzy lata (do listopada 1949 roku) nie przyjęto mojej mamy nigdzie do pracy (mimo że mogła się pochwalić zdobytym przed wojną i potrzebnym zawodem akuszerki). Była „żoną przestępcy, skazanego prawomocnym wyrokiem sądu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich" – i to wystarczyło.

Powojenna historia naszego rodu i mojego w nim egzystowania rozpoczęła się od materialnego zera. Fascynujące odsłony dalszego losu przesiedleńców przedstawię Czytelnikom w następnych odcinkach.

Przy każdej okazji podkreślam, że gehenna dramatycznych przeżyć w morzu krwi – tam na wschodzie – i początkowe nieludzkie warunki związane z naszym przesiedleniem byłyby nam zaoszczędzone, gdyby ówcześni „wielcy tego świata" nie bali się Stalina i gdyby zadecydowali inaczej o państwowości Polaków. Nie znalazł się wtedy nikt na zachodzie, kto przeciwstawiłby się woli „generalissimusa". Aż się prosi, by zacytować w tym miejscu adekwatną do tematu maksymę naszego wielkiego C.K. Norwida: „Kiedy wieje wiatr historii, ludziom jak pięknym ptakom rosną skrzydła, lecz trzęsą się portki pętakom".

Ponadto wpływ na losy Kresowiaków ukraińskiego ludobójstwa, okrutnie egzekwowanego na niewinnej cywilnej ludności polskiej, był niewątpliwy, tragicznie gorzki (!) i nadal oczekujący na zadośćuczynienie. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

Grzegorz
Wszołek

„FAUDA” – TRAUMA, ZEMSTA I OSTRZEŻENIE

KOMANDOS

Lior Raz, czyli Doron z „Faudy”, to w rzeczywistości były żołnierz izraelskiej jednostki Duvdevan – komandos, który przed karierą filmową brał udział w operacjach antyterrorystycznych.

BEZ HAMASU ŚWIAT BYŁBY BEZPIECZNIEJSZY

Czy „Fauda” jest jednostronna? Tak. Czy mimo proizraelskiego, wstrząsającego przekazu prawdziwa? Jak najbardziej. Jeszcze nikt tak dobitnie nie oddał cierpienia niewinnych ludzi w ataku na Izrael 7 października 2023 roku, gdy Hamas wymordował ponad 1200 osób, a kilkaset porwał jako żywe tarcze. Serial o działaniach oficerów Szin Betu ogląda się jednym tchem – to z jednej strony wyraz izraelskiego soft power, z drugiej pokaz siły żydowskiego kontrwywiadu.

Niepojęta trauma – w tym słowie można streścić fabułę piątego sezonu „Faudy”. Islamscy wojownicy wparowali przez ogrodzenia – w teorii pilnie strzeżone – na granicy ze Strefą Gazy, wykorzystując ataki rakietowe, buldożery, drony. Terroryści wyłączyli też systemy monitorujące zabezpieczenia, przez co izraelskie wojsko i służby działały po omacku. Sceny te pokazuje hit Netflixa w połowie piątej części: w odcinkach siódmym i ósmym. Zdecydowanie najlepszych.

„Powódź Al-Aksa” w „Faudzie”

One właśnie zrobiły na mnie największe wrażenie. Zostały nakręcone tak realistycznie, że przypominały relacje i materiały wideo od świadków z brutalnego ataku na uczestników festiwalu muzycznego w Re’im. Bojownicy Hamasu strzelali do młodzieży jak do kaczek. W „Faudzie” pędzący na pomoc swoim przyjaciołom agenci kontrwywiadu ratowali w popłochu tych, którzy uciekali od kul i wybuchów. Serial aż poraża brutalnością, szczególnie masowo mordowanych cywilów w kibucach, ale taki był cel izraelskich twórców. Zdecydowanie najbardziej przejmujące i najbardziej trzymające w napięciu są sceny tak naprawdę dokumentujące „powódź Al-Aksa”, jak muzułmańscy fundamentaliści nazwali atak na Izrael.

Jest drugie słowo, które przychodzi na myśl podczas oglądania serialu. To zemsta. Bohater opowieści, agent Eli, stracił rodzinę w ataku terrorystycznym z 7 października. Zaprzysiągł dopaść sprawców, za którymi wyruszył do Francji, a potem do Syrii. To również ciekawy aspekt „Faudy”, bo wprost sugeruje, że islamscy terroryści otrzymują schronienie pod byle pretekstem w krajach zachodniej Europy. Wystarczy, że zakładają organizacje humanitarne dla uchodźców i pod przykrywką działaczy humanitarnych planują zamachy na „niewiernych”. „Fauda” to też ważne ostrzeżenie – przed islamskim terroryzmem, któremu tamę stawia Izrael. Nieprzypadkowo pokazano, że dla Hamasu 7 października nie liczyły się wyznanie ani pochodzenie – jego

eprasa.pl 8f89cdd082

bojownicy zabijali również Arabów mimo solennych obietnic składanych w trakcie operacji, że tego nie zrobią, jeśli tylko ci wydadzą Żydów.

Lior Raz – aktor, a także były komandos

Zapewne dla zwolenników Palestyny serial będzie nie do zaakceptowania. Nie przedstawia, jak we wcześniejszych seriach, splotu wydarzeń z udziałem zarówno Izraelczyków, jak i Palestyńczyków. Bo atak z 7 października wszystko zmienił, również w odbiorze jednego ze scenarzystów i głównego aktora Liora Raza. Agent Szin Betu, czyli Doron z „Faudy", to w rzeczywistości były żołnierz izraelskiej jednostki Duvdevan – komandos, który przed karierą filmową brał udział w operacjach antyterrorystycznych. Drugim twórcą piątego sezonu jest Avi Issacharoff, dziennikarski ekspert od Palestyny i Bliskiego Wschodu. Trudno zatem było liczyć na jakiekolwiek współczucie względem ofiar wojny po drugiej stronie granicy. Gdy pochwaliłem „Faudę" w mediach społecznościowych, zwracając uwagę na poruszające ukazanie okrucieństwa Hamasu, niektórzy internauci zwrócili uwagę, że to jedynie „majstersztyk propagandowy" – nie pokazuje racji Palestyńczyków i ich niewinnych ofiar w nalotach Izraela. Niestety, takie są realia wojny, które przenoszą się na wielkie ekrany. Jeśli Ukraińcy zdecydują się kiedyś nakręcić z rozmachem serial o rosyjskiej inwazji, nie będą roztkliwiać się nad losem Rosjan odpoczywających na Krymie lub wysadzonych rosyjskich oficerów na okupowanych przez wroga terenach. Nikt nie może jednak zakwestionować skali okrucieństwa ze strony palestyńskich fundamentalistów blisko trzy lata temu, rozpoczynających nowy etap wojny w historii Bliskiego Wschodu. W tym tkwi również siła izraelskiego hitu, który przedstawia opowieść wyglądającą jak dokument filmowany na żywo.

Izraelski soft power na ekranie

Zabrakło w moim odczuciu odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że Hamas wybudował podziemne tunele pod nosem najlepszych służb w tamtym regionie świata, zaplanował krwawą jatkę i kompletnie zdezorganizował machinę izraelskiego państwa. Niemniej dwa odcinki dotyczące najazdu islamskich bojowników to nie tylko wyraz szacunku dla żydowskich oficerów poświęcających życie, by powstrzymać atak, lecz także ukazanie uśpionej czujności zaskoczonego Tel Awiwu. „Fauda" to niejako przekaz izraelskich służb specjalnych. Brzmi on: nie złamiecie nas, zniszczymy każdego islamskiego terrorystę, który zagraża naszej egzystencji. I jeszcze jedno przesłanie serialu: bez Hamasu świat byłby bezpieczniejszy. Po premierze hitu Netflixa można zadać pytanie niewygodne dla polskiej kultury – czy szczytem możliwości dla naszych twórców w aspekcie szpiegowskim są „Służby specjalne" Patryka Vegi i „Wojna zastępcza", niedawno emitowana w TVP? Jeśli tak, to pozostaje nam tylko obejrzeć „Faudę" – niezależnie od przekonań geopolitycznych. **GP**

„Fauda" to niejako przekaz izraelskich służb specjalnych. Brzmi on: nie złamiecie nas, zniszczymy każdego islamskiego terrorystę, który zagraża naszej egzystencji.

FOT. MAT. PRAS.

KONDOLENCJE

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci naszej Drogiej Koleżanki, Klubowiczki „Gazety Polskiej" w Toruniu

ŚP.

IZABELI MAJEWSKIEJ

W tych trudnych i bolesnych chwilach składamy Rodzinie wyrazy najgłębszego współczucia oraz słowa otuchy.

Niech pamięć o Niej pozostanie żywa w naszych sercach.

Tomasz Sakiewicz, redaktor Naczelny „Gazety Polskiej",
Ewa Wójcik, prezes Klubów „Gazety Polskiej",
Maciej Klamrowski, Przewodniczący Klubu „Gazety Polskiej" w Toruniu
Koledzy z Klub „Gazety Polskiej" w Toruniu
oraz
Członkowie Klubów „Gazety Polskiej"

eprasa.pl 8f89cdd082

ZACISZE MELOMANA

★★★★★½

BONOBO ZNÓW NA PARKIECIE

Bonobo, DISTANCE IN STATIC
Ninja Tune

Jeśli ktoś chciałby wejść w nowy rok akademicki śmiałym, tanecznym krokiem, płyta Bonobo wydaje się wyborem idealnym. Na dodatek takim, który łączy pokolenia. Brytyjski producent Simon Green, występujący pod pseudonimem Bonobo, debiutował bowiem w 2000 roku krążkiem „Animal Magic", wywołując niemałe zamieszanie na scenie elektronicznej. Najnowszy album, choć może już nie tak odkrywczy, wciąż potrafi rozpalić klubowe parkiety. Ogromna siła tych nagrań tkwi również w melancholijnych fragmentach, inspiracjach muzyką etniczną i współpracy z takimi artystami, jak Kanako Yamamoto, Aanya Martin czy Arooj Aftab. W przyszłym roku Bonobo wystąpi w Polsce aż na trzech koncertach: w Warszawie, Gdańsku i we Wrocławiu.

★★★★★½

MUZYKA BEZ MAPY

Marek Pospieszalski Octet, EVER
Instant Classic

Marek Pospieszalski najwyraźniej nie lubi zadań łatwych. Po dwóch wspaniałych albumach z dziełami kompozytorów XX wieku znów otrzymujemy jego własne utwory. Tym razem nie tylko zagrane na żywo, lecz także wcześniej znane muzykom oktetu jedynie w zarysie. Plany siłą rzeczy muszą zderzyć się z improwizacją. W poruszającym utworze „It's Not Even The Right Word" pojawia się jedyne na tej płycie i dość zagadkowe zdanie. Jak się okazuje, słowa nie zawsze wystarczą, by nazwać to, co czujemy. A to, co czujemy, musimy odnaleźć w muzyce. To będzie długa, ale ciekawa i satysfakcjonująca podróż. Warto się w nią udać zwłaszcza teraz, w długie jesienne wieczory.

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { GEOPOLITYKA }

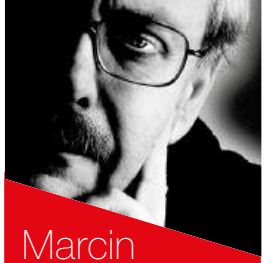

Marcin **Wolski** poleca

★★★★★½

Rozmówki polsko-polskie

„Antysystem"
Wojciech Cejrowski, Paweł Lisicki
Fabryka Słów 2026

Pierwszym wrażeniem wyniesionym z lektury „Antysystemu" Cejrowskiego & Lisickiego jest zaskoczenie, w jak dużym stopniu konferansjerka wykwintnego intelektualisty współgra z mocnymi, emocjonalnymi wypowiedziami znanego obieżyświata. Panowie zgadzają się w bardzo wielu kwestiach – w niechętnym stosunku do Ukrainy, w potępianiu lewicowych dewiacji narzucanych przez obecny mainstream i w krytykowaniu Unii Europejskiej. Blisko im do poglądów Konfederacji, które często sprowadzają się do hasła „PiS-PO jedno zło". Zastanawia tu wyjątkowo negatywny stosunek do Mateusza Morawieckiego, który szczególne cięgi zbiera za politykę szczepionkową. Od polskiej skrajnej prawicy autorów różni przede wszystkim stosunek do USA. Stany wedle Cejrowskiego są czymś najlepszym, co przydarzyło się ludzkości, a prezydent Trump jest wręcz pomazańcem Opatrzności, zesłanym przeciw całemu złu tego świata. Gdyby Donald Duży potrzebował adwokata, Cejrowski w tej roli byłby najskuteczniejszy. Nie widzi żadnych błędów w postępowaniu Trumpa – akceptuje porwanie prezydenta Wenezueli Maduro, usprawiedliwia zakusy wobec Grenlandii, nie dostrzega też (rozmowy miały miejsce jakiś czas temu) konsekwencji ataku na Iran, choć przyznaje, że w tych kwestiach prezydent USA wydaje się niejako podwykonawcą planów Izraela. Niezwykle interesujące są dialogi poświęcone sytuacji Kościoła, przy czym miażdżąca krytyka Franciszka (oskarżanego wręcz o herezję) przenosi się na Leona XIV, który nie spełnia pokładanych w nim oczekiwań. Jedynym mankamentem tej ciekawej pracy jest czynnik czasu, który sprawia, że wiele ocen szybko się dezaktualizuje. **GP**

Zamów w naszym sklepie pod adresem sklep.gazetapolska.pl | infolinia: 22 232 37 70

MIX Kulturalny

badaj

PŁUCA

Wojciech Smarzowski w swoim najnowszym, krótkometrażowym projekcie społecznym uczynił głównym bohaterem pozornie niewinny kaszel. Produkcja „Nie pozwól, by kaszel Ci przerywał… życie" zachęca, by badać płuca.

wyczekuj

TEJ PREMIERY

Poezja Baczyńskiego ponad wojenną pożogą. 17 października w ASP w Warszawie spektakl Teatru Klasyki Polskiej pt. „Romantyczność. Zgliszcza" w reż. K. Szlenkiera. Jego dziadek uczył się z Baczyńskim w jednej klasie liceum.

GAZETA POLSKA

★★★★★★

Wciąż możliwa jest przyjaźń

„Projekt Hail Mary”
Science fiction, reż. Phil Lord, Christopher Miller
USA 2026

Krzysztof **Wołodźko**

Producenci kinowi uwielbiają powieści SF Andy'ego Weira. „Projekt Hail Mary”, wielki tegoroczny filmowy hit Amazona, można obejrzeć także na platformie streamingowej amerykańskiego giganta rozrywki. Fantastyczna opowieść przynosi – rzadko już spotykaną w tym gatunku – dozę pogody i nadziei.

Andy Weir jest dobrze znany nie tylko zaprzysięgłym fanom science fiction. Ponad dekadę temu Ridley Scott wyreżyserował jego „Marsjanina”. Główną rolę zagrał wówczas Matt Damon. W tym roku duet Phil Lord i Christopher Miller zaprezentował globalnej publiczności „Projekt Hail Mary” z Ryanem Goslingiem w roli amerykańskiego naukowca, który po serii niepowodzeń chowa się przed wielkim światem w skorupie zwykłego belfra. Dopiero groźba słonecznej apokalipsy sprawia, że outsider rusza w odyseję kosmiczną, a właściwie misję ratunkową dla Ziemi. Gdy w końcu trafia na obcego, musi podjąć decyzję – to przyjaciel czy wróg?

Gdybym miał zdecydować: książka czy film, postawiłbym na książkę. Weir jest tak dobrym pisarzem, że niełatwo przenieść na ekran jego opowieści, zachowując klimat pierwowzoru. Nie jestem jednak zdziwiony, że „Projekt Hail Mary” okazał się kinowym sukcesem i że dobrze radzi sobie także na ekranach telewizorów. Współczesne SF to kino na granicy dystopii i postapo, pełne kosmicznych wojen i drapieżników – smutna wariacja na temat nastrojów ludzkości u progu kolejnego stulecia. Książka Weira i film na jej podstawie przełamują ten schemat: może nieco naiwna (także w kontekście pojednania militarnych i technologicznych potęg), ale pełna humoru i pogody ducha historia mówi o współpracy, poświęceniu i zaufaniu. **GP**

Kosmita Rocky ma potencjał na pozytywnego bohatera wielu dzieciaków zakochanych w SF.

FOT. MATPRAS, YOUTUBE

chwyć

PODRĘCZNIK

W filmie „Podręcznik dla superbohaterów” w reż. A. Bhagavana i P. Forsberga 10-letnia Lisa odkrywa, że do walki ze szkolnymi łobuzami potrzebne jest współodczuwanie. Heros to po prostu przyzwoity człowiek.

kibicuj

WYPRAWIE

„Everest – druga strona” to dokument National Geographic Documentary Films przedstawiający poruszającą historię wybitnych himalaistów i narciarzy – Jima Morrisona oraz Hilaree Nelson. W kinach od 30 października.

wyciągaj

WNIOSKI

„Nie będzie Niemiec… Polska–Niemcy. Tysiąc lat wojny i pokoju” (W. Harpula i prof. A. Chwalba) to opowieść o tysiącletnich relacjach polsko-niemieckich. Książka dostępna jest na sklep.gazetapolska.pl.

eprasa.pl 8f89cdd082

CZEKAJĄC DO WYPADKU

Zwierzę, które obrosło mitami

CIEKAWOSTKI O WILKACH

Dyskutujemy na ich temat od lat. Dla jednych to bestie. Dla innych są niegroźne i szlachetne. Są też ważne dla naszej kultury.

WILNO

Wilk jest symbolem Wilna. Według legendy założenie stolicy Litwy wiązało się ze snem wielkiego księcia Giedymina, któremu przyśnił się żelazny wilk. Historia nawiązuje do legendy o założeniu Rzymu.

NORDYCKI DUALIZM

Wilki występują w nordyckiej mitologii. Co ciekawe, zarówno w rolach negatywnych, jak i pozytywnych. Mogły reprezentować chaos i zniszczenie, ale też odwagę i lojalność. Fenrir to potężny wilk, syn Lokiego.

eprasa.pl 8f89cdd082

Dyskusja o statusie wilka jest symptomatyczna dla podejścia opinii publicznej do zwierząt. Wniosek jest taki, że w tej materii Polacy są niezdolni do racjonalnego argumentowania, a chętniej poruszają się w przestrzeni rzucanych haseł i półprawd. Wilki obrosły mitami, których nie jest w stanie zmienić nawet zderzenie z faktami i rzeczywistością.

Jacek **Liziniewicz**

Do stycznia przyszłego roku kraje Unii Europejskiej mają przedstawić swoje strategie zarządzania populacją wilka. To wynik decyzji z ubiegłego roku, którą podjęły państwa Wspólnoty, a która obniżyła status ochrony tego drapieżnika.

Wynika to z prostego faktu – wilków w Europie jest dużo i już dawno przestały być gatunkiem zagrożonym. Dlatego też racjonalnie działające państwa szykują się do racjonalnego ograniczenia populacji. Tylko dwa państwa w UE będą chronić wilki w sposób ścisły. Jednym jest Luksemburg, gdzie wilki nie występują, a drugim jest Polska.

Ucieczka przez atak

Można by zapytać, dlaczego tak się dzieje, skoro wydaje się, że zwierzę to występuje w naszym kraju powszechnie. Już samo rozpoczęcie dyskusji na ten temat sprawia, że wybucha histeryczna dyskusja.

Nie inaczej było w ubiegłym tygodniu, gdy Urszula Pasławska (PSL), przewodnicząca sejmowej Komisji Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa, postanowiła w Sejmie zorganizować debatę na temat wilków. Konferencja „Wilk – między prawem, nauką a praktyką” została natychmiast oprotestowana przez aktywistów i naukowców ich wspierających.

„Program tej konferencji przewiduje tylko trzy wystąpienia, w tym prezentację Jarosława Kuczaja, stałego przedstawiciela Polskiego Związku Łowieckiego w European Federation for Hunting and Conservation (FACE), federacji zrzeszającej stowarzyszenia i związki łowieckie krajów europejskich, będącej głównym lobbystą w UE za obniżeniem statusu ochronnego dużych drapieżników w prawie unijnym, oraz wystąpienie prof. dr. hab. Henryka Okarmy, członka PZŁ, przewodniczącego Komisji Naukowej Naczelnej Rady Łowieckiej. Ponadto swoje doświadczenia ma przedstawić zaproszony hodowca. Potem ma się odbyć ogólna dyskusja. W wydarzeniu nie przewidziano wystąpienia naukowców o odmiennych niż myśliwi poglądach na sposób zarządzania populacją wilka w Polsce” – napisali w liście protestacyjnym zwolennicy status quo w sprawie wilków.

Aby zweryfikować takie obawy, potrzebny jest system monitoringu wilków, w którym partycypowałyby wszystkie zainteresowane strony. To dawałoby możliwość realnego zarządzania populacją.

Uderzyli oni również personalnie w Urszulę Pasławską, wytykając jej, że chwali się tym, iż jest myśliwym, i przez to nie jest obiektywna. Sama posłanka PSL broniła się, że zapraszała wszystkie strony i proponowała wystąpienie Urszuli Zie-

FOT. ADOBESTOCK, PIXABAY, WIKIPEDIA

POLUB NAS /GazetaPolskaPL

JAKO IMIĘ

Wilk to często nadawane imię w dawnych dziejach. Była to tradycja ludów germańskich. Do tej pory znamy imiona takie jak: Wolfgang, Adolf i Rudolf. Wilk w Polsce jest dość popularnym nazwiskiem.

W CHRZEŚCIJAŃSTWIE

Biblia zawiera 13 odniesień do wilków. Zwykle występują jako metafory chciwości i destrukcji. W Nowym Testamencie Jezus używa figury wilka jako ilustracji niebezpieczeństw i fałszywych proroków.

ZWIERZĘ ŚW. FRANCISZKA

Legenda o wilku z Gubbio to jedna z najsłynniejszych, która dotyczy życia św. Franciszka. Według „Kwiatków św. Franciszka” zakonnik uratował mieszkańców miasteczka przed groźnym drapieżnikiem i go oswoił.

eprasa.pl 8f89cdd082

lińskiej, wiceminister klimatu, która jest głównym konserwatorem przyrody. Ta najpierw się zgodziła, a później zasłoniła się pilnym spotkaniem.

W każdym razie strona aktywistów zastosowała również typowy dla siebie manewr. Doczepili się do wpadki organizatorów, aby zdyskredytować wszystko, co zostało powiedziane na konferencji. „Polująca pani poseł Pasławska, przewodnicząca Komisji Ochrony Środowiska, zorganizowała w Sejmie »konferencję« o wilku, zapraszając na nią głównie myśliwych od lat krytykujących ochronę wilków w Polsce. Znakomitą ilustracją poziomu wiedzy tego myśliwskiego towarzystwa na temat wilków jest fakt, że na tło graficzne konferencji wstawili nie wilka, lecz... kojota! Należy docenić, że jednak nie pomylili z dzikiem..." – napisał na X prof. Michał Żmihorski, wykonawca politycznych poleceń w Instytucie Ochrony Środowiska (PIB).

Tym gorzej dla faktów

Trudno się dziwić taktyce aktywistów. Konfrontacja z treściami, które zostały zaprezentowane na konferencji, mogłaby być przykrym doświadczeniem dla aktywistów.

W zasadzie konferencja dokonała dekonstrukcji mitów, jakie mamy wdrukowywane o wilkach. Jednym z podstawowych jest skrajny lęk przed człowiekiem. Okazuje się, że w całej Europie obserwowane jest zjawisko skracania dystansu przez wilki do człowieka. Są na to setki przykładów. Jeden został zaprezentowany przez Monikę Szymańską, która hoduje krowy w powiecie mrągowskim. – To, co dzieje się w ostatnich czterech miesiącach, to jest bezwzględna wojna o nasz dobytek i nasze bezpieczeństwo. Ataki odbywają się codziennie i praktycznie codziennie gdzieś ginie zwierzę, w którego hodowlę włożyliśmy lata ciężkiej pracy, zdrowie i serce – mówiła Monika Szymańska.

Okazało się, że nic już nie odstrasza wilków z ich pól. Nie działają fladry ani pastuchy elektryczne. Nie działa nawet odstraszanie hukowe. – Wilk się przyzwyczaił. Podchodzą pod same domy i pomieszczenia gospodarcze – mówiła rolniczka.

Na konferencji zaprezentowała filmik, na którym nagrała wilki chodzące wokół jej stada. Zwierzęta nie uciekały mimo hałasu robionego przez ludzi. Z relacji wynika, że wilki już nie tylko nie uciekają w popłochu, ale nawet warczą na ludzi. Zaprezentowano też serię zdjęć z zagryzionymi zwierzętami.

Stoi to w sprzeczności z promowanym przez aktywistów i naukowców poglądem, że wilki zawsze boją się człowieka. Jeżeli tak nie jest, to tylko dlatego, że zwierzę może być chore albo być młodym (niedoświadczonym) osobnikiem. To jednak nieprawda.

Podobnie jest z mitem dotyczącym ochrony wilków. Gdy spojrzy się na populację światową, można zauważyć, że jest to gatunek najmniejszej troski, który dodatkowo dobrze przystosowuje się do środowiska. Nadal jednak różne organizacje zbierają pieniądze na ochronę drapieżnika.

WILK KAPITOLIŃSKI

Rzeźba z brązu pokazująca scenę z legendy o założeniu Rzymu. Przedstawia ona wilczycę karmiącą mitycznych bliźniaków, założycieli Rzymu, Romulusa i Remusa. Znajduje się w Palazzo dei Conservatori w Rzymie.

SYMBOL CZECZENII

Wilk jest herbowym zwierzęciem wojowników walczących o wolną Czeczenię. Jego wizerunek jest używany przez rząd na uchodźstwie. Putinowskie władze tej republiki starają się go wymazać z historiografii.

RDZENNI AMERYKANIE

Plemiona rdzennych Amerykanów opowiadają historie o wilkach jako wzorach do naśladowania, stworzeniach, które nauczyły ludzi polować. Wiele indiańskich historii dotyczy wsparcia, jakiego wilki udzielają ludziom.

eprasa.pl 8f89cdd082

LICZY SIĘ KASA

Gdy spojrzy się na populację światową wilka, można zauważyć, że jest to gatunek najmniejszej troski, który dobrze przystosowuje się do środowiska. Nadal jednak różne organizacje zbierają pieniądze na ochronę drapieżnika.

Brak systemu i wiarygodnych danych

W interesie najbardziej wpływowych grup społecznych zajmujących się ochroną przyrody jest, aby stan obecny trwał wiecznie. Dziś bowiem wilk jest ściśle chroniony, a ludzie faktycznie są wobec niego bezbronni. Na każde działanie muszą mieć zgodę GDOŚ lub RDOŚ. Papierologia zawsze trwa i doprowadza do tego, że faktycznie odstrzał jest wykonywany na poziomie 25 proc. zezwoleń.

Problemem jest też znalezienie chętnego myśliwego, który mógłby dokonać redukcji. Nikt nie chce się w to pchać, bo oznacza to biurokratyczne, nawet karne kłopoty.

Tak więc faktycznie mamy wilki chronione ściśle tak jak zwierzęta, które są okazami rzadkimi. A strona aktywistyczno-naukowa rozgrywa piłkę w tej grze. Pilnuje, żeby wszystko zostało po staremu.

Doprowadza to do paradoksu. Mimo że mamy grupę naukowców zajmujących się tym gatunkiem, to nie mamy żadnych danych dotyczących liczebności tego gatunku na terytorium Polski. Każda prezentowana liczba to w jakimś stopniu fejk.

Brak wiarygodnych danych to woda na młyn dla zwolenników ścisłej ochrony. Zawsze bowiem można kwestionować każdą decyzję i wyrażać opinię, że zabicie kilku wilków zachwieje polską populacją tych zwierząt.

Aby zweryfikować takie obawy, potrzebny jest system monitoringu wilków, w którym partycypowałyby wszystkie zainteresowane strony. To dawałoby możliwość realnego zarządzania populacją. Z powodzeniem system taki działa np. na Łotwie. Mimo że odstrzeliwuje się tam kilkaset osobników rocznie, to populacja jest stabilna. W podobny sposób działa to w innych krajach Europy.

Kluczową jednak sprawą, ważną też dla Komisji Europejskiej, jest kwestia monitoringu. Bez takiego systemu każdy, kto podejmie decyzję o odstrzale, będzie musiał się tłumaczyć w sądach europejskich, czy upewnił się właściwie co do negatywnych skutków tej decyzji. Będzie to więc analogiczna sytuacja jak w Puszczy Białowieskiej, gdzie również z oczywistej sprawy wyrębu zarażonego drzewostanu z lasu gospodarczego zrobił się międzynarodowy skandal.

Aktywistom i ich naukowcom zależy, aby wilk był w „szarej strefie". Pozwala to rozmawiać nadal o mitach, nie o faktach. GP

ŚWIĘTY SEBASTIAN

Sebastián de Aparicio, później hiszpański misjonarz, miał być uratowany w cudowny sposób przez wilka. Podczas epidemii dżumy zarażonego małego Sebastiana odizolowano w lesie, gdzie zaopiekował się nim wilk.

BIAŁY KIEŁ

To tytułowy bohater książki Jacka Londona. Powieść jest jednym z najsłynniejszych dzieł pisarza i doczekała się wielu adaptacji filmowych. Jedną, w 1946 r., nakręcili nawet Sowieci, a ostatnio Netflix.

FOT. ADOBESTOCK, PIXABAY, FACEBOOK, WIKIPEDIA

PRZYRODNICZY FLASH

ŁOŚ NA CENTRALU

Chociaż trudno w to uwierzyć, 13 września na Dworzec Centralny w Warszawie wbiegł łoś. Akcja wywołała poruszenie pasażerów i sparaliżowała ruch. 127 pociągów było opóźnionych łącznie o ponad 3000 minut, 10 pociągów skierowano przez stację Warszawa-Śródmieście, a cztery pociągi odwołano. Nie wiadomo, jak łoś dostał się na najbardziej oblegany dworzec w Polsce. Zwierzę zostało uśpione, a następnie przetransportowane do lasu.

BĘDZIEMY PŁACIĆ ZA SZKODY PTAKÓW

W Sejmie procedowana jest ustawa mająca zapewnić rolnikom szacowanie strat i odszkodowanie z tytułu działania dzikiego ptactwa. Oznacza to, że Skarb Państwa będzie odpowiadał za niszczenie pól przez gęsi (gęgawa zbożowa, krótkodzioba, białoczelna, tundrowa i mała), żurawie, łabędzie, kormorany, czaple i krukowate. Na razie bez zmian zostają przepisy dotyczące dużych drapieżników.

eprasa.pl 8f89cdd082

W ROLI GŁÓWNEJ
Scenę zastępuje basen wypełniony wodą. Aktorów zaś zastępują lalki. Każda z nich umieszczona jest na długim drągu zanurzonym w wodzie. Drugi jego koniec trzyma aktor, który animuje postać.

Wodny teatr wietnamskich lalek

Stefan **Czerniecki**
CZERNIECKI.NET

ZYSKAĆ PRZYCHYLNOŚĆ BÓSTW

Niektóre są naprawdę maleńkie – mierzą zaledwie 30 cm. Wysokość innych sięga nawet metra. Ważą od 1 do 5 kilogramów. Operowanie taką lalką za pomocą długiego drąga, dodatkowo zanurzonego w wodzie, nie może być łatwym zadaniem.

Nie może być łatwym zadaniem i z całą pewnością wymaga krzepy. Właśnie dlatego w północnowietnamskich wioskach animatorami lalkowych teatrów na wodzie mogli być tylko mężczyźni. Tradycja wodnych spektakli wywodzi się właśnie stamtąd.

Zaczęło się podobno w okolicy delty Czerwonej Rzeki. Rzeki, która większą częścią odcinka płynie przez południowo-wschodnie Chiny. Dopiero ostatnie 400 km pokonuje północnym terytorium Wietnamu, by minąwszy sławne Hanoi, wpaść do Zatoki Tonkińskiej Morza Południowochińskiego. Tradycja wodnego teatru lalek rozpoczęła się właśnie w takim pejzażu.

Pejzażu pełnym bagien, ciągnących się po horyzont rozlewisk, jezior i rzek. Dla miejscowych rolników woda od zawsze była błogosławieństwem. Stanowiący podstawę wietnamskiej kuchni ryż potrzebuje wszak ciągłego zanurzenia w minimum 10-centymentrowej warstwie wody. Szacuje się, że uprawa nawadnianego pola ryżowego zużywa nawet do 5000 litrów wody na kilogram ziarna (!).

Gdy z wodą działo się coś niedobrego (wysychała, ulewała się, ulegała zanieczyszczeniu), wówczas rolnicy uciekali się do modlitw. W tym celu podczas świąt i festynów wiejskich odprawiano w północnym Wietnamie religijne rytuały. Wszystkie wiązały się z wodą. Należały do nich choćby mycie posągów Buddy, czyszczenie świątyń, wyścigi wioślarskie czy właśnie teatr lalek na wodzie.

Dziś, żeby zobaczyć podobny spektakl, nie trzeba jechać na wietnamską prowincję na północy kraju. Tradycja teatru lalek na wodzie zawędrowała bowiem do miast. Choćby do najsłynniejszego dziś Thang Long Water Puppet Theater – teatru umiejscowionego tuż obok jeziora Hoan Kiem w Hanoi.

Na widowni już od kilkunastu minut nie ma wolnych miejsc. Większość ze zgromadzonych to najmłodsi. Dzieci są podekscytowane. Poszturchują się wzajemnie, krzyczą, wskazują coś palcami. Aż do momentu, gdy siedząca po lewej stronie sceny orkiestra zaczyna grać. Światła przygasają. Robi się ciemno. Zaczyna grać instrumentalna muzyka.

Jako pierwsza z wody wyskakuje lalka pomalowana na czerwono. Narrator sylabicznym tonem zaczyna swoją kwestię. Nic nie rozumiem. Nie szkodzi. Zaraz wszystko się wyjaśni. Zza bambusowej sceny, w całości wypełnionej wodą, wypływają za chwilę dwie łodzie. Na każdej kilka lalek. Za nimi pojawiają się smoki. Naraz nad sceną gaśnie światło. Po chwili pojedynczy snop zaczyna oświetlać jeden punkt. W którym za moment pojawi się ubrana w żółty kapelusz postać. Trzyma w ręku kosę. To chyba wietnamski rolnik.

W tym teatrze nikt nie podnosi kurtyny. Nikt nie zaprasza na scenę, bo tej po prostu nie ma. Zastępuje ją basen wypeł-

eprasa.pl 8f89cdd082

W trakcie sztuki schowani za bambusowymi ekranami animatorzy lalek stoją w wodzie.

LALKI NA WODZIE

TRADYCJA W X wieku, gdy powstała tradycja wodnych teatrów lalkowych, ubodzy chłopi, których byt uzależniony był od uprawianego przez nich cały rok ryżu, modlili się do rozmaitych bóstw o obfite plony i deszcz. W ten sposób oddawali się różnym ceremoniałom. Z czasem opracowali metodę na teatry lalek na wodzie. Rodzinne tradycje przekazywane z pokolenia na pokolenie nakazywały odgrywanie w naturalnych pejzażach okolicznych jezior, rzek czy bagien historii przedstawiających codzienność wietnamskiego rolnika. Technikę uprawy, tradycję dnia, zwyczaje, odpoczynek.

TECHNIKA Operowanie taką lalką za pomocą długiego drąga zanurzonego w wodzie nie może być łatwym zadaniem. Pewnie dlatego w północnych wietnamskich wioskach animatorami lalkowych teatrów na wodzie mogli być tylko mężczyźni. Dziś coraz częściej po zakończeniu spektaklu i wyjściu animatorów zza sceny widać, że wśród stojących do pasa w wodzie osób jest coraz więcej przedstawicielek płci pięknej.

WODA Hanoi to miasto na wodzie. Oprócz przepływającej przez aglomerację Czerwonej Rzeki w mieście znajduje się też kilkaset różnych mniejszych lub większych jezior i stawów. Woda grzeje miasto zimą, a chłodzi latem. Jest także swego rodzaju źródłem utrzymania dla wielu mieszkańców. Łowią w niej ryby, a nawet – korzystając ze specjalnie skonstruowanych drewnianych łodzi – po prostu na niej żyją.

FOT. STEFAN CZERNIECKI

niony po brzegi wodą. Aktorów zaś zastępują lalki. I ich animatorzy – ukryci za bambusowymi ekranami. Każda z lalek umieszczona jest na długim drągu zanurzonym w wodzie. Drugi jego koniec trzyma aktor, który animuje postać. Dzięki czemu w trakcie sztuki lalki albo pojawiają się na scenie, płynnie wysuwając się zza ekranów, albo nieoczekiwanie wyskakują z wody.

Przez pierwsze pół godziny zmysły rejestrują każdy szczegół. Tradycyjny wietnamski bęben trống cái miarowo i rytmicznie nadaje tempo wydarzeniom dziejącym się na wodnej scenie. Nie trzeba znać języka, aby wiedzieć, o co chodzi. Po wspomnianym rolniku na scenie pojawiają się walczące byki. Po nich przychodzi czas na tańczące dziewczęta. Jest też inscenizacja zawodów pływackich. Nie brakuje również, robiącej wrażenie zwłaszcza na najmłodszych, walki smoków ziejących ogniem. Przy ostatniej scenie dramaturgię podbijają niosące się zza sceny odgłosy gongów i rogów.

Z czasem jednak spektakl zaczyna nieco nużyć. Rozglądam się dokoła. Drugą część ogląda już mało kto. Zmęczeni upałem turyści zostali pokonani przez przyjemną aurę klimatyzowanego pomieszczenia. Swoje zrobiła też panująca na widowni ciemność. Śpią.

Lalkowy Teatr przy jeziorze Hoàn Kiếm Lake charakteryzuje się żółtym dachem. Żeby go znaleźć, trzeba najpierw pokonać labirynt wąskich uliczek tzw. Starej Dzielnicy. Należy minąć uliczki Wotywnego Papieru i Bambusową. Czasem także Kadzidlaną, Żaglomistrzów i Jedwabną. Wszystkie te nazwy to echo znajdujących się niegdyś w tej dzielnicy starodawnych cechów. Dziś w ich miejscu

Już słychać muzykę – to znak, że spektakl zaraz się zacznie.

Już wieczór – czas oddechu i rozrywki.

stoją sklepiki z bambusowymi ozdobnikami do mieszkań, z ceramiczną zastawą stołową, z instrumentami muzycznymi czy z charakterystycznymi dla Wietnamu jaskrawoczerwonymi lampionami. Sklepy są powciskane między pozostałe domy.

Po godzinie spektakl się kończy. Tego dnia odbędą się jeszcze trzy takie występy. Na wszystkie nie ma już dostępnych biletów. Wyspani widzowie powoli opuszczają gmach teatru. Wydają się zadowoleni. Zobaczyli wszak coś, czego nigdzie indziej nikt im nie pokaże. **GP**

eprasa.pl 8f89cdd082

PRZYCHODZI SIEMIENIEC DO WÓJCIKA, CZYLI JAK UKRĘCIĆ ŻÓŁTĄ KARTKĘ

Leszek **Galarowicz**

BURZA W SZKLANCE WODY CZY AFERA?

Jest popołudnie 17 maja 2026 roku. Jagiellonia Białystok rozgrywa przedostatni mecz w kończącym się sezonie ligowym z walczącym o europejskie puchary GKS Katowice. Jaga przed meczem znajduje się na drugim miejscu, tracąc do lidera ledwie punkt. Sytuacja w tabeli jest bardzo napięta. Ośmiu zawodników klubu z Białegostoku ma problemy z kartkami i grozi im wykluczenie z najważniejszego meczu sezonu. To dlatego w poranek tego samego dnia trener Jagiellonii Adrian Siemieniec postanawia uruchomić nieoficjalną ścieżkę działania, aby uchronić swoich piłkarzy przed złapaniem niepotrzebnej żółtej kartki, która spowoduje absencję zawodnika w ostatniej kolejce. Pisze wiadomość na komunikatorze do innego sędziego, Kamila Wójcika, który zna się z sędzią głównym wyznaczonym do prowadzenia meczu – Pawłem Raczkowskim. Siemieniec próbuje załatwić u Wójcika, aby Raczkowski uprzedził go, kiedy będzie chciał dać jego zawodnikowi „żółtko". W odpowiedzi Wójcik daje do zrozumienia, że z Raczkowskim można się w takiej sprawie porozumieć. Ostatecznie żółtą kartkę w zakończonym remisem meczu dostaje tylko jeden zawodnik Jagiellonii, który zresztą nie był zagrożony absencją w ostatniej ligowej kolejce, ale Jaga tylko remisuje, czym komplikuje sobie plany walki o mistrzostwo. Po zwycięstwie w ostatniej kolejce nad Zagłębiem Lubin zajmuje trzecie miejsce w Ekstraklasie i awansuje do rozgrywek Ligi Europy.

Korespondencja trenera Siemieńca

Po upływie czterech miesięcy dość niespodziewanie w sieci wypływa informacja o korespondencji trenera Adriana Siemieńca. Sprawę ujawnia portal WP Sportowe Fakty. Obok trenera ekipy z Białegostoku pojawiają się nazwiska sędziego Kamila Wójcika, który wcześniej występował w mediach, kiedy wypłynęła sprawa listu sędziego

eprasa.pl 8f89cdd082

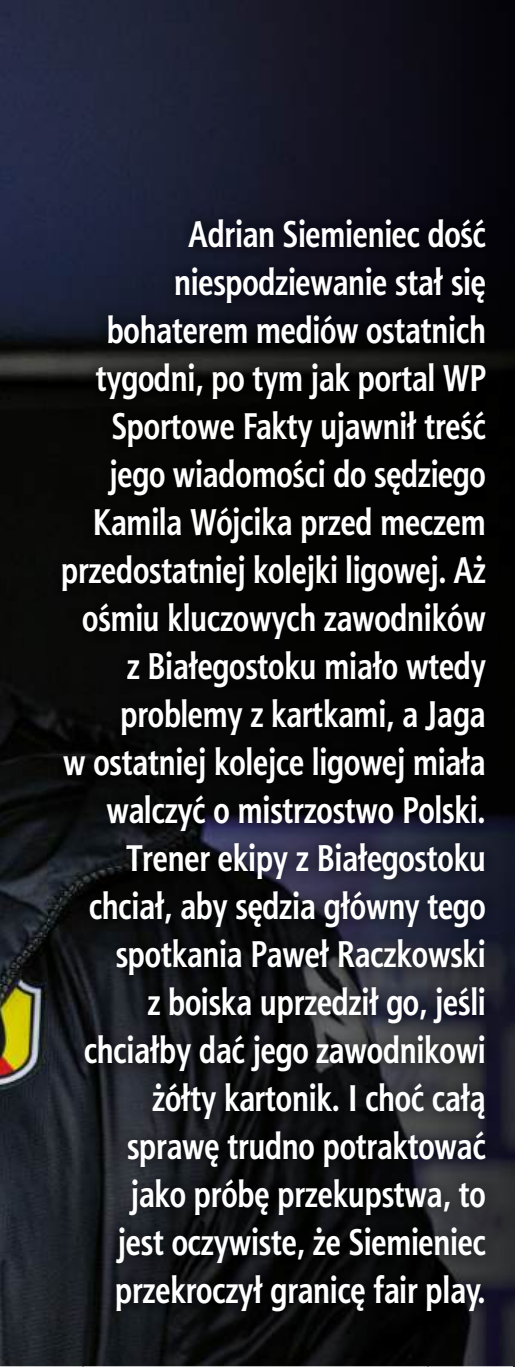

Adrian Siemieniec dość niespodziewanie stał się bohaterem mediów ostatnich tygodni, po tym jak portal WP Sportowe Fakty ujawnił treść jego wiadomości do sędziego Kamila Wójcika przed meczem przedostatniej kolejki ligowej. Aż ośmiu kluczowych zawodników z Białegostoku miało wtedy problemy z kartkami, a Jaga w ostatniej kolejce ligowej miała walczyć o mistrzostwo Polski. Trener ekipy z Białegostoku chciał, aby sędzia główny tego spotkania Paweł Raczkowski z boiska uprzedził go, jeśli chciałby dać jego zawodnikowi żółty kartonik. I choć całą sprawę trudno potraktować jako próbę przekupstwa, to jest oczywiste, że Siemieniec przekroczył granicę fair play.

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

Pawła Sokolnickiego oraz Pawła Raczkowskiego. Jak się okazuje, ten ostatni ma w tej sprawie czyste sumienie. Warto przypomnieć, że Sokolnicki opisał słabości technologiczne i systemu szkolenia, które uderzały przede wszystkim w Kolegium Sędziów. Wówczas jednym z arbitrów, który poparł byłego asystenta Szymona Marciniaka, był właśnie Wójcik, który w głośnym wywiadzie dla Weszło potwierdził zarzuty o patologiach w polskim sędziowaniu. Nie jest tajemnicą, że obaj w 2025 roku zgłosili swoje kandydatury na stanowisko nowego szefa Kolegium Sędziów, ale przegrali rywalizację z Marcinem Szulcem, który objął to stanowisko. Obaj od tamtego momentu pozostają w konflikcie z obecnymi władzami sędziowskimi.

Milczenie w PZPN

Dlaczego zatem sprawa trenera Jagiellonii ujrzała światło dzienne dopiero teraz? Między bajki można włożyć teorie spiskowe, jakoby ktoś czekał i akurat dziś chciał uderzyć w niepokornych sędziów. Wyjaśnienie wydaje się znacznie prostsze. Sprawa, która wypłynęła do mediów w ostatnim czasie, swój początek ma znacznie wcześniej. Tuż po majowym meczu sędzia Raczkowski zgłosił screeny konwersacji do Kolegium Sędziów PZPN. Dopiero po 53 dniach trafiło to do rzecznika dyscyplinarnego PZPN. 1 września komisja Ligi Ekstraklasy SA otrzymała z PZPN dokumentację, która jednak okazała się niekompletna. Trudno się zatem dziwić, że cierpliwość dziennikarzy mogła się wyczerpać. Słusznie mogli przypuszczać, że sprawa w ogóle nie ujrzy światła dziennego. Reakcja innych mediów i środowiska futbolowego na rewelacje ujawnione przez dziennikarzy WP Sportowe Fakty była błyskawiczna i bardzo krytyczna. Artur Wichniarek, były reprezentant Polski, obecnie ekspert Kanału Sportowego, skomentował ją w swoim stylu, określając zachowanie szkoleniowca „korupcją w innej formie". Prezes Wisły Kraków Jarosław Królewski grzmiał, że takie zachowanie to „powrót do mrocznych czasów polskiej piłki". Dość osobliwa była reakcja klubu z Białegostoku, którą można by streścić w formule „murem za trenerem". W oświadczeniu władze klubu stwierdziły, że trener Adrian Siemieniec „cieszy się niezmiennym zaufaniem i ma zapewnione pełne wsparcie ze strony całego Klubu". Sam szkoleniowiec początkowo niewiele mówił o sprawie. Dopiero po fali medialnej krytyki opublikował obszerne oświadczenie z przeprosinami, w którym napisał, że „wysłanie SMS-a było przejawem braku rozwagi i odpowiedzialności". Trener przeprosił swoich zawodników, sztab, kibiców Jagiellonii, rywali z innych klubów, środowisko sędziowskie oraz władze PZPN i Ekstraklasy. Pytanie, na ile oświadczenie było szczere, a w jakim stopniu zostało wydane pod medialną presją.

Burza w szklance wody?

Szymon Marciniak, komentując sprawę korespondencji między Adrianem Siemieńcem a Kamilem Wójcikiem, bagatelizował całe zamieszanie i nazwał je burzą w szklance wody. „My jesteśmy mistrzami tych wszystkich »pseudoaferek«, mistrzami robienia piekiełka" – dodał sędzia. Po drugiej stronie mamy ostre wypowiedzi Artura Wichniarka. Kto ma rację? Choć powiedzenie o tym, że prawda leży pośrodku, zdaje się wyświechtane i niekoniecznie zgodne z rzeczywistością, akurat w tym przypadku oddaje istotę zjawiska. Grubą przesadą jest twierdzenie, że właściwie nic się nie stało, a winni są źli dziennikarze, którzy sprawę ujawnili i rozdmuchali. Z drugiej strony mówienie o korupcji i odsądzanie szkoleniowca Jagiellonii od czci i wiary jest reakcją przesadzoną. Z pewnością Adrian Siemieniec zachował się niezgodnie z zasadami fair play i prawdopodobnie poniesie za to konsekwencje. Nie wiemy jakie, bowiem wciąż toczy się wobec niego postępowanie. Jednak porównywanie tego, co zrobił, z korupcyjnymi aferami z przeszłości jest zdecydowanie na wyrost. Zresztą szkoleniowiec zrozumiał swój błąd, przyjął winę i przeprosił. Pytanie tylko, jakie wnioski z całej sytuacji wyciągnie PZPN i jak cała sprawa wpłynie na przejrzystość w polskim futbolu. **GP**

> *Pytanie, jakie wnioski z całej sytuacji wyciągnie PZPN i jak cała sprawa wpłynie na przejrzystość w polskim futbolu.*

eprasa.pl 8f89cdd082

Iwona **Balcerak**
TEKST I ZDJĘCIA

Zielony przysmak

Od tysięcy lat bób gości na stołach kolejnych pokoleń – od starożytnych cywilizacji Bliskiego Wschodu, przez kuchnię Greków i Rzymian, po współczesne polskie domy. Prosty, świeży i pożywny, zachwyca nie tylko smakiem, lecz także różnorodnością kulinarnych zastosowań.

KOPYTKA Z KURKAMI I BOBEM

500 g kopytek
250 g świeżych kurek
500 g świeżego bobu (daje to około 300 g po ugotowaniu i obraniu)
100 ml bulionu warzywnego
2 ząbki czosnku
1 mała cebula
1 pęczek koperku
1 łyżka oliwy do smażenia
1 łyżeczka soli
pół łyżeczki cukru
świeżo mielony pieprz

Bób dokładnie opłucz. W garnku zagotuj 1,5 litra wody z 1 łyżeczką soli i 1/2 łyżeczki cukru. Wrzuć bób do wrzątku i gotuj 8–12 minut (młody krócej, starszy dłużej), aż ziarna będą miękkie, ale nie rozpadające się. Odcedź, przelej zimną wodą, a gdy lekko przestygnie, obierz ze skórek. Cebulę pokrój w kostkę, a czosnek i koperek drobno posiekaj. Kurki dokładnie oczyść. Na patelni rozgrzej oliwę i zeszklij cebulę. Dodaj czosnek oraz kurki, po czym smaż do zrumienienia. Wlej bulion, dodaj ugotowany bób i całość chwilę gotuj, aż sos nieco się zredukuje. Na koniec dodaj koperek oraz dopraw do smaku solą i świeżo mielonym pieprzem.

Kopytka podsmaż na osobnej patelni na złoty kolor, a następnie wymieszaj je na patelni z przygotowanym sosem z kurkami i bobem. Podawaj gorące. **GP**

CZAS	**30 MINUT**
KOSZT	**22 ZŁ**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**ŁATWY**
PORCJI	**4**

CZY WIESZ, ŻE...

W starożytności bób stanowił podstawowy składnik jadłospisu Rzymian i Greków. Co ciekawe, w Grecji miał również znaczenie symboliczne. Pitagorejczycy przypisywali mu szczególne właściwości i unikali jego spożywania – według jednej z teorii wierzyli, że bób ma bezpośredni związek ze światem zmarłych.

Klasyczne połączenie to bób, masło, czosnek, koperek i odrobina soli. Doskonale smakuje w sałatkach z fetą, pomidorami, miętą i oliwkami, a także jako dodatek do risotto, makaronów, tart i farszów do pierogów. Zrobimy z niego aksamitny krem, pesto, kotleciki czy wegetariańskie burgery. Komponuje się również z wyrazistymi akcentami: chrupiącym boczkiem, szynką parmeńską czy delikatną burratą.

Piękny kolor bób zawdzięcza obecności chlorofilu. Aby go nie stracić, nie należy przesadzać z czasem gotowania, a zaraz po odcedzeniu warto przelać ziarna bardzo zimną wodą (zahartować). Świetnym sposobem jest także gotowanie na parze – bób zachowuje wtedy więcej smaku i nie nasiąka wodą.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl 8f89cdd082

MISJA NA 80 TYSIĘCY LAT

SĄSIEDNI UKŁAD GWIEZDNY NA CELOWNIKU LUDZKOŚCI

Na początku września ogłoszone zostały plany wysłania pierwszej w historii misji do sąsiedniego układu gwiezdnego – Alfa Centauri – znajdującego się „zaledwie" nieco ponad cztery lata świetlne od Ziemi. Specjalna sonda ma zostać wystrzelona do końca 2029 roku, a na miejsce dotrze... za 80 tys. lat.

Jan **Przemyłski**

Wszechświat wypełniony jest ogromnymi skupiskami galaktyk zwanymi supergromadami. Te z kolei obejmują mniejsze grupy galaktyk, takie jak Grupa Lokalna, do której należą Droga Mleczna zamieszkana przez nas oraz miliardy innych gwiazd i planet. Najbliższy nam układ planetarny oddalony jest to „zaledwie" nieco ponad cztery lata świetlne od Ziemi. Chodzi o Alfa Centauri, w którym znajdują się aż trzy gwiazdy – dwie z nich charakterem przypominają nasze Słońce, a trzecia to czerwony karzeł, który jest znacznie mniejszy i chłodniejszy. Obserwacje tego fragmentu nieba potwierdziły, że wokół ostatniej z wymienionych na pewno krążą planety (wokół dwóch pozostałych prawdopodobnie też, ale ostatecznego dowodu jeszcze nie mamy). Co ciekawe, jedna z tych potwierdzonych planet (Proxima b) leży w tzw. strefie zamieszkiwanej, gdzie mogłyby istnieć woda i życie. Niestety regularnie narażona jest ona na mocne rozbłyski radiacji, co znacząco utrudnia przetrwanie tam życia.

O Alfa Centauri głośno zrobiło się na początku września, gdy przedstawiciele prywatnych firm z branży kosmicznej z brytyjskim matematykiem i fizykiem Philipem Johnstonem na czele poinformowali o przygotowaniach do misji Fermi Explorer. Zakłada ona wystrzelenie sondy właśnie w kierunku naszej galaktycznej sąsiadki. Konstrukcja będzie wyposażona w napęd jonowy (elektryczny), jej waga ma wynieść od 100 do 200 kg, a na pokładzie znajdą się m.in. kopie złotych dysków wysłanych w 1977 roku z sondami Voyager i zawierających dźwięki, obrazy i muzykę reprezentujące różnorodność życia i kultury na Ziemi. Fermi Explorer ma wystartować do końca 2029 roku i najpierw zbliżyć się do Słońca, a dopiero później, wykorzystując manewry napędowe, „wystrzelić" w stronę granic naszego Układu Słonecznego. Ucieczka z niego potrwa około 11–13 lat. W pierwszej fazie podróży na Ziemię będą przesyłane cenne dane telemetryczne. Z kolei dotarcie do Alfa Centauri zajmie77–80 tys. lat. Pomysłodawcy misji wskazują, że ma ona na celu nie tylko przetestowanie różnych technologii, lecz przede wszystkim zainspirowanie przyszłych pokoleń do głębszej eksploracji kosmosu. **GP**

Fermi Explorer ma być „butelką wrzuconą do kosmicznego oceanu" z informacjami o Ziemi.

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 8f89cdd082

Listy

Bezrobocie Tuska

Nie jest dobrze na rynku pracy. Na jedno ogłoszenie w OLX Praca przypada średnio 40 aplikacji, a w zawodach biurowych aż 157. Na ogłoszenie do zdalnej pomocy w sklepie internetowym było 4000 chętnych. Do sprzedaży odzieży w sklepie w Lublinie było 1300 zainteresowanych. Na jedno ogłoszenie w handlu internetowym odpowiada 115 osób. Na drugim biegunie są stanowiska inżynieryjne – średnio 11 aplikacji.

Radosław A.

Cenzura wraca

Przegłosowano powstanie Europejskiego Centrum Odporności Demokratycznej głosami partii niedemokratycznych: KO, PSL, Lewicy i PL2050. W dużym skrócie: cała w zasadzie istniejąca już sieć organizacji pozarządowych będzie przez 24 godziny na dobę monitorować internet i wskazywać, co jest manipulacją oraz dezinformacją, a platformy społecznościowe będą zmuszane do ograniczania zasięgów i usuwania postów. Oczywiście za nasze pieniądze, bo te organizacje z zatrudnionymi rzeszami prawdziwych nieudaczników trzeba jakoś opłacić.

(...) Mianem „manipulacji" można nazwać wszystko, co nie jest po linii politycznej lub ideologicznej konkretnego rządu lub Brukseli. I nie będę o tym decydować ja jako odbiorca, tylko jakaś opłacana osoba, pewnie sto razy głupsza ode mnie. Wszystko jest robione w popłochu, żeby zdążyć przed falą przyszłorocznych wyborów w różnych krajach europejskich. Z tego miejsca należy wezwać Departament Stanu USA do zajęcia stanowiska, tak jak miało to miejsce w wypadku CIC, a platformy społecznościowe do oprotestowania tego subiektywnego systemu oceny. Systemu nieopartego na oglądalności i zaufaniu do odbiorców jako rozumnych Europejczyków, tylko opartego na wytycznych politycznych. Osobiście w przyszłym roku zagłosuję na partię, która obieca, że zlikwiduje system cenzury. Bez wolności wypowiedzi i wymiany poglądów nie ma wolności myślenia, nie ma demokracji, nie ma konkurencji. Pozostaje propagandowa niewola i degradacja spowodowana monopolem (...).

Renata K.

Strachy na Lachy

Tusk robi z Polaków idiotów po raz kolejny... Jęczy i straszy, aby za rok nie odbyły się wybory i tyle. Rosja nie daje rady Ukrainie, a ma – zdaniem Tuska – zaatakować Polskę i NATO – żałosne.

Robert B.

Polskojęzyczni

Na podstawie komentarzy w internecie można stwierdzić jedno – jak wielkie spustoszenie w mózgach ludzi zrobiły komuna i lewactwo. Brygada uśmiechniętych inaczej nadal ślepa i głucha. Czy to są jeszcze Polacy?

Adam L.

Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl

APEL DO AKADEMIKÓW

Wszyscy rektorzy, nauczyciele akademiccy i profesorowie! Czy naprawdę chcecie, by pan Cudak tak reprezentował polską naukę? Jeśli będziecie milczeć, to świadczy też o was.

Adam T.

FOT. WIKIPEDIA

1. 24 września świętujemy urodziny ostatniego z czterech wieszczów romantyzmu – Cypriana Kamila Norwida. W którym roku urodził się poeta?
2. Którym utworem zadebiutował na łamach „Piśmiennictwa Krajowego"?
3. Podaj tytuł poematu Norwida, który stanowi hołd dla bohatera powstania listopadowego i Wiosny Ludów.
4. Jaki gatunek dramatyczny stworzył Norwid?
5. Czy „Jutrznia" to tytuł jednego z jego poematów?
6. „Norwid to nie tylko wielki poeta. To przede wszystkim filozof. A tragiczny los jego życia, jaki stał się jego udziałem, jeszcze bardziej utrwalił moje postrzeganie dobra jako wartości nadrzędnej" – kto jest autorem tych słów?

ODPOWIEDZI:
1. W 1821 ROKU, 2. „MÓJ OSTATNI SONET", 3. „BEMA PAMIĘCI ŻAŁOBNY RAPSOD", 4. BIAŁA TRAGEDIA, 5. NIE, TO TYTUŁ JEDNEGO Z JEGO OBRAZÓW OLEJNYCH, 6. CZESŁAW NIEMEN

PRENUMERATA
Ceny prenumeraty papierowej „Gazety Polskiej": rok – 460 zł, pół roku – 244 zł; kwartał – 129 zł; miesiąc – 45 zł.
Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: **605 900 002, 22 336 79 06**
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW IBAN: PL)
Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: (22) 232 37 70
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska
kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Piotr Nisztor, Hubert Kowalski, Grzegorz Wierzchołowski, Grzegorz Broński, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.) historia Tomasz Łysiak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, Ewa Wójcik (kluby), Konrad Wysocki (Obronność), Jacek Liziniewicz (Środowisko), Stefan Czerniecki (Podróże), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), stali felietoniści Krzysztof Karnkowski, Tadeusz P. Płużański, Michał Rachoń, Marcin Wolski, Józef Wieczorek, Dawid Wildstein
projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński
nadzór Mariusz Troliński, Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Grzegorz Lipka
sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: P/mint, Wyszków
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY
Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.
Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13: Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483; tel. 22 290 29 58 (wew. 1); e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy: e-mail reklama@gazetapolska.pl, tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji: e-mail promocja@gazetapolska.pl
GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

eprasa.pl 8f89cdd082

GAZETA POLSKA

Katarzyna Gójska

OKONIEM

Antykomunizm selektywny

W Sejmie działa zespół parlamentarny, który z założenia ma wspierać Polaków na Kresach. Przewodzi mu poseł Zapałowski (z Konfederacji, który zapadł mi w pamięć opowieściami, że napaść rosyjska na Donbas i Krym to w zasadzie wojna wewnętrzna, a Polska nie powinna wypowiadać się na temat zaboru ukraińskich ziem). W prezydium tego gremium zasiada Samborski, korespondent komunistycznych mediów w Moskwie z czasów m.in stanu wojennego, ale też student sowieckiego uniwersytetu – oczywiście działacz PSL, a także poseł z partii Brauna, który najwyraźniej nie widzi nic złego we współdziałaniu z ideologiem polityki resetu z Rosją Tuska i Sikorskiego czy oskarżanym o współpracę z Kremlem Piskorskim. Tak się złożyło, że w tym gronie znalazł się również poseł PiS Dariusz Matecki. Co tchnęło w tego parlamentarzystę z Zachodniopomorskiego zainteresowanie losem naszych Rodaków? Tego nie wiem. Mam nadzieję, iż jest ono szczere. Wiem natomiast, po rozmowach z nim, iż nie ma bladego pojęcia ani o ich sytuacji, ani o ich historii. Ale problem ignorancji pozostawiam na boku. Najciekawsze jest bowiem to, jak Matecki, kresowy neofita, chce troszczyć się o polskość Kresów we współpracy z zielonym komunistą, latami mieszkającym z Moskwie, który przez ostatnie dekady nie robił nic poza niszczeniem pozycji naszych Rodaków na terenach dawnych Kresów Rzeczypospolitej. Jak w głowie Mateckiego sklejają się strzeliste hołdy pod adresem Żołnierzy Wyklętych (także tych z kresową tożsamością) ze współpracą z człowiekiem, który służył Moskwie za komuny i potem działał w jej najlepiej pojętym interesie? Kiedy jest szczery: gdy broni pamięci antykomunistycznego podziemia czy wtedy, gdy zasiada z komunistą – dobrowolnie! – w jednym zespole parlamentarnym? Powiem zupełnie szczerze – nie potrafię zaakceptować tej schizofrenii, która jest tak naprawdę jednym z filarów postkomunizmu. W przypadku Mateckiego to dotyczy jakiejś aktywności sejmowej, ale przecież III RP jest przeżarta tym zjawiskiem: akceptowanie ludzi służb komunistycznych, komunistycznych dyplomatów, komunistycznych agentów, wtedy gdy się wydaje, iż oni są „nasi" albo prawie „nasi", albo – jeszcze gorzej – przedstawianie ich jako fachowców czy element ciągłości państwa. Nie ma żadnego wytłumaczenia dla zasiadania w jakimkolwiek zespole z ludźmi z sowieckim rodowodem i nie ma żadnego wytłumaczenia dla kontaktów z ludźmi, którzy współpracują z ruską agenturą. Kilka dni temu o działalności posła Mateckiego w kresowym zespole parlamentarnym i jego prezydialnym towarzystwie przypomnieli mi Polacy ze Lwowa, w których imieniu pan poseł postanowił zażądać od Donalda Tuska organizacji Marszu Niepodległości w ich rodzinnym mieście, mieście Semper Fidelis. Poczuli się potraktowani przedmiotowo – w czasach sowieckich, z narażeniem bezpieczeństwa własnego i najbliższych, a także już w niepodległej Ukrainie czcili Dzień Niepodległości w wielu miejscach tak ważnych dla naszego państwa, jak choćby Cmentarz Orląt Lwowskich. Nikt im tego nie nakazywał, nikt ich nie pouczał, w jaki sposób mają celebrować odrodzenie Ojczyzny. Wiedzieli. Nie potrzebują zatem paternalistycznych akcji tego czy innego posła, który nie pyta, nie wykazuje zainteresowania, tylko wiedziony pragnieniem bycia na fali, wypowiada się w ich imieniu, bo chyba nie jest aż tak naiwny, by wierzyć, że Tusk zorganizuje coś dla Polaków we Lwowie. GP

Jak w głowie Mateckiego sklejają się strzeliste hołdy pod adresem Żołnierzy Wyklętych (także tych z kresową tożsamością) ze współpracą z człowiekiem, który służył Moskwie za komuny i potem działał w jej najlepiej pojętym interesie?

eprasa.pl 8f89cdd082

REPUBLIKA

Sześć gwiazd Republiki komentuje sześć najważniejszych tematów mijającego tygodnia. To jest „Rewolwer" – najbardziej wystrzałowy program publicystyczny w Polsce.

REWOLWER

SOBOTA
9:10
w Republice

Komentuj na X.com
#REWOLWER

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę obejrzysz w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny proszę sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 8f89cdd082